

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Wagnerowcy, nowy pomysł PiS na wybory
- Świrski wyprostuje nam karki
- Mokra gorączka złota
- Robią z nas dupków i kradną dusze
- Pracownik jest jak pralka



WYSOKIE OBCASY

Natalia Niemen

skończyła z religią

Ich powstanie. Anna

Bańkowska o mamie



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Joanna
Szczepkowska

Marzy mi się Polska bez politycznej poprawności

Ale najpierw trzeba
wygrać z PiS

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Murzyni i inne towary

Jak Brytyjczycy
rozliczają się z kolonialną
przeszłością



Masakra na mostach

Powstańcy mieli zdobyć
przeprawy na Wiśle
bez broni

**Obrzydliwie
porządny chłopczyk**

Mały Oppenheimer
najlepiej czuł się ze sobą

Witold
Gadomski



To my, młodzi faceci, jesteśmy słabsi

Pilnuję się, by w wystąpieniach w ogóle nie używać słowa „emerytury”, bo propaganda PiS natychmiast zmanipuluje tę wypowiedź, przekonując wyborców, że mam zamiar podnieść wiek emerytalny – mówił mi niedawno Donald Tusk.

Jego rząd zaczął powoli podnosić wiek emerytalny, co pozwoliłoby utrzymać w dłuższym okresie wzrost gospodarczy, zagrożony przez problemy demograficzne. Wyborcom to się jednak nie podobało i dziś PO przeprosza, że zrobiła coś sensownego dla gospodarki. Politycy PO i lewicy uznali, że nie ma rady, muszą stanąć do wyścigu na obietnice socjalne, bo bez tego nie da się wygrać. Nie wiem, czy to słuszna diagnoza, ale oczywistym, choć ubocznym skutkiem licytacji, kto potrafi kupić więcej wyborców, płacąc im z państwowej kasy, jest wzrost poparcia dla Konfederacji. To dziwne ugrupowanie, którego

politycy są wyznawcami gospodarczego liberalizmu, nacjonalizmu, katolickiego fundamentalizmu, antyemigranckich i antyukraińskich fobii, a wszystko podlane homofobią i antysemityzmem. Wydawałoby się, że to mieszanka poglądów sprzecznych. Katolik nie powinien być nacjonalistą, dla liberała wartością nadrzędną jest wolność, w tym prawo do mieszkania tam, gdzie się chce, czyli do emigracji. Konfederacja

jednak znalazła zwolenników, którzy z programu ugrupowania Mentzena i Bosaka wybierają, jak rodziny z ciasta, tylko te hasła, które im odpowiadają. Badania pokazują, że duża część potencjalnych wyborców Konfederacji ma chłodny stosunek do religii i niechętny do Kościoła, ani im w głowie budowa „wielkiej Polski katolickiej” – co jest jednym z celów liderów tej partii.

Typowy wyborca to mężczyzna w wieku 20-40 lat, ciężko pracujący, często wykształcony przedsiębiorca lub student sam opłacający sobie studia. Ta grupa w niewielkim stopniu skorzystała z programów socjalnych PiS, a hasło lewicy i PO, że mieszkanie jest prawem, a nie towarem, traktuje jak kiepski żart. Wie, że musi na nie zapracować. Przede wszystkim zaś rozumie, że to on płaci za prezenty, które rozdają politycy.

– Mówisz, że trzeba pomagać słabszym? Ja jestem słabszy – denerwuje się znajomy 24-letni chłopak, z dość biednej rodziny, który od lat sam się utrzymuje, opłaca studia, w soboty i w niedziele bierze dorywcze prace, bo chce zebrać kapitał, by założyć firmę. Ma poczucie, że mało kto mu pomógł w jego krótkim życiu, nie wierzy ani politykom, ani urzędnikom, ani gadającym w telewizji głowom. Jest ateistą, nie ma nic przeciwko imigrantom, których zatrudni, gdy już otworzy firmę. Zagłosuje na konfederatów, bo chcą obniżyć podatki, są przeciwni kolejnym programom socjalnym i tworzeniu nowych kosztownych instytucji. Wiem, że się do Mentzena rozczaruje, ale na razie nie widzę sposobu, by skłonić go do zmiany decyzji. ●

Andrzej rysuje



Globalne ocieplenie Mężczyzna w fontannie



To nie obraz, ani rzeźba, ale udreńczony upałem przechodzień, który uciekł do parkowej fontanny przed żarem lejącym się z nieba – ponad 40 stopni w cieniu. To zdjęcie ze stolicy Rumunii, ale mogłoby powstać w wielu miastach tego lata. W kolejnych chłodniej nie będzie.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Wyborca Konfederacji jest ateistą, nie ma nic przeciwko imigrantom, których zatrudni, gdy już otworzy firmę. Zagłosuje na konfederatów, bo chcą obniżyć podatki

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

WS2507W

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynekod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 29.07.2023 r. do 30.07.2023 r.

Rubens Gra piosenki, których nikt nie chciał

Wyszedł z cienia innych w pełne słońce polskiej sceny muzycznej. I od razu ją podbił. Rubens jest jedną z gwiazd odbywającego się w ten weekend RE: Rzeszów Festiwalu.

Tak naprawdę nazywa się Piotr Rubik. Szlify zdobywał, grając u boku m.in. Darii Zawiałow, współpracował z LemONem czy zespołem Mazolewski/Porter.



Jest współtwórcą m.in. „Złota” Mroza. Za solową karierę zabrał się podczas pandemii, kiedy nie tylko koncertowy świat zatrzymał się w miejscu. W 2022 roku wydał w końcu solową płytę pod tytułem „Piosenki, których nikt nie chciał”, ułożoną z nieoczywistych ballad i popowych petard. Na albumie znalazł się jeden z większych przebojów roku, czyli „Wszystko OK?”. ● **Łukasz Kamiński**

W poniedziałek „Duży Format”



**HONOR, HAJŚ
CZY ŻYCIE**
Młodzi o powstaniu warszawskim

Pamięci naszej Córeczki

Paulinki Zysk

która jutro obchodziłaby 22. urodziny...

Córeczko,
Już po raz jedenasty, zamiast patrzeć jak dmuchasz świeczki na torcie, pójdziemy zapalić Ci znicze.

Wszystkiego najlepszego Tam, jeśli jakieś Tam w ogóle istnieje.

Kochamy Cię najbardziej na świecie Myszeńko nasza jedyna...

mama i tata



Paulinka zginęła 9 marca 2013 roku w wypadku, gdy jechała ze swoim zespołem Jazz One Junior EDS na turniej tańca spełniać swoje marzenia...

Top 2 wybrane z tygodnia Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Polka jedzie pod górę

1 Wjadą na dwie pirenejskie przełęcze (w tym słynny Tourmalet), pokonają 90 km i 2600 m różnicy wysokości. To na sobotnim, przedostatnim etapie Tour de France Femmes rozstrzygną się losy najważniejszego kobiecego wyścigu kolarskiego w sezonie. Polscy kibice mogą „pchać w górę” Katarzynę Niewiadomą, trzecią zawodniczkę ubiegłorocznego Tour de France, która i w tym roku jest wśród faworytek. Transmisja w Eurosporcie.



FOT. A.S.O./THOMAS MAHEUX, MATERIAŁY PRASOWE

Od czwartku

OFF czy Rock?

2 A może i to, i to. Trzeba tylko przeskoczyć 450 kilometrów. Z dawnego lotniska Czaplinek-Broczyño, gdzie w czwartek zaczyna się WOŚP-owy Pol'and'Rock Festival, do Doliny Trzech Stawów w Katowicach, gdzie w piątek zabrzmia pierwsze akordy koncertów OFF Festivalu. U Owsianka m.in.: Apollo 440, Bullet for My Valentine, Spin Doctors (na fot.), Zalewski i Brodka. U Rojka: Slowdive, Spiritualized, Pusha T, King Krulle oraz Panda Bear & Sonic Boom.



Wykres tygodnia Kobiety wciąż kopią za mniej



Już nie Jan Paweł II i uchodźcy

Nowy pomysł PiS na wybory

Im więcej zapowiedzi ataku wagnerowców na nasze granice, tym większa pokusa, by wprowadzić stan wyjątkowy

Wielowieyska



Słyszę głosy publicystów, że PiS nie ma pomysłu na kampanię wyborczą. Obawiam się, że ma, a Putin do spółki z Łukaszenką dostarczą jej kampanii paliwo.

Rosja ma dobrze zorganizowane służby specjalne i świetnie się orientuje, co się dzieje w Europie i w samej Polsce. Od lat świadomie prowadzi politykę rozbijania Unii, pomagając Marine Le Pen i innym populistom czy wpływając na wynik referendum w Wielkiej Brytanii. Nawiązaniem byłoby sądzić, że nie zechce wpływać na wynik wyborów w naszym kraju. Stwierdzenia typu „rząd PiS to agenci Putina” uważam za bzdurne. Niemniej możliwe jest, że agenci wpływu starają się wpływać na polską politykę, budując antyeuropejskie lobby.

W interesie Rosji jest, by władzę w Polsce sprawowały formacje antyunijne, atakujące Niemcy, eskalujące napięcie w stosunkach z USA ze względu na łamanie zasad praworządności. Ale najlepiej byłoby dla Kremla, gdyby do rządu dołączyły siły antyukraińskie takie jak Konfederacja, w której szeregu jest sporo sążących rosyjską propagandę polityków, z Grzegorzem Braunem na czele.

Jednym ze sposobów wzmocnienia PiS może być kreowanie zagrożenia granicy polsko-białoruskiej. Od dłuższego czasu ze strony Rosji i Ukrainy płyną niepokojące komunikaty.

Łukaszenka pojechał do Rosji i oznajmił, że najemnicy Grupy Wagnera „chcą jechać na wycieczkę do Warszawy i Rzeszowa”. Sugerował, że powstrzymuje ludzi Prigożyna przed atakiem na członka NATO. Putin się uśmiechał.

Ukraińska straż graniczna twierdzi, że na Białorusi przebywa obecnie około pięciu tysięcy najemników.

Pisaliśmy, że najpierw poinformowano o przemieszczeniu na Białoruś części rosyjskiego arsenału nuklearnego, potem wspomniano o zajęciu tzw. przesmyku suwalskiego, czyli granicy polsko-litewskiej, oddzielającej obwód kaliningradzki od Białorusi, a tym samym łączącej państwa bałtyckie z resztą NATO. W połowie lipca rosyjski generał Andriej Kartapow otwarcie stwierdził w telewizji, że Grupa Wagnera została przemieszczona na Białoruś nie tylko po to, by trenować tamtejsze wojska, ale także po to, by ewentualnie zająć przesmyk.

Minister obrony narodowej Mariusz Blaszczak zdecydował o przemieszczeniu naszych formacji z zachodu na wschód Polski. To odpowiedź na zapowiedziane przez białoruskie ministerstwo obrony wspólne ćwiczenia jednostek specjalnych z Białorusi z najemnikami Wagnera.

Były szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego gen. Stanisław Koziej decyzję Blaszczaka uważa za słuszną. Ale sposób komunikowania planów przemieszczenia wojsk nie jest – jego zdaniem – właściwy. Koziej uważa, że gry w grę Rosjan, bo Grupa Wagnera to broń psychologiczna. – Nadajemy wagnerowcom dużo większe znaczenie, niż mają – tłumaczy. Jego zdaniem MON powinien lakonicznie stwierdzić, że prowadzi ćwiczenia w związku z toczącą się na Wschodzie wojną, a zagro-

żeniem dla Polski na pewno są nie wagnerowcy, lecz co najwyżej siły Rosji i reżimu Łukaszenki.

Jest oczywiste, że najemnicy, w dodatku rozbieni, nie są w stanie zagrozić NATO. Ale widać, polskiemu rządowi zależy na tym, aby wyolbrzymić zagrożenie. PiS ma w tym interes i przypadkiem współgra on z propagandą Kremla. Przesłanie „wagnerowcy chcą zaatakować” ma wywołać efekt flagi. Wykreować atmosferę zagrożenia, bo w nadzwyczajnych okolicznościach ludzie koncentrują się wokół rządu. Ogranicza się krytykę władzy, wszak najważniejsze, by stawić czoła niebezpieczeństwu zewnętrznemu. Kwestia bezpieczeństwa jest w kampanii PiS bardzo ważna, Putin więc podaje pileczkę.

Jest oczywiste, że rozbrojeni najemnicy nie są w stanie zagrozić NATO. Ale kwestia bezpieczeństwa jest w kampanii PiS bardzo ważna, więc Putin podaje pileczkę

Ale nie można wykluczyć, że nie tylko o efekt flagi chodzi. Jest zaskakujące, że prezes PiS wrócił do rządu na stanowisko wicepremiera. W partii mówiło się, że Kaczyński chce przypilnować „tłuste koty”, by nie wypompowały aż tak pieniędzy publicznych, bo to szkodzi w kampanii i frustruje tę część aparatu, która nie ma okazji napchać kieszeni. Ale przecież tego mógłby przypilnować także z Nowogrodzkiej. Jeśli tego nie robi, to dlatego, że nie chce.

Powód wejścia do rządu może być inny. Jeżeli propaganda Kremla i Łuka-

szenki będzie się nasilać w postaci coraz groźniejszych zapowiedzi ataku, być może prezes PiS będzie chciał to wykorzystać i wprowadzić stan wyjątkowy na części terytorium Polski.

To krok ryzykowny w wielu wymiarach, choćby ostatecznego zniechęcenia do PiS sporej części wyborców z Podlasia i Białostocczyzny, których mocno dotknął stan wyjątkowy przy granicy białoruskiej i budowa muru, a nie doczekali się – zwłaszcza drobniejsi przedsiębiorcy związani z turystyką – pomocy od państwa. A przede wszystkim zwarcie ze społeczeństwem, które może uznać, że PiS bezprawnie przedłuża rządy.

Bowiem stan wyjątkowy oznacza przesunięcie wyborów o co najmniej kilka miesięcy. Być może Kaczyński uznał, że premierowi zabraknie odwagi na taki manewr, który na pewno wywoła wzburzenie. Ale Kaczyński byłby na to gotów, gdyby wewnętrzne badania partyjne pokazały, że to ruch, który może poprawić wynik PiS.

To oczywiście nielatawa operacja. Stan wyjątkowy wprowadza prezydent na wniosek premiera. Nie jest pewne, czy Andrzej Duda wzięłby udział w takiej rozgrywce. Wiele zależałoby od tego, na ile Kreml będzie tu aktywny. Ale Putin na pewno zechce zdestabilizować sytuację w Polsce, więc trzeba być przygotowanym na rozmaite prowokacje.

To oczywiście tylko jeden ze scenariuszy, który wcale nie musi być zrealizowany. Pytanie, czy opozycja demokratyczna jest przygotowana na taki wariant: zarówno w wersji light, a więc kreowania zagrożenia, by wywołać efekt flagi, jak i w wersji hard, czyli wprowadzenia stanu wyjątkowego i przesunięcia daty wyborów. ●

Dominika Wielowieyska



Rodzinna historia powstania warszawskiego

SPOKOJNIIUPRZEJMI

Weszła na plac Narutowicza i wtedy strzelił do niej z wysokiego piętra domu akademickiego niemiecki snajper. Udała trafioną i prze-wróciła się. Dookoła leżały ciała zastrzelonych ludzi.

Michał Cichy

Tak jak przykazała jej starsza druha z konspiracyjnego harcerstwa, moja dwunastoletnia mama odebrała paczuszkę z ulicy Jedwabniczej, która mieści się dwieście metrów od obecnej siedziby redakcji „Gazety Wyborczej”, i zaniosiła ją pod wskazany adres na Nowogrodzkiej, ale w mieszkaniu nikogo nie było. Wróciła więc do domu na placu

Narbutta. „Narbutta 50 m. 20, telefon 442 05”, pamięta do tej pory. Panna Krystia Gołębiowska, pomoc domowa rodziny Głowackich, spojrzała na nią podejrzliwie i powiedziała: „Tylko ty się przypadkiem w coś nie angażuj!”.

Rodzina Głowackich składała się z mojego pradziadka Michała, po którym mam imię, prababci Gieni, babci Zofii z dwiema córkami, z których starszą była moja przyszła mama, oraz wujecznego dziadka Józefa. Mieszkali wszyscy w mieszkaniach wynajętych od baronostwa Horochów na Narbutta.

Moja mama po południu pojechała drugi raz na tę Nowogrodzką i znowu w mieszkaniu nikogo nie było. Wyszła na ulicę i wtedy zaczęły się strzały. Schowała się w bramie. Myślała, że to coś przejściowego. Ale strzały robiły się coraz głośniejsze, a w bramie przybywało ludzi. Zaczęła padać deszcz, zrobiło się chłodno. Nie daleko, a było to pomiędzy Marszałkowską i Kruczą, jakieś sto metrów od kawiarni Nero, w której często rezyduję, mężczyźni

zaczęli budować z wyrwanych płyt chodnikowych barykadę.

Ściemniło się. Moja mama zapytała stróżkę, która miała swój pokój tuż przy bramie, czy może u niej przesiedzieć przez noc. Kobieta od razu zrobiła jej miejsce pod swoją kraciastą pierzyną. Tak minęła pierwsza noc powstania.

ROZRZUCENI

Babcia Zofia pracowała w ogrodach Henryka Hosera na Wolskiej, róg Młynarskiej i tam zastał ją wybuch powstania. Co dziwne, przez kilka pierwszych dni działały telefony. Kiedy 3 sierpnia rozeszły się wieści o zaczynającej się pacyfikacji Woli, Janusz, syn Henryka Hosera, zadzwonił do willi ojca na Wolskiej i namawiał go do ucieczki do Śródmieścia. Stary Hoser odpowiedział, że nie będzie dezertował. Syn poszedł więc po ojca na Wolę. 5 sierpnia rano Niemcy zaprowadzili ich z tłumem mężczyzn do Fa-

bryki Obic Papierowych i Papierów Kolorowych Franaszka na Wolskiej i rozstrzelali.

Panią Halinę Hoserową, żonę Janusza z dziećmi (Juleńką i małym Heniulkiem, który lata później zostanie biskupem warszawsko-praskim), zagnali razem z kobietami i dziećmi do kościoła na Wolskiej. Czekali na rozstrzelanie. Ale wieczorem 5 sierpnia dowódca pacyfikacji powstania SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach wstrzymał egzekucję kobiet i dzieci, nakazując jeszcze 1 sierpnia przez Himmlera.

Babcia Zofia, zaprzyjaźniona z panią Haliną Hoserową, od samego początku chciała wrócić na Mokotów do rodziny, do swoich rodziców i młodszej córki (młodszej siostry mojej mamy), ośmioletniej Zosi. Ale powstańcy nie opanowali całego miasta. Pomiedzy dzielnicami powstańczymi znajdowały się tereny zajęte przez Niemców. Jakimś cudem udało się jej przekroczyć linię Alej Jerolimskich. Jednak dalsza droga na Mokotów była odcięta. Wtedy babcia Zofia postanowiła iść na Ochotę do swojej

• **Boże Ciało, 8 czerwca 1944 roku.** Przed domem przy Narbutta 50 Józef Głowacki z dzieckiem sąsiadów na ręku. Obok sąsiadka z parteru pani Barbara Gołębiowska (zbieżność nazwisk z panną Krysią Gołębiowską przypadkowa). Najwyższa w drugim rzędzie, z warkoczykami, Aleksandra Czeszunistówna, przyszła matka autora

FOT. Z ARCHIWUM AUTORA TEKSTU

Na Zieleniaku kobiety smarowały sobie twarze błotem, wkładały pod sukienki poduszki. Albo spały przykryte ciałami mężczyzn i dzieci, żeby nie wylapało ich nocne światło latarek pijanych Rosjan.

młodszej siostry Irki, która mieszkała z mężem Kazimierzem na Słupeckiej.

Weszła na plac Narutowicza i wtedy strzelił do niej z wysokiego piętra domu akademickiego niemiecki snajper. Udała trafioną i przewróciła się. Dookoła leżały ciała zastrzelonych ludzi. Wtedy drzewa na placu były jeszcze młode, nie tak bujne jak dzisiaj. Snajper widział wszystko dokładnie.

Leżała nieruchomo przez kilka godzin, aż zrobiło się ciemno. Wtedy wstała i poszła do Kaziów. Stamtąd obdzwoniła rodzinę i przyjaciół i zostawiła wiadomość, gdzie jest.

Panna Kryśka Gołębiowska, służąca u rodziny, po południu 1 sierpnia była na działce rodziny Głowackich na Polu Mokotowskim. Całe pole było wtedy podzielone na działki, na których mieszkańcy Warszawy hodowali warzywa. Panna Kryśka zapakowała do toreb pomidory i młode ziemniaki i zawróciła w stronę Narbutta. Wtedy zaczęła się strzelanina.

Postanowiła przeczekać w kościele jezuitów na Rakowieckiej. Klęczy i modli się. I wtedy do kościoła wchodzi Niemcy. Gromadzą zakonników i ludzi, którzy znajdowali się w kościele. Są spokojni i uprzejmi. Nikt nie krzyczy. Prowadzą ich do piwnicy. Zamykają drzwi i przez okienko wrzucają granaty.

„PISKORZ”

Józef Głowacki, najmłodszy syn pradziadka Michała, w chwili wybuchu powstania ma

21 lat. Jest studentem medycyny na tajnym uniwersytecie. Mieszka z rodziną na Narbutta, ale w sąsiednim mieszkaniu. Ma współlokatora, też studenta medycyny, o dwa lata starszego Stasia Zaleskiego. To jest jednak fałszywe nazwisko i fałszywe papiery. Staś naprawdę nazywa się Tadeusz Maślankowski. Pochodził z Grudziądza. Uciekł przed przymusem wpisu na wólkę. W Warszawie zaangażował się w konspirację.

Moja mama patrzyła na niego z zachwytem. Tadzio był jej pierwszym w życiu zaręczonym. Kiedy przychodził do kuchni, ona też starała się tam być. Józef sobie żartował: „A, to państwo się znają?”. Mama odchodziła speszona.

Jeszcze w 1943 roku Józef poprosił Tadzio o wciągnięcie do organizacji. Tadzio zaproponował mu wstąpienie do tajnej podchorążówki Narodowych Sił Zbrojnych. „To jest organizacja bardziej ideowa – powiedział. – W AK zdarzają się ludzie nastawieni materialnie, dostają żołd. U nas tego nie ma. Znam dowódcę, który oddał swój ostatni płaszcz potrzebującemu, i właśnie pod jego komendę cię wprowadzę”.

Zajęcia podchorążówki odbywały się w mieszkaniu przy Górczewskiej. Taktyka, topografia, posługiwanie się mapą sztabową, ćwiczenia z bronią i granatami. Koledzy wybierali sobie pseudonimy, głównie

sienkiewiczowskie, ale Józef wybrał sobie pseudonim „Piskorz”, bo był z Łęczyckiego, a ludzie z tamtych ziem przezywano właśnie „piskorzami”.

Oddział Józefa był w tej części NSZ, która poddała się zwierzchnictwu AK. Pod koniec lipca 1944 roku dostali rozkaz wyjazdu z Warszawy na południe do Brygady Świętokrzyskiej. 30 lipca zebrał się z bronią w kwaterze przy ulicy Twardej. Rozkaz wymarszu jednak nie nadszedł. Czekali.

1 sierpnia po południu usłyszeli strzały. Po jakiejś godzinie dotarła do nich łączniczka z rozkazem włączenia się do walki w rejonie Żelaznej Bramy. Na widok dobrze uzbrojonego oddziału, z karabinem maszynowym ceska zbrojowka, przechodnie na chodniku i mieszkańcy w oknach bili brawo. Wszędzie biało-czerwone flagi. Uśmiechnięte twarze. Jakiś młodzieniec z opaską biało-czerwoną biegł ulicą i krzychał: „Zabiłem niemieckiego oficera!”.

W miarę posuwania się Twardą ulicą pustoszała, a odgłosy strzelaniny się przybliżały. Oddział zaczął poruszać się skokami od bramy do bramy. Nagle stanęli oko w oko z grupą niemieckich żołnierzy. Przewaga zaskoczenia była po stronie polskiej. Dwóch Niemców poległo. Nasi bez strat. Jeden z zabitych Niemców leżał na brzuchu na asfalcie podwórka. Jeden z naszych podszedł do niego i powiedział: „Ten to żyje”. Nogą odwrócił go twarzą ku górze. Niemiec poderwał się na kolana i krzyknął: „Nie zabijajcie mnie, ja jestem tyż Polok!”. Służby cywilne zabrały go na tyły.

2 sierpnia rano moja mama, pokrzepiona przez stróżkę z Nowogrodzkiej kromką chleba i zbożową kawą, poszła do powstańczego punktu na Kruczą przydać się na coś. Dostała pseudonim „Małenka” i biało-czerwoną

opaskę. Potem przypomniała sobie, że niedaleko, na Wspólnej 42, mieszkają zaprzyjaźnieni z jej mamą, czyli babcią Zofią, państwo Hania i Roman Welmanowie. Był 3 albo 4 sierpnia. Tam mama dowiedziała się, że poprzedniego dnia na Wspólną zadzwoniła od Kaziów ze Słupeckiej jej mama z wiadomością, gdzie jest i że jest bezpieczna.

ZIELENIAK

Stara Ochota, a w tym moja kamienica na Sękocińskiej, stoi dlatego, że w tej dzielnicy powstanie się nie udało. Dowódca, pułkownik Mieczysław Sokolowski „Grzymała”, wobec poniesienia wielkich strat w czasie nieudanych ataków na niemieckie obiekty nakazał już 1 sierpnia w nocy wymarsz wzdłuż linii kolejki EKD pod Warszawę. (Dwa tygodnie później zginął podczas próby przebiecia się do Wilanowa. Ma swoją ulicę na Ochocie).

Na klinkierowej fasadzie kamienicy przy Słupeckiej 2, którą mijam codziennie, ciągle widać ślady po kulach. To RONA strzelała po ścianach, żeby wypędzić ludzi z mieszkań. RONA, czyli Russkaja Oswoboditielnaja Nacjonalnaja Armija, Rosyjska Wyzwoleńcza Armia Ludowa, dowodzona przez SS-Brigadeführera Bronisława Kamińskiego-

go, wkroczyła na Ochotę 5 sierpnia. We wspomnieniach mówiło się o nich „Ukraińcy” albo „własowcy”, ale to nie byli ani Ukraińcy, ani własowcy. Była to samodzielna, podległa SS rosyjska jednostka kolaboracyjna, doświadczona w walkach z partyzantką sowiecką w zachodniej Rosji i na Białorusi.

Wojowali ruskim sposobem, po pijanemu, rozstrzelując po uważaniu, gwałcąc kobiety i rabując, kogo się dało. Interesowała ich tylko biżuteria i złoto. I zegarki, które zakładali sobie na ręce aż po łokcie. Banknoty omijali. Papierowe złote wiatr unosił na chodnikach.

Kamiński był synem zruszczonego Polaka. „Żadnego narodu nie nienawdził tak, jak Polaków, których wspominał je-

dynie obelżywymi słowami”, wspominał von dem Bach. RONA wypędziła cywilów z mieszkań i pognęła ich na targowisko warzywne zwane Zieleniakiem przy Grójeckiej róg Opaczewskiej.

W tej liczbie znaleźli się Kaziowie i babcia Zofia. Zieleniak to był kilkuhektarowy ogrodzony murem plac. Toczyły się tam tysiące mieszkańców Ochoty. Pomiędzy uwiecznionymi rządziło prawo pięści. „Każda upływająca godzina coraz wyraźniej dzieli ludzi na zaradnych i niezaradnych i decyduje o dalszym podziale na sytych i padających z pragnienia i głodu – wspominał Ludwik Hering. – Szanse przetrwania przeważały na stronę szarego proletariatu, przemieszanego ze świetniejszą i świetną ludnością nowoczesnych bloków i ogrodowych domków tej dzielnicy”.

Zaradni mieli buraki, ziemniaki i marchew, mieli mięso, drewno na opał i konwie z wodą. Półlitrową butelkę wody sprze-

dawali za „górala” (500 zł). Ludzie odrętwiali z upału, z głodu i ze strachu. Struga gówna pod murem, kobiety rodzące pod gołym niebem, czerwone krzyczące noworodki umierające w pierwszych godzinach życia. Pod budynkiem rząd mogił. Strzały, rabunki i gwałty. Przede wszystkim gwałty. Kobiety smarowały sobie twarze sadzą albo błotem i starały się mieć jak najbardziej rozczochrane włosy. Albo wkładały pod sukienki poduszki, żeby wyglądać na ciężarne. Albo spały przykryte ciałami mężczyzn i dzieci, żeby nie wylapało ich nocne światło latarek pijanych Rosjan. Najbardziej lubili dziewczynki, nawet dwunastoletnie, oraz młode kobiety. Babcia Zofia miała wtedy czterdzieści jeden, a Irka trzydzieści dziewięć lat. Nic nie wiem o tym, co tam przeżyły.

Tylko jedno zdanie przetrwało w rodzinie z Zieleniaka: „Jak pierścienek nie chciał zejść, to ucinali razem z palcem”.

Po czterech dniach Niemcy pognali ich wszystkich na Dworzec Zachodni i wywieźli pociągami do obozu przejściowego w Pruszkowie.

STOŁÓWKA

Państwo Welmanowie przyjęli moją mamę serdecznie. Dali pokój w swoim siedmiopokojowym mieszkaniu. Doktor Roman Welman, znany ginekolog i położnik, nie włączył się w powstańczą służbę zdrowia. Był od samego początku absolutnym przeciwnikiem powstania, twierdził, że Sowietom nie mają żadnego interesu, by przyjść mu z pomocą. Natomiast przyjmował swoje ciężarne pacjentki.

Przy długim stole w jadalni u doktorostwa Welmanów siadało czasami nawet i dziesięć osób: starszy pan Milewski, ojciec pani Hani, jakaś ciotka-rezydentka, siostra doktora pani Łagunowa, jego bratanica Bożena Welmanówna, przyjaciółka babci Zofii i sąsiadka z Narbutta pani Iwona Ślaska i inni. Pani Hania jeszcze przed powstaniem zgromadziła zapasy kaszy, mąki, cukru i zasuszyła spory woreczek cebuli.

Po wodę moja mama chodziła razem z Elą, służącą Welmanów, do studni kilka posesji dalej. Pomiędzy sąsiadującymi domami były w piwnicach przejścia. W piwnicy koczowały tłumy. Czternastoletnia Jowita Gerwelówna, córka laryngologa doktora Tadeusza Gerwela, sąsiada Welmanów (który rok wcześniej leczył mamę na trzeci migdałek), syczała na moją mamę: „Co tak łazisz, co się popisujesz?”. Ona sama bała się bardzo nalotów i pocisków z „krów”, czyli wyrzutni rakietowych dużego kalibru, i prawie cały czas siedziała w piwnicy.

Mama zdziwiła się. Przez całe powstanie miała przekonanie, że nic jej się nie może stać. Pani Hania Welmanowa skierowała mamę do pomocy w stołówce dla powstańców na rogu Kruczej i Żurawiej. Pracy nie było tam zbyt wiele, przez większość czasu nie było co robić i mama spędzała godziny na grze w bierki z kolegą w swoim wieku. Czasem pani Hania dawała mamie do rozniesienia trochę „Biuletynu Informa-

cyjnego” i to mamie podobało się bardziej.

Ulice były niebezpieczne. Z dachów strzelali „gołębiarze”, czyli snajperzy. Przed bramą jednego z domów na Wspólnej leżał zastrzelony mężczyzna w wielkiej kałuży zakrzepłej krwi. Kiedyś, kiedy mama przeżywała się pod barykadą na Kruczej, kula „gołębiarza” świsnęła pół metra przed jej nosem. Innego dnia tuż przed ścianą powstańczej stołówki spadł pocisk z „krowy”. Niewypał. Z cienkiej metalowej osłony wysypał się mialki jasnożółty proszek.

W nocy z 1 na 2 sierpnia panna Kryśka Gołębiowska wyczołgała się spod sterytu ciał w piwnicy kościoła św. Andrzeja Boboli na Rakowieckiej. Była cała pokryta krwią, ale była to krew cudza. Sama nie była nawet drażnięta. W korytarzu klasztoru spotkała zakonnicę-jezuitkę w poszarpanej i zakrwawionej szacie. Tylko oni dwoje się uratowali.

Pod osłoną nocy panna Krysia poszła do domu na Narbutta. Ta część Mokotowa była w rękach Niemców. Wkrótce potem mieszkańców wywieziono do obozu w Pruszkowie.

„WARSZAWIANKA”

Drużyna Józefa została włączona do drugiego plutonu kompanii „Warszawianka”, świeżo sformowanego zgrupowania „Chrobry II”. Zgrupowanie obsadziło pogranicze Woli i Śródmieścia.

3 sierpnia oddział Józefa dostał rozkaz wymarszu w okolice placu Napoleona (dziś Powstańców Warszawy). Wieczorem doszli Szpitalną do Wareckiej. Znaleźli tam opustoszały posterunek granatowej policji z nienaruszonym zapasem broni. Była to pozycja z dobrym widokiem w stronę Poczty Głównej, którą wciąż obsadzały Niemcy. Przed frontem gmachu poczty znajdowały się dwa betonowe bunkry. Niemcy ostrzeliwali stamtąd cały plac.

Następnego dnia oddział Józefa dostał rozkaz przeniesienia się do Prudentialu, najwyższego budynku przedwojennej Warszawy, słynnego z późniejszego – ikonicznego dla powstania – zdjęcia przedstawiającego wybuch pocisku moździerzka wielkiego kalibru Karl. Z wysokiego piętra pluton ostrzeliwał Poczta. Potem sprowadzono ich na ziemię i rozkazano szturm. Jednak ogień niemiecki był zbyt intensywny i powstańcy wycofali się. Potem drugi szturm. I nagle okazało się, że Niemcy już nie strzelają! Okazało się, że załoga bunkrów została okalczona przez drobne odpryski betonu, powstałe wskutek – wydawałoby się – nieskutecznego ostrzału z powstańczych karabinów. Odpryski osłepiły obrońców Poczty. Poddali się. Poczta nasza! Wieczorem pluton świętował sukces w restauracji Maxim w podziemiach Prudentialu.

Oddział Józefa wrócił w rejon zgrupowania „Chrobry II”. 5 sierpnia kompania „Warszawianka” zakwaterowała się w Domu Kolejarskim, dużym gmachu na Żelaznej, róg Chmielnej. Okna wyłożono workami z piaskiem. W suterenie stało pianino. Grał na nim podchorąży „Rewel” (Lech Pankau-Kobyliński). Było światło i działała nawet winda elektryczna, bo technicy podpięli się pod kable prowadzące z elektrowni w Pruszkowie do Dworca Głównego (położonego w pobliżu obecnego Dworca Śródmieście).

Pojechalem na Żelazną. „Kolejowiec” nie został od wojny otynkowany. Zaszpalowano tylko największe dziury po pociskach armatnich. Cała fasada poznaczona jest bliznami od kul i odłamków. Przed budynkiem dwie tablice pamiątkowe. W oknie pierwszego piętra białe i czerwone pelargonie.

„Kolejowiec” był pod stałym ostrzałem z południowej strony Alej Jerozolimskich obsadzonej przez Niemców. Józef bał się, ale otuchy dodawał mu dowódca drużyny podchorąży „Zuchwały” (Andrzej Osuchowski), który w czasie strzelaniny cierał sobie skarpetki albo przyszywał guziki. „Działo to skuteczniej od jakichkolwiek słów otuchy”, wspominał Józef.

Z okien obserwowali plac Starynkiewicza. Długie szeregi cywilów, poganianych przez Niemców, opuszczały tamtędy miasto.

CMENTARZ

Tadeusz Maślankowski „Sosna” walczył w powstaniu na Woli w batalionie AK „Zośka”, był dowódcą drużyny w plutonie „Alek”. Najpierw walczył w gruzach getta. Przesłuchiwał złapanych Niemców, bo świetnie znał język. 8 sierpnia przeszedł ze swoim oddziałem z Okopowej na cmentarz ewangelicki. Cmentarz był pod ostrzałem z moździerzy. Pluton „Alek” chronił się za grobowcami. Wzdłuż cmentarnych alejek przebiegają łączniczki i sanitariuszki. Jest coraz więcej rannych, których trzeba ewakuować. W pewnym momencie „Sosna” wydaje rozkaz: „Szykować się do szturmu!

Niemcy idą od muru!”. Pluton „Alek” wyskakuje z ukrycia. Przy wyłomie w murze wiadać Niemców w szarozielonych mundurach. Strzelają seriami ze schmeisserów i karabinów maszynowych. Nacierają się nie da.

Jednak próbują jeszcze raz. Dowódca plutonu „Kołczan” (Eugeniusz Koecher) upada na ziemię. Kula przeszła mu mózg. Niemcy stopniowo, korzystając z nawały swojej broni maszynowej, posuwają się w głąb cmentarza. „Sosna” daje rozkaz wycofania się. Po chwili sam pada. Śmiertelny postrzał.

W ten sposób pani Maślankowska straciła starszego syna. Młodszy został wcielony do Wehrmachtu i zginął pod Stalingradem.

KRZYŻ WALECZNYCH

15 sierpnia dowódca „Warszawianki” nakażąc atak na znajdujący się po drugiej stronie Alej gmach Dyrekcji Filtrów. Budynek okazał się pusty.

Tak jej było szkoda, że nie miała powstańczego wyglądu: ubrana w letnią granatową sukienkę i płócienne pantofle. Zazdrościła łączniczkom w sportowych wiatrówkach, z chlebakami przez ramię

Józef zajął odosobnione stanowisko na pierwszym piętrze w dużej sali biblioteczonej od strony podwórka. Po godzinie spokoju zaczął się ostrzelać z karabinów maszynowych. Strzelał też czołg. Nadleciały stukasy i zaczęły zrzucić bomby.

Wtedy zaatakowała niemiecka piechota. Józef strzelił parę razy z karabinu, ale bez skutku. Słyszał niemieckie głosy spod okna. Odbezpieczył jedyny granat, który miał. Już miał go rzucić, kiedy rozległ się huk i pomieszczenie wypełniło się pyłem i dymem. Strzał z czołgu prosto w okno. Józef nic nie widział. Po chwili wahania postanowił się wycofać, cały czas trzymając w ręku odbezpieczony granat. Z opustoszałej biblioteki dobiegły niemieckie głosy. Józef rzucił granat i zbiegł na dół. Tam zastał resztę oddziału. Wycofali się za Aleje do budynku Poczty Dworcowej, położonego naprzeciwko „Kolejowca”.

Następnego dnia do „Warszawianki” dotarło obwieszczenie generała „Montera”. Awanse i odznaczenia za udział w akcji. Józef został odznaczony Krzyżem Walecznych. 16 sierpnia dowództwo postanowiło zorganizować patrol dla wspomnienia odcinka północno-zachodniego na Woli. Należało zgłaszać się na ochotnika. Józef z oddziałem poszedł ulicą Żelazną w stronę Łuckiej.

Przed bramą jednej z kamienic stał zaimprowizowany z płyt chodnikowych bunkier. Pomiędzy płytami znajdowały się szczeliny strzelnicze.

Z rogu Łuckiej i Wroniej strzelał niemiecki czołg. Pociski przenosiły i padały daleko od powstańczego bunkra.

Aż wreszcie trafił.

Józefa za nogi wyciągnięto ze zwaliska. Noszy nie było. Koledzy ułożyli go na desce i ponieśli do szpitala na Śliską. „Żyje, a myślałem, że niesiecie trupa” – takie zdanie zapamiętał Józef. Poza tym co chwilę tracił przytomność. Nie wiedział, co się stało, gdzie jest.

Przednią część głowy miał zmiażdżoną. Pod dziurą wielkości mandarynki pulsował mózg. Józef miał rozerwaną wargę, zraniony język i wyłamany szereg zębów wraz z kością. Oczy miał przewiązane bandażem. Nic nie widział. „Czy osłepłem?”, myślał przerażony.

Potem szpital został ewakuowany. Rozchodziły się wieści o mordowaniu w szpitalach chorych i personelu. Józef, niesiony na noszach, kurczowo trzymał przy sobie parę butów.

Trafił do zaimprowizowanego szpitala na rogu Marszałkowskiej i Chmielnej. Lekarz, doktor Muc, ogolił mu głowę, opatrzył ranę czoła i skroni. Odsłonił oczy. Józef widział!

Ale nie mógł jeść. Tylko rozwodnione papki. Nie miał siły wstać z łóżka. Wtedy obok spadła bomba i szpitalik zaczął się palić. Ale znalazły się dwie drobne dziewczyny w harcercskich mundurkach. Z trudem zniosły Józefa na parter i do kolejnego lazaretu przy Chmielnej. On jednak też został zbombardowany i rannych trzeba było przenieść do piwnicy.

Po kilku dniach spędzonych między piwnicznymi gratami i pryzmą węgla przyszedł rozkaz przeniesienia rannych na drugą stronę Alej Jerozolimskich, nazwanych wtedy Alejami Sikorskiego. Józef był już w stanie iść. Nie miał ubrania, zarzucił więc na siebie koc. Przeszedł wykopem przez Aleje.

Zatrzymał się w szpitalu w gmachu architektury na rogu Koszykowej i Lwowskiej. Umyto go i położono na łóżku pokrytym białą, świeżą pościelą. Doskwierała tylko głód. Kawalek suchara i rozbełtana w gorącej wodzie marmolada nie wystarczy, żeby się najęść.

Nagle gmach zatrzęsł się, na sali pociemniało, masy gruzu posypały się za oknem. To pocisk moździerzka wielkiego kalibru zniszczył sąsiednią kondygnację. Rannych natychmiast przeniesiono do podziemi.

Żartowali sobie – ten bez obu nóg, ten bez ręki – kto i w jaki sposób będzie żebrał, żeby utrzymać się przy życiu. „Mam szczęście, że tylko oberwałem w głowę”, wspominał Józef.

WYJŚCIE

Moja mama wydawała powstańcom posiłki. Po służbie poszła do punktu na Kruczej obsadzonego przez artystów plastyków, którzy na potrzeby powstania wykonywali plakaty i odezwy. Poprosiła ich o papier i ołówki – jej ulubionym zajęciem było rysowanie. Przyjęto ją serdecznie i zaopatrzone we wszystkie materiały. Najtroskliwiej zajął się nią rzeźbiarz Alfons Karny. „Śmieszna dziewczynka z warkoczycami”, jak to sformułowała moja mama, spodobła mu się. „Jak powstanie szczęśliwie się skończy, to przyjdź do mnie do pracowni na Hożą. Wyrzeźbię cię”.

Popołudniami, kiedy nie była potrzebna w stołówce, mama siedziała w mieszkaniu państwa Welmanów i rysowała sobie w zeszycie. Tworzyła własny żurnal, projektując stroje i fryzury. Tak jej było szkoda, że nie miała powstańczego wyglądu: ubrana w letnią granatową sukienkę i płócienne pantofle. Zazdrościła łączniczkom w sportowych wiatrówkach, z chlebakami przez ramię.

W kwartale kamienic zaczęło się robić coraz mniej bezpiecznie. Uderzały pociski z „krów” i moździerzka wielkiego kalibru, który burzył całe kamienice od strychu do piwnic. Rodzina Welmanów postanowiła opuścić miasto. Pani Hania ubrała mamę w swój ciepły żakiet i 8 września poszli wszyscy na plac Politechniki. Tłum cywilów szedł Nowowiejską i Wypaloną Filtrówą, i dalej na Dworzec Zachodni, gdzie zostali załadowani do towarowych wagonów i zawiezieni do obozu w Pruszkowie.

Parę dni później w pokój w mieszkaniu Welmanów, gdzie mama rysowała sobie swoje żurnale, uderzyła bomba.

Z obozu przejściowego w Pruszkowie można było trafić do Auschwitz, na roboty do Rzeszy albo na wysiedlenie do wsi Generalnego Gubernatorstwa. Moją mamę wyprowadziła pani Iwona Ślaska, która miała u Niemców przywileje dzięki dokumentowi potwierdzającemu, że jest wdową katyńską.

Rada Główna Opiekunów prowadziła rejestr wszystkich ocalałych wraz z adresami. Mama odnalazła ciotkę Irkę wraz z Kaziem u przyjaciół, państwa Wehrów, w Milanówku. Tam połączyła się ze swoją mamą, babcią Zofią.

Tymczasem w drugiej połowie września Józef wrócił ze szpitala do „Kolejowca”. Nie nadaje się do służby, rana głowy ropieje, ale jest przynajmniej wśród swoich towarzyszy. Potem dowiadują się o kapitulacji. Jeden z kolegów wściekle roztrząskuje o łóżko swoją gitarę.

Józef z transportem rannych odjeżdża w wagonie towarowym z pryzcami pod ścianami. Strażnika udało się dość szybko przekupić i skłonić do drobnych przysług, jak na przykład dostarczanie wody. Pociąg jechał powoli. Koledzy w rogu wagonu zagadali strażnika. Józef i kolega z pierwszego plutonu, Marek Kostyrko „Bomba”, wyskoczyli i ukryli się w krzakach przy torze. Nikt nie zauważył. Nikt nie strzelał.

Przenocowali w domku kolejarzy. Tam pierwszy raz od prawie dwóch miesięcy Józef zjadł ziemniaki. Potem poszedł do Milanówka. Spotkał tam kolegów z kompletów medycznych. Jest dobrze żywiony, rana jest zaopatrzona. Kiedy pierwszy raz wychodzi na świeże powietrze, na ulicy spotyka swoją siostrę – babcię Zofię. Pojechali do Łowicza, gdzie już byli pradziadkiem z małą Zosią i panną Krysią.

Przeżyli. Wszyscy przeżyli. Józef został ordynatorem neurologii w Zabrzu. Bóle głowy nękały go przez całe życie. Zmarł w 2018 roku, pięć dni przed 95. urodzinami. Moja mama ma 91 lat i wciąż pamięta. ●

Bibliografia: Bogdan Józef Głowacki, „Zapamiętane z życia”, 2013; Aleksandra Czeszulin-Cicha, „Mój epizod powstańczy”, 1995, maszynopis; „Pamiętniki żołnierzy baonu AK »Zośka«”; Ludwik Hering „Ślady”, 2011; Agnieszka Rybak, „Ogrodnicy, którzy wydali pasterza”, „Rzeczpospolita” 21.06.2008; Andrzej Kownacki „Jerzowski”, „Jak powstało i walczyło zgrupowanie »Chrobry II«”, 1993; Jerzy Rutkowski „Sęk” (red.), „Kompania »Warszawianka« Narodowych Sił Zbrojnych w Powstaniu Warszawskim”, 1996.

OGŁOSZENIA



By nie zapomnieć.
79. rocznica wybuchu
Powstania Warszawskiego

ORGANIZATORZY

wyborcza.pl
wysokieobcasy.pl
ODESZLI.pl

PARTNER
MERYTORYCZNY

Muzeum Powstania
Warszawskiego

PARTNERZY

BROWARY
WARSZAWSKIE

budimex

MEDCOM

MUZEUUM
WARSZAWY

34265911

Kto się przezywa, sam się tak nazywa

Przyczyny przezywania się i nękania innych u nastolatka i u pana Kaczyńskiego są takie same

Marcin Matczak

Pamiętajcie o tym ryżym”, powiedział pan Kaczyński o Donaldzie Tusku i tym samym ładnie przedstawił się nam tutaj w tej chwili przed milionami słuchaczy.

Bo czegoż w tej wypowiedzi nie ma!? Jest szkolne chamstwo na przykład, uprawiane na szczytach polityki. Znany z angielskiego „bullying” – przezywanie się i nękanie, którego przyczyną i u nastolatka, i u Kaczyńskiego są takie same: poczucie niepewności, niska samoocena, problemy w domu i najprawdopodobniej fakt, że samemu było się wielokrotnie jego ofiarą.

Jest rasizm, bo czym jest przypisywanie ludziom cech charakteru na podstawie cech ciała? Niby niewinny, ale grający na stereotypach „rudzy to nie kolor, to charakter jest” taki żoliborski rasizmek, jak trybunalski rasizmek Pawłowicz, która kiedyś analizowała moją fizjonomię i porównywała ją do fizjonomii stepowego kalmuka.

Jest prostactwo intelektualne, jeśli „ryż” ma być spóźnioną odpowiedzią PiS na „bambika”. „Ryż” nie ma lotności, nie ma delikatności zmiękczenia, odnosi się nie do działania osoby, ale do niej samej.

I jest coś najważniejszego i groźnego. Chamstwo premierostwa, czyli nadawanie chamstwu pierwszeństwa: nie tylko jako narzędziu polityki, ale czynienie z chamstwa zasady naszych interakcji.

Bo to, że premier zachowuje się jak chamowaty nastolatek, zmienia wszystko. Jedna sprawa bowiem to tolerować chamstwo, które mimo wszystko trochę niepewnie wychyla się z ludzi, czy nawet chamstwo ośmielać, by wyszło z piwnicy i rozsiadło się w salonie. Zupełnie inna – uczynić chamstwo normą naszego życia.

Kochani zwolennicy kultury osobistej Prezesa! Jak będziecie się kiedyś zastanawiać, dlaczego dzieci niszczą inne dzieci, wyzywając je od grubasów, kurdupli i rudych, przypomnijcie sobie, proszę, tę wypowiedź inteligenta z Żoliborza o „ryżym”. Ryba psuje się zawsze od głowy. Bo ludzie naśladowują. Coraz więcej sędziów mówi o agresji na sali sądowej, gdzie podsądni grożą „odwołaniem” do Ziobry i zniszczeniem sędzię. Coraz częściej wulgarność, szantaż i podstęp stają się normalnym sposobem bycia ludzi ze sobą. A edukacja do chamstwa staje się nowym programem partii rządzącej.

Jak będą się zachowywać nasze dzieci, skoro prezydent RP w pełnej godności swego urzędu mówi „nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz”, a wicepremier wyzywa lidera opozycji od „ryżych”? Przecież ta dumna Czwarta Rzeczpospolita zamienia się pod kierownictwem tych ludzi w czwartą klasę podstawówki. Niech jeszcze Błaszczak pociągnie Barbarę Nowacką za warkocz, a śmiechu będzie co niemiara.

Krzyczycie, że słowa Kaczyńskiego to nic przy ośmiu gwiazdkach. Czy wasza niezdolność precyzyjnego widzenia rzeczy naprawdę jest tak głęboka, że nie dostrzegacie różnicy (uwaga, metafora) między sytuacją, w której uczniowie wyzywają nauczycieli i siebie nawzajem, a sytuacją, w której dyrektor szkoły wyzywa w taki sam sposób innego nauczyciela? Naprawdę nie widzicie różnicy między chamstwem tłumy a publicznym promowa-

niem chamstwa przez szefa państwa, który czyni patologię standardem?

Kaczyński uwiarygodnia prostactwo, schlebia temu wulgarnemu rehotowi, znanemu ze szkolnych korytarzy, którym niepewne swojej męskości podrostki atakują innych. Gdyby kpil, można by się w tym doszukiwać złośliwej, ale jednak inteligencji. Gdyby stosował sarkazm, byłby tu przewrotny hold złożony rozumowi, którego wymaga ironia. Ale Kaczyński pokazuje nieprawdopodobną więc słabość zakompleksionego młodzieniaszka, którego nie stać na nic innego niż groźne „chcesz w ryj” kryjące bezradność.

Różnica jest taka, że kiedyś mówiło się tak na dnie społeczeństwa, a teraz mówi się tak na szczytach. Oznacza to, że naprawdę wszystko stanęło na głowie.

To, że chamstwo i agresja stają się standardem, jest szczególnie groźne, gdy wokół nas rozwija się poważny kryzys sprawczości. Młodzi ludzie w badaniu „Młode głowy” Fundacji Unaweza mówią, że nie mają wpływu na swoje życie, że popadają w apatię. To wyzwała w nich chorobliwy podziw dla tych, którzy ze światem się nie certolą. Którzy nie gadają (ileż można gadać), ale działają. A czyż jest coś bardziej aktywnego niż agresja? Dlatego kiedyś chwalił żalostnego Korwina, gdy policzkował Michała Boniego, dlatego kibicowali chłopczkowi, który uderzył na Przystanku Woodstock Grzegorza Miecugowa. Dziś się podziwiają rumcajsowatego Brauna, gdy ten wyrzywa mikrofon i rozwała głośniki, tak jak podziwiał się awanturnika na dyskotecy, który rzuca się na obcego ze sztachetą, bo przecież nie będzie z nim gadał.

Ostatecznym symbolem tej fascynacji przemocą, którą młodzi postrzegają jako sprawczość, jest nieprawdopodobna wręcz popularność walk celebrytów w klatce organizowanych w ramach gali Fame MMA. Już nie siła sztuki decyduje o podziwie dla artysty, ale siła kopa, którego potrafi wymierzyć innemu artyście. Zdolność do „masakrowania” w każdym możliwym sposób – ciosem w twarz, ale też obelgą, bluzgiem czy argumentem – staje się miarą jakości człowieczeństwa.

Ludzie, którzy podziwiają agresję, najpierw słowną, a potem fizyczną, są żałośnie bezsilni. To hejterzy, którzy nie potrafią sobie poradzić ze światem, bo są przegrywami. Jedyne, co im zostaje, to ich hejterskie voodoo – niewiele mogą zrobić, więc chociaż wetkną komuś symboliczną szpilkę z przesadnym przekonaniem, że gdzieś tam go ona naprawdę sparaliżuje albo wykrzywi w spazmie bólu.

Mam nadzieję, że wszyscy zdajemy sobie sprawę, dokąd zmierza świat, w którym coraz mniej się dyskutuje, a coraz częściej wali w twarz, wyrzywa tęczowe torebki czy mikrofony i z uśmiechem na twarzy czeka się na pochwałę od premiera czy ministra sprawiedliwości. Powoli przesuwamy się ze świata normalnego do świata nienormalnego.

Na przykład do świata, w którym premier Morawiecki cieszy się jak dziecko ze słów Sławomira Sierakowskiego, uznając za pochwałę twierdzenie, że PiS jeszcze nie rozstrzeliwi Polaków. Gratulacje, panie premierze! Naprawdę stworzyliście raj na ziemi! ●



„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”. Książka Marcina Matczaka już w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

Rydwan

Dwa rodzaje miłości zalewają nas słodyczą z dwóch stron

Michał Rusinek

Już się obawialiśmy, że retoryka polityków w przedwyborczym okresie będzie miała charakter wojenny, a tymczasem zarówno partia rządząca, jak i największa partia opozycyjna postanowiły nas zaskoczyć i postawiły na miłość. Walka polityczna odbywa się więc na dwa rodzaje miłości, które zalewają nas słodyczą z dwóch stron.

Politycy i polityczki Platformy Obywatelskiej występują z serduszkami przyklejonymi do piersi. W czasie marszu 4 czerwca Donald Tusk mówił: „Nasze dzieci przygotowały symbol marszu: białoczerwone serduszko. To znaczy jedno – że wszyscy mamy Polskę w naszych sercach, wszyscy mamy w sercach naszą ojczyznę. To jest rzecz dla nas wszystkich najważniejsza. Tak długo jak mamy Polskę w sercach, tak długo nikt i nic nam nie zagrozi. Czym jest Polska w naszych sercach? To nie jest abstrakcyjny termin. Polska to wolność, solidarność, miłość do ziemi, rodaków i historii. Czujemy, że od lat Polską rządzą ludzie, którzy nie potrafią kochać, zaklamali słowo »solidarność« i każdego dnia zabierają nam wolność kawałek po kawałek”.

Z drugiej strony przychodzi do nas inna fala miłości: hashtag #miłoscidoPolski został umieszczony na mównicy w Pułtusku, z której przemawiał Jarosław Kaczyński; serduszek wokół sceny też było sporo. To samo hasło pojawiło się już 14 lutego 2022 roku, czyli w walentynki, a zarazem w 80. rocznicę przemianowania Związku Walki Zbrojnej na Armię Krajową. Instytutowi Pamięci Narodowej chodziło wówczas o to, żeby połączyć święto zakochanych z ważną datą w historii Polski i pokazać, że umiłowanie Ojczyzny jest uczuciem wzniosłym, ale jednak – uczuciem, o którym warto, zwłaszcza w tym dniu, przypomnieć. Posługiwanie się tym samym hasłem teraz przez PiS powoduje jednak, że pobrzmięwa w nim szcęk broń. A nawet domyślna deklaracja: jeśli będzie trzeba, to chwycimy za broń, jeśli miłość do Polski nas do tego skłoni.

Tusk zarzuca PiS-owi, że nie potrafi kochać. Natomiast PiS – na przykład ustami pani minister Marleny Maląg – zarzuca Tusku, że jego „polityka miłości, którą chce pokazywać, nosząc serduszko wpięte przy piersi, jest naprawdę polityką fałszu i zaklamania: festiwal hipokryzji i kłamstw”. Ciekawy jest tu wybór przyimka: nie „na piersi”, jak zwykle się mówi, jeśli ma się na myśli medale czy własnie przypinki, ale „przy piersi”, bo pani minister zajmuje się rodziną i polityką społeczną, więc myśli o matce, która ma dziecko przy piersi, a w każdym razie słowo „piers” tworzy jej automatycznie macierzyńskie wyrażenie przyimkowe. Nawet jeśli nie jest to pierś kobieca. Tak czy owak, pani minister zdaje się przestrzegać, byśmy się nie dali (nie dały) zwieść serduszkom: miłość deklarowana przez przewodniczącego PO jest fałszywa.

Mało tego: ta fałszywa miłość to tak naprawdę nienawiść. I to nienawiść nie byle jaka: „Donald Tusk razem ze swoimi przyjacielami, którzy zostali zaprzęgnięci do tego rydwanu nienawiści, rozpoczął skoordynowaną kampanię nienawiści przeciwko drugiemu człowiekowi, przeciwko polskiemu rządowi”. Zaczniemy lekturę tego zdania od końca: o jakiego człowieka chodziło pani minister? O funkcjonariusza policji lub lekarza czy lekarzkę, którym zarzucono przekroczenie uprawnień? O człowieka w sensie istoty ludzkiej, czyli przez duże C? Czy też o jednego konkretnego człowieka, przez duże J – skoro obiektem tej kampanii okazał się ostatecznie, pod koniec zdania pani minister, rząd? To pytanie musi pozostać bez odpowiedzi. Zresztą – nieistotne. Istotne jest to, że Tusk mówi o miłości, a prowadzi kampanię nienawiści. Nie prowadzi jej zresztą sam, bo ma przyjaciół, których jednak traktuje w sposób nieludzki, zaprzęgając do swojego rydwanu. Czyli nie tylko nie można liczyć na jego miłość, lecz także na jego przyjaźń. Czy można bowiem przyjaźnić się z kimś, kto nas traktuje jak zwierzęta pociągowe?

Centralnym słowem tego zdania jest jednak „rydwan”: używany w starożytności dwukołowy pojazd konny otwarty z tyłu, stosowany do walk lub wyścigów. Stała nam więc w oczach wykrzywiona, ale jakże szlachetna twarz Charltona Hestona z filmu „Ben-Hur”. Niektórym mogły się przypomnieć także przedstawienia malarskie – na przykład Tycjana – i przedstawione na nich pojazdy, którym zajechali na własne wesele Ariadna i Bachus. Przypomnę, że rydwan panny młodej zaprzężony był w dwa tygrysy, pana młodego zaś – w dwa kozły, a więc i zwolennicy, i przeciwnicy Donalda Tuska oraz jego przyjaciel mają tu spore pole do interpretacji. Co więcej, owym zwolennikom rydwan kojarzyć się może z zaprzężonym w skrzydlate konie pojazdem Heliosa, boga Słońca, źródła życia i światła, o tak promiennym obliczu, że mało kto odważał się spojrzeć mu prosto w oczy. Przeciwnicy natomiast mogli sobie wyobrazić Faetona, syna Heliosa, który pożyczył raz od ojca rydwan słońca, ale że nie miał wprawy w prowadzeniu go, nieomal spalił niebo i ziemię, więc Zeus musiał go strącić na ziemię piorunem. Kinomanom zdanie pani minister może przywieść na myśl „Rydwany ognia”, film Hugh Hudsona przedstawiający rywalizację dwóch sportowców, którzy dążą do zwycięstwa z różnych pobudek: jeden ku chwale Bożej, a drugi – w imię równości i walki z uprzedzeniami.

Mimo wszystko trudno dociec, dlaczego pani minister Maląg posłużyła się akurat taką metaforą, zwłaszcza w kontekście nienawiści. Oprócz wspaniałych pod względem retorycznym, bo ambivalentnych odniesień przenośnia ta pokazuje, że politykę przedwyborczą postrzegamy jako wyścigi. Zawodnicy prześcigają się w deklarowaniu miłości do swojego kraju, ale zioną nienawiścią do siebie nawzajem. Jednak nie o miłosne wzloty czy nienawistne knowania tu chodzi, ale o zwycięstwo w wyborach. I nie ludźmy się, że będzie to szlachetna sportowa walka. Nawet jeśli wyobraźmy ją sobie jako wyścigi szlachetnych rydwanów. ●



BŁYSKAWICA I MATKA BOSKA

Jak w realnym państwie pogodzić oba światopoglądy? To jest możliwe tylko
w obłąkanym śnie nad ranem



FOT. JACEK MARCZEWSKI/AGENCJA GAZETA

Pani Irenka z Podlasia, którą znam od lat, święcie wierzy, że na Polskę idą bezbożnicy, chcąc ją zniewolić i oddać Niemcom. Natomiast syn pani Irenki czuje się zdezorientowany, kiedy to, co TVP nazywa garstką, okazuje się nieprzeliczonym tłumem.

zienia. Więc jaki mamy reżim? Pelzający, dławiący, dla wielu niestety niewidzialny. Jeszcze nie.

Ale miewa pani dejà vu?

– Oczywiście, że mam. Ten smutny Sejm odgradzony barierami, jednopartyjność, zagarnięte instytucje państwa, ale też – co tu mówić – twarze te same. Ten sam rodzaj małych, cynicznych karierowiczów. No i przede wszystkim zarządzanie przez strach. Tyle tylko, że teraz trudnej tak rządzić. My jednak już nie jesteśmy homo sovieticus. Możemy dać się manipulować, ale możemy też wyjść na ulicę. Na razie możemy.

Ostatnio minister kultury Piotr Gliński wysłał pani list gratulacyjny z okazji pani 70. urodzin. Dziękował pani za społeczne zaangażowanie, dokonania artystyczne, nawet odniósł się do tego słynnego zdania o końcu komunizmu. Przeczytała pani, odpisała i odesłała korespondencję do ministerstwa.

– No oczywiście, że odesłałam. Jest coś surrealistycznego w tym, kiedy minister z PiS-u pisze, że „chyli czoła przed moją odwagą”, przed zdaniem o końcu komunizmu i przed działalnością publicystyczną i społeczną. A przecież przez cały czas władzy PiS-u moja działalność była jednoznacznie skierowana przeciw jego działaniom, więc czego on mi właściwie gratuluje? Już nie ma silniejszego sygnału niż mój wierszyk na festiwalu Dwa Teatry, kiedy odbierałam główną nagrodę za spektakl „Gola baba”. Wiedząc, że to jest transmisja TVP na żywo, powiedziałam prosty dwuwiersz w stylu granej przeze mnie postaci: „Żadne nagrody nie naprawią szkody, jakie nam funduje rząd, co państwo psuje”. Więc minister kultury w jakimś sensie podziękował mi za ten wierszyk.

A tak już poważnie, list zbiegł się w czasie z pomysłem PiS-u na powołanie komisji ds. badania wpływów rosyjskich. Napisałam, że skoro minister darzy mnie szacunkiem, to czuję się uprawniona, żeby mu doradzić. Więc poradziłam, żeby w obliczu tego skandalu złożył partyjną legitymację i podał się do dymisji. Jeśli ma jeszcze jakiegokolwiek resztki sumienia.

Skąd imperatyw, by w takich sytuacjach nie milczeć?

– Nie mam osobistego imperatywu, tylko pewnego rodzaju impulsy. Nie umiem te-

go inaczej nazwać. One zresztą przecież nie dotyczą tylko władzy PiS-u, czasem idę poza granice poprawności drugiej strony. Oczywiście, że to bywa męczące, cena jest wysoka i raczej nie należy oczekiwać nagrody. Można się powoływać na słynną sentencję „mowa jest srebrem, milczenie złotem”, ale jakby się świat składał z przemilczeń, tobyśmy mieli jeszcze pańszczyznę.

Po 8 latach władzy PiS-u wiele osób tego rodzaju impulsów już nie ma. Stworzona przez władzę struktura partyjno-państwowa oblepiła nas z każdej strony, wywołała poczucie sporego zmęczenia. Nie wszyscy mają już siłę reagować.

– No bo to jest właśnie obliczone na zmęczenie. Stary sposób władzy autorytarnej. Staram się nie wpadać w taką pajęczynę właściwie od dnia, kiedy części posłów nie pozwolono wejść do Sali Kolumnowej w Sejmie i brać udziału w głosowaniu.

Przecież to było tak dawno, w grudniu 2016 r.! W Polsce PiS-u codziennie wybuchają po kilka afer. Tamtą mało kto już pamięta.

– Nie rozumiem dlaczego. Nie umiem i nie chcę umieć zapomnieć tego wejścia zagrodzonego krzesłami. Przecież to była fizyczna bariera, realna agresja. Dla mnie PiS ciągle ma twarz posła, który zagradzając wejście krzesłem, krzyczał: „Idź stąd!”. Od tamtego czasu to tylko eskaluje – przenoszenie niewygodnych sędziów, prokuratorów to tylko inna forma fizyczności, a pomysł z komisją ds. badania wpływów rosyjskich jest niczym innym jak kolejnym sposobem na budowanie bariery dla opozycji.

Wygląda na to, że się ten pomysł PiS-owi wywrócił...

– Bo właśnie nie do końca tak jest z tym zmęczonym i uśpionym społeczeństwem. Marsz 4 czerwca pokazał, że się budzimy w sytuacjach podbramkowych i nie jest tak, jak już sądzono, że ludzie nie da się poderwać. Sami się poderwą, jak będzie trzeba, i właściwie PiS zrobiło sobie modelową niedźwiedzią przysługę tą komisją. Zmobilizowaliśmy się na potęgę. Oczywiście, że wierni widzowie TVP uwierzą, że to był jakiś niewielki pochód zdrajców narodu.

Na przykład pani Irenka z Podlasia, którą znam od lat, święcie w to wierzy. Jest przekonana, że na Polskę idą bezbożnicy,

Z **JOANĄ SZCZEPKOWSKĄ**, AKTORKĄ, REŻYSERKĄ, PISARKĄ, ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAS**

34 lata temu dostała pani prezent od losu. To nie Wałęsa, Mazowiecki, Wojtyła czy nawet nie Jaruzelski ogłosili koniec komunizmu w Polsce. 28 października 1989 r. zrobiła to w „Dzienniku Telewizyjnym” Joanna Szczepkowska. A skoro jest pani znawczynią reżimów, to zapytam: jaki mamy obecnie?

– Od razu oprotestuję słowo „prezent”. Niczego nie dostałam od losu, tylko skorzystałam z okazji, jaka się nadarzyła, żeby powiedzieć to, co przedtem było nie do pomyślenia. Postanowiłam wtedy zachować się jak wolny człowiek i sprawdzić, co się stanie. Często jestem zagadywana o to, czy na pewno się skończył ten komunizm, skoro mamy to, co mamy. Odpowiadam zawsze

tak samo: wtedy mieliśmy w Polsce wojska radzieckie, był wróg zewnętrzny. To, co jest teraz, zrobiliśmy sobie sami.

A jaki mamy reżim? Z jednej strony gdyby słowo „reżim” było całkiem adekwatne, to pan by siedział za takie pytanie, a ja za odpowiedź. Z drugiej strony są takie obszary, do których to słowo idealnie pasuje – reżim odczuwają prokuratorzy, sędziowie, reżim mamy w medycynie, w szkolnictwie, czyli wszędzie tam, gdzie indywidualne decyzje wynikające z kompetencji są blokowane przez władzę i jest po prostu system zarządzany strachem. Reżim odczuwają ludzie LGBT, a ostatnia decyzja Ziobry w błażej pozorowanej sprawie tęczowej torebki jasno to pokazuje. Napadniesz kogoś, wyrwijając mu torebkę – siedzisz za chuligaństwo z nakazu Ziobry. Napadniesz za wyrwanie tęczowej torebki, Ziobro wypuści cię z wię-

chcą ją zniewolić i oddać Niemcom. Natomiast syn pani Irenki, wprawdzie z tej samej bajki, ale jednak korzysta z internetu i czuje się zdezorientowany, kiedy to, co TVP nazywa garstką, w internecie okazuje się nieprzeliczonym tłumem.

Ja zresztą myślę, przynajmniej dziś, że PiS nie dopuści do wyborów. Powie, że trzeba wprowadzić stan wyjątkowy, stworzy jakąś atmosferę zagrożenia, o co przecież dzisiaj nietrudno, i oddali termin. Tylko że to go jeszcze bardziej skompromituje i może ruszą się ci, którzy nie mają zamiaru głosować. Bo tak naprawdę oni są w tej grze najistotniejsi.

A czy gdyby wybory wygrała opozycja, to pani zdaniem dojdzie do rozliczeń? Czy też ktoś wpadnie ponownie na pomysł grubej kreski?

– Gruba kreska była możliwa na romantycznej fali w '89, kiedy prawo było dopiero stanowione. W naszych czasach jest nierealna, bo w państwie prawa, czyli w państwie bez Ziobry, wystarczy zgłosić podejrzenie przestępstwa, żeby prokuratura musiała się tym zająć. Ten, kto przy okazji burzenia demokratycznych struktur czy korupcji naruszył prawo, musi być rozliczony jak każdy, kto popełnił przestępstwo.

Gruba kreska natomiast przydałaby się na poziomie naszych podziałów, chociaż trudno to sobie wyobrazić. To było bardzo piękne, kiedy na marszu Donald Tusk mówił, że po naszej stronie jest miejsce dla wszystkich – i dla Lecha Wałęsy z Matką Boską w klapie, i dla dziewczyn ze Strajku Kobiet. To marszu to możliwe. Ale jak w realnym państwie pogodzić oba światopoglądy? Czerwona błyskawica i Matka Boska? To jest możliwe tylko w obłąkanym śnie nad ranem.

O tym, że jest pani wariatką, nasłuchiwała się pani chyba po słynnym spięciu z Krystianem Lupa. W 2010 r. zaprotestowała pani przeciwko jego metodzie podczas premiery „Persony. Ciało Simone”. Weszła pani w widownie, podniosła rękę w geście nazistowskiego pozdrowienia, odsłoniła część pośladków. Po skandalu w Genewie z udziałem Lupa ludzie mówią dziś: Szczepkowska miała rację.

– Wielu tak mówi, ale zanim zacznę odpowiadać na te pytania, trzeba wyjaśnić dwie sprawy. Przede wszystkim muszę się odnieść do tego, co Krystian Lupa powiedział o mnie w ostatnim wywiadzie dla „Wyborczej”. Nawet przy dużej cierpliwości nie da się tego przemilczeć. Okazuje się, że dyrektor Paweł Miśkiewicz na dwa tygodnie przed premierą ostrzegł go, że ja zamierzam „coś zrobić” i zapraszam „wszystkich” na ten skandal. Na dwa tygodnie przed premierą i długo później ja sama nie wiedziałam, że cokolwiek „zrobię”, więc Paweł Miśkiewicz musiałby być jasnowidzem. Nawet zabawne jest czytanie o tym, że zapraszam jakichś „wszystkich”. Ja jestem samotniczką i nie znam żadnych „wszystkich”. Nawet do mojego Teatru Na Dole przychodzili tylko widzowie z ulicy. Na premierę „Ciała Simone” zaprosiłam parę przyjaciół i moją córkę. Ta trójka nic nie wiedziała, jakby wiedzieli, toby nie przyszli.

Ale najbardziej nikczemna jest sugestia Lupy, że wywołałam skandal, żeby odwrócić uwagę i zatupać rolę Małgorzaty Braunek. Dlaczego miałabym to zrobić? Przecież ten „performance” skazywał mnie na oczywistą banicję teatralną i był dla mnie samobójczy. Dlaczego miałabym się rzucać w przepaść dla zniszczenia innej aktorki? Nikczemność Lupy tym więk-

sza, że dotyczy nieżyjącej osoby. Ja nawet rozumiem, że Krystian się na mnie mści, ale to poniżej poziomu jakiegokolwiek dyskusji.

A druga sprawa?

– Chodzi o mój stosunek do Krystiana Lupy jako do twórcy. To ważne, bo mój bunt jest utożsamiany z pogardą dla jego spektakli. Kiedy lata temu zobaczyłam genialny spektakl „Kalkwerk”, marzyłam o tym, żeby zagrać u Lupy, i wydawało mi się to niedościgłe. Byłam z innego teatru. Gdyby mi ktoś powiedział, że dostanę propozycję zagrania Simone Weil, to bym nie uwierzyła. Kiedy to się stało, powiedziałam Krystianowi od razu: „Nie wiem, czy jestem twoją aktorką, czy umiem grać tak jak twój aktorzy”. Weszłam więc w próby „Ciała Simone” z nadzieją na coś wielkiego, na doświadczenia, które otworzą przede mną nieznane możliwości, jakieś próby laboratoryjne, które potem się realizują w słynnych napięciach scenicznych czasu. Moje rozczarowanie w zetknięciu z prawdą było podobne do nokautu.

Więc teraz o skandalu.

– Oczywiście, że liczyłam się wtedy z piętnem osoby szalonej. Zresztą już znacznie wcześniej przed premierą, kiedy na Forum Polskiego Teatru alarmowałam, że dzieje się coś niedopuszczalnego, kręcili głowami. Potem pisałam o tym w obszernym artykule do portalu teatralnego. To nic nie dało, żadnych reakcji. Wtedy zdecydowałam się na ten desperacki skok. Wysłam z ram spektaklu i w dodatku w stylu ostro prowokacyjnym. Tyle tylko, że nie zrobiłam niczego innego jak tylko posłuszne wykonanie idei Krystiana Lupy, której wysłuchałam w czasie prób. „Nie jest artystą ten, kto nie umie dokonać autokompromitacji”. Oczywiście mówił to o sobie. Pytanie tylko, dlaczego właściwie. Każdy może uznać, że jest artystą, i dokonać autokompromitacji. W jednym z wywiadów przed „Ciałem Simone” Krystian nazwał mnie artystką, ale nawet gdyby nie, to gdzie jest granica sztuki i kto ją ustala? To jedno z wielu pytań, jakie mi się nasuwały w czasie tej pracy.

Jedno jest bardzo ważne i chcę to raz wreszcie powiedzieć: ja jako aktorka w czasie prób do „Ciała Simone” niczego złego ani toksycznego nie zaznałam od Krystiana Lupy. Wręcz odwrotnie – same sygnały artystycznego porozumienia. To, co zrobiłam, nie było wynikiem mojego konfliktu, tylko obserwacji, które wprawiały mnie w coraz większe zdumienie, choć przecież przez lata pracy widziałam niejedno. Większość twórców to natury narcystyczne, które się kocha i nienawidzi jednocześnie. Tu jednak zobaczyłam przerost egotyzmu, który przeradzał się w nadużycia wszelkiego rodzaju. „Ciało Simone” to był statek sklecony z niczego, bez tych legendarnych prób, za to z tym sztandarowym przyzwoleniem na autokompromitację. I nie mogłam odpędzić od siebie myśli, że taki typ egotyzmu to jest przeżytek w świecie sztuki, strata czasu, a czas jest zbyt cenny.

Pytanie, czy twórca może pozwolić sobie na wszystko, jest jednym z pytań współczesności. Krzywdą tych, co po drodze, żon, podwładnych, jest dostrzeżona i omawiana. Kiedyś z rozbrawieniem opowiadał, jak Solski podszczypywał statystki w kulisach, dzisiaj już nikt by się nie śmiał. Dlatego w całej tej dyskusji na temat Krystiana Lupy nie są istotne jego dokonania i stopień talentu. Istotne jest marnotrawstwo pieniędzy publicznych, zarobków i cza-

su innych wykonawców. Trawienie go miesiącami na wykłady o przeżyciach reżysera jest marnotrawstwem i nikt mi nie wmówi, że to jakiś rodzaj metody, że przez osmozę aktorzy doznają natchnienia.

Kiedyś na jednej z prób, kiedy kolejny miesiąc siedzieliśmy przy stole, Krystian Lupa powiedział: „Joasia nie mówi. Ciekawe, o czym ona myśli”. Mam ochotę teraz odpowiedzieć Krystianowi: o tym myślałam, że kolejny miesiąc patrzę, jak krążysz dookoła stołu, mówiąc o sobie, a na mnie czeka chory pies. I że czuję się jak darmowa terapeutka. I że jeszcze nigdy nie miałam tego rodzaju myśli.

Istnieje teraz podział na tych, którzy uważają, że teatr Lupy to artystyczna pustka, inni, że jest nagonka na mistrza sceny, a to wszystko, co robi, jest jego tajemną metodą. Ja prawdę mówiąc, nie rozumiem słowa „metoda”. Miałam dwa doświadczenia z Krystianem Lupa. Raz mnie poprosił o zastępstwo za Jadwigę Jankowską-Cieślak, kiedy zrezygnowała z udziału w „Wymazywaniu”. Mielśmy trzy pospieszne próby, a po premierze krytycy mnie pasowali na aktorkę Lupy. Potem było: „Ciało Simone”. Na próbie generalnej reżyser powiedział, że czuję się wzruszony tym, jak gram. A przecież żadnych metod nie było.

Moim zdaniem aktorki nie potrzebują metody, żeby grać, nie trzeba ich wprowadzać w jakieś szczególne stany, obnażać zbiorowo, doprowadzać do psychicznego haju. Ale to są oczywiście dywagacje artystyczne, a teraz nie w tym rzecz. W dyskusji, jaka się rozpełtała po tym moim buncie, używałam w stosunku do Lupy określenia „rozpieszczony”, co wywoływało oburzenie. Jak może aktorka wyrażać się protekcyjnie o twórcy tak genialnych spektakli jak „Rodeństwo” czy „Kalkwerk”. Niestety to, co ja obserwowałam, tylko tak można nazwać. Postępujące przyzwolenie na wszystko, brak samodyscypliny. I to się pewnie odbiło na genewskiej współpracy.

To panią zaskoczyło?

– Nie. Jeśli coś mnie zdziwiło, to fakt, że tak późno to się stało i poza Polską.

Po tym, jak zespół techniczny ze Szwajcarii opublikował swoje oświadczenie, wiele osób na Facebooku pytało mnie, czy się do tego odniosę, oczywiście w związku ze skandalem, jaki wywołałam na premierze. Zrobiłam więc streszczenie tamtych zdarzeń i moich emocji. Napisałam o tym, jak reżyser zwalniał się z prób, podając jako powód złe samopoczucie cioci. Też o tym, że z prób zrezygnowała Maja Komorowska, która do dziś nie chce o tym rozmawiać. Był jeszcze taki epizod, który zrobił na mnie wielkie wrażenie.

Jeden z aktorów, który wtedy z nami pracował, został ojcem. Poprosił o zwolnienie go z roli, bo próby przeciągały się w nieskończoność. Żona nie mogła przerwać pracy, nie było ich stać na niańkę. Życie postawiło go w sytuacji bez wyjścia. I Krystian go z tej roli nie zwolnił. To oczywiście jest możliwe, ale jednocześnie w czasie tej samej próby opowiadał, jak bardzo potrzebna mu jest miłość, jak bardzo on jej potrzebuje. Tak jakby nie wiązał tych faktów, jakby miłość dotyczyła tylko jego samego.

Bez troskie przeciąganie prób, nie liczenie się z czasem, z ludźmi, oddalenie premiery. To przekłada się przede wszystkim na bytowe sprawy aktorów, którzy nie zarabiają na próbach, tylko na spektaklach. Nie protestują, bo to miejsce pracy można stracić. Błędne koło, żerowanie na in-

stytucji, bezkarne nadużycia. A przecież wyjście wydaje się takie proste: Krystian Lupa podejmuje wysiłek stworzenia własnego teatru, idą za nim ci, którzy chcą poświęcić się dla jego sztuki. Guru teatralni tak robią. Grotowski, Brook...

A pani, kiedy przeczytała doniesienia z Comédie de Genève, pomyślała: „Miałam rację!”?

– To było raczej uczucie ulgi. Ktoś poza mną się odezwał. Oczywiście doświadczenie techników szwajcarskich było silniejsze niż moje, ja tylko obserwowałam, a oni byli bezpośrednio do tknięci.

Czy pani zdaniem ta historia z Genewy coś zmieni w polskim teatrze? Wiem, że pracownicy techniczni jednej z naszych rodzimych scen w czerwcu przy swoim stanowisku pracy wywiesili kartkę: „Wszyscy jesteśmy pracownikami La Comédie de Genève”.

– Moim zdaniem zmieni wszystko, przynajmniej w ekipach technicznych. Oczywiście, jest taka nuta w dyskusji o tym, czy teraz „rządzić będą techniczni”. Znowu nieporozumienie: oni nie chcą rządzić, tylko chcą zwykłego szacunku. Jasne, że można się wkurzyć na technika, który coś zawałił, ale najpierw trzeba z nim współpracować. Po tych szwajcarskich wypadkach odezwało się do mnie wiele osób z różnych zespołów teatralnych, mówią, że coś się w polskich teatrach uwolniło, jest więcej odwagi. Czy tak się zdarzy w wypadku aktorów? Nie wiem.

Jest na przykład taka kwestia, która mnie szczególnie interesuje, a którą też sama obserwowałam. To jest wykorzystywanie aktorów w tak zwanych improwizacjach jako autorów tekstów. Mają coś napisać albo przygotować na próbę własny monolog, który potem spisuje tzw. dramaturg. Ale czy aktorzy są wymienieni jako współautorzy? Czy ktoś im płaci za taki rodzaj pracy? Nie. Zawsze pytałam: dlaczego pracujecie za darmo? Jest wyjątek: Anna Smolar, reżyserując improwizacje, uwzględniła aktorów, są wymienieni w programie spektaklu jako współautorzy dialogów i jako jedyna dzieli się z nimi tantiemami.

Wtrąć tylko, że na stronie wrocławskiego Teatru Polskiego w Podziemiu czytamy: „14 listopada 2022 roku w nowej siedzibie Teatru Polskiego w Podziemiu Wrocław – 4 PIĘTRO – odbyła się pierwsza próba do spektaklu »Elżbieta II« Thomasa Bernharda w reżyserii Krystiana Lupy. Prapremiera zaplanowana jest na przełomie listopada i grudnia 2023 roku”.

– No to świetnie. Teatr Polski w Podziemiu nie jest instytucją typowo publiczną, repertuarową, jak rozumiem. Można manewrować zajętościami, dogadywać się co do prób itd. A może cała ta sprawa da początek większej dyscyplinie i w ogóle wszystkemu będzie w porządku? Aha. Nie jest w porządku. Właśnie przeczytałam, że kostiumy robi Piotr Skiba, partner Lupy, mój bardzo dobry kolega, ale aktor przecież. Jak zwykle. Dlaczego wszyscy zgadzają się na to, żeby odbierać pracę kostiumologom? Bo Lupa tak lubi, bo tak chce. Bo jest artystą. Czyli mamy to samo.

Ale wróćmy do wątku marnowania pieniędzy.

– Wróćmy. Może trzeba to przypominać choćby dla ostrzeżenia, gdyby takie sytuacje miały się powtarzać w teatrach instytucjonalnych. Robili-

śmy spektakl „Ciało Simone”, a termin premiery był ciągle przekładany. Sezon się kończył, on wyjechał za granicę robić inny spektakl, a teatr musiał się rozliczyć z pieniędzy przyznanych przez miasto na ten sezon, czyli je szybko wydać. Dlaczego się na to zgadzano i nikt Lupy nie zatrzymał? Przecież to są publiczne straty. W tej sytuacji Paweł Miśkiewicz, ówczesny dyrektor, zabrał się za współczesną, niemiecką sztukę pt. „Ciałopalenie”. Bardzo dobra sztuka, miałam tam grać znakomitą rolę. Rzecz w tym, że musiało być na bogato, żeby się zgadzało w kasie. Więc zaplanowano skomplikowane, drogie dekoracje. Cały tekst przesyłały jakieś windy, budowle i dla mnie było jasne jedno: jest chaos estetyczny, to się nie sprawdzi, my, aktorzy, się napracujemy, a spektakl będzie grany kilka razy. Zrezygnowałam wtedy z roli i odeszłam z teatru. To ważne, bo w tej legendzie, która narosła wokół mojego buntu, powtarza się historia o tym, że mnie wyrzucano. Otóż nie, w czasie premiery „Ciała Simone” nie byłam już na etacie w Teatrze Dramatycznym. Zostałam w spektaklu gościnie na prośbę Lupy, ale z zastrzeżeniem, że będę miała dziesięć prób, nie więcej, co zresztą też wywołało powszechne oburzenie.

Rolę, z której zrezygnowałam w „Ciałopaleniu”, zagrała inna aktorka. Kilka razy, bo tyle starczyło widzów na ten „zastępczy” spektakl. Praca zespołu była gigantyczna, wpakowane pieniądze też, a wszystko zmarnowane. To jest łańcuch zależności, jaki wynika z egotyzmu i braku odpowiedzialności wielkiego twórcy.

Od wielu lat działa pani poza teatrem instytucjonalnym. Założyła pani własną scenę – Teatr na Dole – ale pokonała ją pandemia. W czasie lockdownów organizowała pani przedstawienia w sieci jako Teatr Pudło.

– No tak. Na pewnym etapie życia można sobie albo powiedzieć „teraz już czas ja kompromisy” albo „już nie masz czasu na kompromisy”. Wybrałam to drugie. Nie mając żadnych środków, wynajęłam salkę w niewielkim klubie i grałam tam w każdą środę swoje sztuki, dawałam premiery bez reklam, bez wywiadów, na własne ryzyko, nawet bilety drukowałam sama. Moje mieszkanie zamieniło się w pracownię rzeźbiarską, malarzką, modelarską. Wiele czasu zajęło mi np. wymyślanie konstrukcji, która imitowałaby ogromny kamień, z którego ma powstać posąg Sokratesa. Kiedy stanął na scenie, to była niepowtarzalna satysfakcja. Ludzie do TND przychodzili tylko dlatego, że ktoś im o tym teatrze powiedział, z prasy nie mogli się o tym dowiedzieć. I kiedy ktoś mnie pyta o najpiękniejszy dzień w karierze, to nie opowiem o żadnej z moich nagród na festiwalach teatralnych, tylko o premierze mojego „Sokratesa”, kiedy nie wysłałam ani jednego zaproszenia, a na widowni był taki ścisk, że ja sama nie mogłam wejść na scenę. Mówimy oczywiście o bardzo małej scenie, dlatego marzyłam o większej, chciałam robić większe spektakle niż na dwoje aktorów, ale wszystko przerwała pandemia.

Wtedy, w izolacji, zrobiłam internetowy Teatr Pudło. Grałam po kilka postaci, sama to montowałam, pisałam teksty. To był rodzaj misji – można było kupić bilet, można było oglądać za darmo. Zwariowany był to czas dla mnie, ale udawało się co tydzień pokazać jakąś teatralną miniaturę. Potem pandemia się skończyła, na moje miejsce w tym klubie szybko ktoś wskoczył i od tego czasu szukam miejsca na swój teatr. Staram się o pomoc miasta, urzędów

dów dzielnic, bo mam wrażenie, że warszawiacy doceniali tę inicjatywę. Na razie dowiaduję się, że takiego miejsca nie ma, a potem, że komuś innemu przydzielono, a ja muszę poczekać, aż coś się znajdzie. Oczywiście nie chodzi o żaden podarunek, tylko o wynajem na takich zasadach, na jakich używa się coś na kulturę. Na przykład na takich, na jakich może pracować wrocławski Teatr Polski w Podziemiu.

A gdyby ktoś dziś zaproponował pani powrót do teatru instytucjonalnego, na przykład na jedną ze scen warszawskich, chciałaby pani?

– To jest takie pytanie, jakby podróżnika z poranionymi stopami zapytać, czy chce do domu. Z jednej strony tak, oczywiście, a z drugiej, skoro uciekło się tak daleko, żeby zaznać czegoś prawdziwego, bez zabezpieczeń, to jaki sens po-

Wiele lat zastanawiałam się, czy dobrze zrobiłam, spektakularnie wycofując się z honorowego komitetu poparcia Bronisława Komorowskiego w 2015 r.

wrotu? Odkąd zaznałam tego, czym jest spełnienie marzeń o autorskim teatrze, nie wyobrażam sobie narzuconego repertuaru. Teatr Na Dole był chyba jedynym autorskim teatrem na terenie Warszawy. Nie wiem, jak długo wytrzymam ten stan nadziei na swoje miejsce, choćby małe, ale każdego dnia gdzieś dzwonię, gdzieś chodzę, szukam. Grammy na razie, gdzie się da.

Niedawno ukazał się pani zbiór opowiadań „Wyspa Teo” i tam pojawia się wątek katastrofy klimatycznej. Czy to teraz dla pani najważniejsza sprawa?

– Klimat to kwestia przetrwania, więc co może być ważniejszego? Ale „Wyspa Teo” nie jest o klimacie. To pięć historii z różnych epok. Klimat jest w tle – coraz mniej przewidywalny i coraz mniej przyjazny. Dotyczy i słynnej śpiewaczki operowej, i autystycznego chłopca, wieloryba, i wszystkich innych bohaterów opowiadań. Ten klimat jest za oknem, nad powierzchnią Oceanu i pozornie oderwany od tego, co się komu przydarza. Bohaterka opowiadania z XIX wieku, która boryka się z alkoholizmem, patrzy ufnie w niebo, wiedząc, że za rok będzie takie samo lato. Dziennikarka z opowiadania współczesnego nie jest pewna, czy jutro wiosna nie zamieni się w zimę. Wieloryb myli szlak, który poprzednie pokolenia pokonywały przez stulecia. To wszystko jest dla uważnego czytelnika, bo to są opowieści wielowarstwowe, o tajemnicach, o świecie wewnętrznym, o poszukiwaniu swojego miejsca. Zresztą to, o czym są, najlepiej określają czytelnicy, autor nie jest od takiej syntezy. Syntezą jest moja grafika na okładce.

A teraz coś pani przygotowuje?

– Tak, zajęłam się bardzo szczegółową książką, reportażową. To są wspo-

mnienia różnych ludzi z pierwszego przekroczenia granicy PRL i wjazdu w świat Zachodu. Moje pokolenie i starsze ma takie doświadczenie, a myślę, że to świadectwo jest potrzebne, jeszcze nieopisane tak zbiorowo. Niektóre opowieści są zabawne, inne dramatyczne, ja je potem zredaguję i powstanie książka. Jeżdżę, rozmawiam, nagrywam. Tym razem to był impuls pozytywny.

Żałuje pani jakichś gestów wykonanych pod wpływem impulsu?

– Przez wiele lat zastanawiałam się, czy dobrze zrobiłam, spektakularnie wycofując się z honorowego komitetu poparcia Bronisława Komorowskiego w 2015 r. Oczywiście, to człowiek z piękną opozycyjną kartą, dla działań podziemia zasłużony, ale nie mogłam patrzeć na styl, w jakim prowa-

meo etosu. W takim wypadku nie ma miejsca na kalkulacje polityczne i drobne wyścigi. Wielki niesmak poczułam wtedy.

Kogo zatem widziałaby pani w Pałacu Prezydenckim, gdy dobiegnie końca kadencja Andrzeja Dudy?

– Rafał Trzaskowski pewnie. Właściwie nie ma lepszego. Chociaż... Mam swoją pretensję, od lat ją mam i teraz znowu się narażę. Nazwijmy to kolejnym impulsem, ale chciałabym, żeby można było prowadzić otwarte dyskusje bez obciążenia.

Jaką pretensję?

– Prezydent Trzaskowski podpisał „Deklarację warszawskiej polityki miejskiej na rzecz społeczności LGBT+”. Ważną i potrzebną. Miasto powinno, zwłaszcza w kraju rządzonym przez PiS, sprzyjać bezpieczeństwu i komfortowi życia ludzi LGBT. Jak jest słusznie stwierdzone we wstępie deklaracji, nie można niestety prawnie zapewnić ani związków partnerskich, ani ślubów par jedнопłciowych, ale można wiele zrobić, żeby mogli otwarcie chodzić ulicami jako pary, w swoim stylu i do miejsc, gdzie dobrze się czują. To bardzo ważne. Jest natomiast taki punkt, który mnie od lat uwiera i nic na to nie poradzę – w punkcie trzecim „Kultura i sport” jest napisane tak: „Społeczność LGBT+ wyróżnia się kreatywnością, twórczą energią i pasją do odważnego kształtowania kultury”. Nie rozumiem tego i nie mogę się zgodzić na taki zapis. Nie można się wyróżniać kreatywnością z powodu orientacji seksualnej i zakładać, że jakakolwiek zbiorowość jest lepsza w czymkolwiek od innej. Ten zapis, a właściwie zgodę na jedno słowo: „wyróżnia”, to jedyne, co mam do zarzucenia Trzaskowskiemu. To w sumie bardzo mało. Marzy mi się Polska bez politycznej poprawności, przestrzeń dla otwartych dyskusji. Najpierw jednak trzeba zwyciężyć PiS.

Skoro mówi pani, że marzy o kraju, w którym można stawiać nietatwe, ale istotne pytania, to chciałabym na koniec dowiedzieć się: o co by pani zapytała Jarosława Kaczyńskiego, gdyby miała taką okazję?

– Dlaczego wrócił do PRL-u? Dlaczego od 8 lat próbuje stworzyć państwo, w którym każdy obywatel – choć wielu wciąż nie zdaje sobie z tego sprawy – będzie żył w strachu? Ile ma jeszcze w głowie pomysłów takich jak komisja ds. badania wpływów rosyjskich?

I jak pani myśli: co by odpowiedział?

– Że jestem Niemką.

Aha.

– I jeszcze, że zostałaś zawładnięta przez wroga siły, a moje pytania wynikają z tego, że jestem podległa ośrodkom niemiecko-rosyjsko-żydowskim i „zgnilemu Zachodowi”.

A wszedłby w koalicję z Konfederacją?

– No oczywiście, choć rozmawiamy w takim momencie, kiedy Konfederacja rośnie w siłę, podobno z dnia na dzień, i deklaruje, że walczy z PiS-em. Jeśli wierzyć przepowiedniom i rzeczywiście ten ruch zyskuje, to właściwie wszystkie problemy, jakie tu omawiamy, nie mają znaczenia. No bo jakie znaczenie ma to, czy Krystian Lupa przedłuży termin premiery, jeśli tyłu młodych Polaków idzie za obietnicą równych podatków i nie słyszy tego, co mówi Braun? Że są głusi na zapowiedź prześladowań? Kto ich wychował? My. I to jest temat na inną rozmowę, znacznie trudniejszą niż ta. ●

Jak PiS chciał nowy kanon wprowadzać

LITERATURA, CZYLI MALŻ

Promocja czytelnictwa to klęska. Polacy nie mają kompetencji pomagających odróżnić literacki kicz w postaci „Tatużysty z Auschwitz” od dzieł wartych uwagi

– Potrzeba przemyślenia na nowo literackiego kanonu nie ma służyć jakimkolwiek wykluczeniom, ale próbie odnalezienia odpowiedzi na pytanie o to, co we współczesnej literaturze jest ważne – uważa minister kultury.

Dlatego w porozumieniu z resortem edukacji ustalono, że spis lektur będzie uwzględniał literaturę tworzoną przez osoby niebinarne. Ósmoklasiści będą czytać „Nigdy nie będziesz szło samo” Anouk Herman, a osoby przystępujące do matury mogą się spodziewać wierszy Marii Komornickiej – Piotra Własta. Medale Gloria Victis przyznano zaś Sylwii Chwedorczyk i Emilii Padół za opracowanie biografii wybitnych pisarek – Anny Kowalskiej i Marii Rodziewiczówny.

W tej historii prawdziwy jest tylko cytat.

JAK MINISTERSTWO NOBLA NIE ŚWIĘTOWAŁO

„Myślałam, żeby przygotować medal dla ministra kultury z papieru toaletowego”, powiedziała w połowie 2019 roku Olga Tokarczuk, pisarka, której sukcesy sprawiły największy zawód Ministerstwu Kultury. Tragedią Piotra Glińskiego jest bowiem fakt, że choć wydał miliony na promocję Bronisława Wildsteina czy Antoniego Libery, świat chce czytać pisarkę spod Nowej Rudy.

Autorka „Ksiąg Jakubowych” jest nemezis ministra kultury.

Gdy w 2015 roku Piotr Gliński zostawał ministrem kultury, Olga Tokarczuk odbierała Nagrodę Literacką „Nike” za „Księgi Jakubowe”. Była to jej druga Nike. Co gorsza – czytelnicy „Wyborczej” postanowili nagrodzić pisarkę po raz piąty. Ministra na gali nagrody nie było, za to z pewnością odebrał to jako salony wyzwanie.

Trzy lata później Gliński mógł czuć małą satysfakcję, gdy Instytut Książki nie przyznał dotacji na organizowany przez pisarkę Festiwal „Góry Literatury”. Niestety Olga Tokarczuk i jej tłumaczka Jennifer Croft dostały Międzynarodowego Bookera za angielskie wydanie „Biegunów”. I znowu wyszło na jej.

W 2019 roku ponownie większość lubianych przez czytelników letnich festiwali literackich musiała się obejść bez ministerialnego wsparcia. Wszystkich za to rozpalila wiadomość, że Oldze Tokarczuk przyznano Nagrodę Nobla za „wyobraźnię narracyjną, która z encyklopedyczną pasją reprezentuje przekraczanie granic jako formę życia”.

W czasie sejmowej dyskusji nad uchwałą gratulującą pisarce sukcesu poseł Grzegorz Braun (Konfederacja) zarzucał autorce „Prawieku...”, że „dawała wielokrotnie wyraz swego dystansu względem narodowości polskiej i państwa polskiego”. Marek Suski (PiS) wzdychał: „Oczywiście trudno nie dostrzec, że pani Olga Tokarczuk otrzymała Nagrodę Nobla”.

Trudno było nie dostrzec braku entuzjazmu obozu władzy, najbardziej widocznego w relacjach TVP z noblowskich uroczystości (a dokładniej ich braku). I choć nie ma obowiązku uwielbienia dla każdej powieści Tokarczuk, nawet lektury tychże, czy zgadzania się ze wszystkim, co powiedziała, jej sukces był radosnym świętem dla milionów Polaków i Polek. I władze powinny to uszanować. Oraz przeciwdziałać kampanii hejtu, która dotknęła noblistkę.



• Olga Tokarczuk na (niedotowanym przez ministerstwo) festiwalu Góry Literatury

GDZIE INSTYTUTY DWA...

Polska literatura powinna mieć się znakomicie, w końcu wspierają ją aż dwa instytuty. Najstarszy to Instytut Książki, powołany w 2004 roku, który w 2016 został przejęty przez „dobrozmianową” ekipę dyrektora Dariusza Jaworskiego i wicedyrektora Krzysztofa Koehlera.

Młodsza instytucją jest zaś Instytut Literatury i wydawany przez niego „Nowy Napis”. Dyrektorem Instytutu został Józef Maria Ruszar, w PRL działacz opozycji demokratycznej, po 1989 m.in. redaktor w „Super Expressie”, a także pracownik Departamentu Komunikacji Społecznej NBP. Prawdziwą pasją i dumą Ruszara były Warsztaty Herbertowskie, które przerodziły się – nie bez sporej pomocy ministerstwa – w Międzynarodowy Kongres Współczesnej Literatury Polskiej.

Skoro wydawałoby się, że lepiej być nie może, to czemu jest tak, jak jest? Instytut Literatury miał za zadanie „odpowiadając na głosy środowisk literackich, podejmować mecenat nad autorami, którym trudno przebić się na rynku, a których wartość jest nie do przecenienia”, jak mówiła w 2018 roku wiceministerka kultury Wanda Zwinogrodzka. Instytut Książki miał zaś promować polską literaturę za granicą. Układ prawie idealny.

Wyobraźmy sobie młodą autorkę, poetkę wierszy eksperymentalnych, chwaloną przez krytykę, choć – jak to z eksperymentami bywa – niezrozumiałą szer-

szej publiczności. Poetki i poeci nie mogą w Polsce liczyć na rzesze wspierających czytelników, a jednak potrzebujemy poezji. I potrzebujemy eksperymentu, żeby w tej poezji coś się działo.

Poetka ta dzięki wsparciu Instytutu Literatury, ciekawemu stypendium ministerialnemu, które rozdaje Instytut Książki, i promocji ważnego organu prasowego, a także specjalistów i specjalistek, którzy promują literaturę w Polsce i na świecie, miałaby szansę na publikację w „New Yorkerze” czy przekład tomu w prestiżowym wydawnictwie francuskim.

Nie ma jednak takiej poetki, a to nie dlatego, że nie mamy poetek, których głos mógłby być słyszalny na świecie, ale dlatego, że obie instytucje zajęte są wspieraniem pisarzy wyklętych, Wildsteinów polskiej kultury. Na przekór wszystkim.

HISTORIE KOMPROMITACJI

„Instytut Książki skompromitował się w Londynie przed wielkimi targami książki”. Tak w 2015 roku pisaliśmy o fatalnym przygotowaniu polskiej ekipy pod dowództwem Instytutu Książki na londyńskie Targi Książki. Wicedyrektor Instytutu Krzysztof Koehler, jak oceniała Magdalena Dębowska, agentka literacka od lat działająca na rynku, „kompletnie nie rozumie, jak

działa proces sprzedaży praw oraz jakimi podobkami kierują się wydawcy zagraniczni”.

Przez osiem lat sytuacja odrobinię się poprawiła, choć jak pokazuje tegoroczne polskie stoisko na londyńskich targach, wciąż komuś w Instytucie Literatury wydaje się, że świat zachwyci się prozą Bronisława Wildsteina czy poezją Wojciecha Wencła, który przecież zwywał do bojkotu wydawnictw wspierających Strajk Kobiet. Bojkot okazał się niezwykle skuteczny – w ciągu 24 godzin większość największych polskich wydawnictw wsparła Strajk Kobiet i ogłosiła promocje, świętując nadchodzący upadek.

Bardziej niepokojąca jest jednak lektura pokontrolnych wystąpień ministra Gliškiego do dyrektora Instytutu Książki.

Przeprowadzona pod koniec 2021 roku kontrola wykazała m.in. „przyznawanie kadry kierowniczej świadczeń, które nie wynikają z przepisów”. Ministerstwo zarzuciło Instytutowi „brak nadzoru nad wykorzystaniem imiennych kart PKP”, a także nieodnotowywanie dni, „w których pracownicy przebywali na delegacji”. Wszystko to dotyczy oczywiście kadry kierowniczej.

Na kilkunastu stronach tylko w jednym roku wymieniono tyle zarzutów, że powinny one skutkować natychmiastową dymisją kierownictwa Instytutu. Tym bardziej że wielostronicowe zarzuty w pismach pokontrolnych pojawiają się co roku. Niestety w rzece afer, nieuczciwości, psucia demokracji dwa małe (w skali instytucji państwowych) instytuty zajmujące się czymś tak niszowym, jak literatura, stały się miejscem pracy spokojnym, wygodnym i emerytalnie perspektywicznym.

NOWY KANON

Okazuje się, że wszystkie kolejne pomysły reformy polskiego kanonu lektur, jak wprowadzenie na listy Zofii Kossak-Szczuckiej czy piarskich dokonani Karola Wojtyły, zawiodły. Nikt tego nie chce wydawać, listy bestsellerów okupuje „Rodzina Monet”, a – w szczególności dla samej literatury momentach – „Empuzjon” Olgi Tokarczuk.

„Nowy Napis” przeprowadził wśród krytyków i krytyczek literatury kuriozalną ankietę, w której pytał o najbardziej przeceńionych i niedocenionych twórców literatury XX i XXI wieku. Jedyny z niej wniosek jest taki, że wiele osób w Polsce ma czas na udział w przebrzmiałych dyskusjach. Skoro nie można wyłonić kanonu w głosowaniu, to po prostu trzeba go wydać.

Na marginesie – chichotem losu jest fakt, że pisarz, który był najczęściej wymieniany wśród przecenionych w ankiecie „Nowego Napisu”, czyli Witold Gombrowicz, jest też pisarzem, którego najwięcej tłumaczeń dofinansował w 2022 roku Instytut Książki. „Opętani” ukazały się po angielsku i hiszpańsku, „Kosmos” po arabsku, drugi tom „Dziennika” po macedońsku i portugalsku, a na niemiecki zostanie przełożona „Ferdurke”.

W ciągu pięciu lat – od 2022 do 2027 roku – powołany przez rząd PiS Instytut Literatury pod dowództwem Ruszara stworzy nowy Kanon Polski. Do serii wydawniczej, którą ma przygotować IL, trafią utwory, które – jak deklaruje szef resortu kultury – „bez względu na popularność autora – mówią o kwestiach, bez których nie jest łatwo zrozumieć znaczenie naszej przeszłości”.

I choć Kanon Polski to „jeden z największych programów wydawniczych w kraju”, ze świecą szukać tych, co o nim słyszeli. PiS-owi bowiem zupełnie nie chodzi o realizację, ale o deklarację. Odbiorca tych komunikatów i tak nie przeczyta książki Wildsteina, nie sięgnie po dzieła Jana Pawła II ani nie będzie się zachwycał poezją autorów i autorek wspieranych przez Instytut Literatury. Gliški doskonale wie, że przelewanie w pustę. Ale jeśli samo przelewanie będzie szumne, a przy okazji trochę kaszy manny wpadnie w odpowiednie ręce – wszyscy będą zadowoleni.

Jak słusznie zauważył Krzysztof Varga w felietonie dla „Newsweeka”, ankiety i usta-

lanie nowego kanonu „to zabawa dla garstki brontozaurów, jakie uchowały się cudem po eksplozji meteorytu kultury masowej, jaki wybił w pierś całe pokolenia pisarzy, kiedyś nieprzytomnie wręcz popularnych”.

Czym de facto jest seria Kanon Polski? Instytut Literatury wlicza do niego dzieła już wydane, jak choćby krytyczne opracowanie „Soli ziemi”, arcydzieła Józefa Wittlina z 1935 roku, jak i zaplanowane, w tym m.in. monografie poświęcone twórczości Urszuli Kozioł, Hanny Krall czy Aleksandra Wata, które znajdują się na liście „działań planowanych, co do których pożytku nie ma wątpliwości, ale dopiero szuka się możliwości realizacji”.

Najbardziej zaś zapracowanym autorem będzie sam Józef Maria Ruszar, który podjął się m.in. opracowania szkiców poświęconych Różewiczowi (dwa tomy), książki poświęconej Zbigniewowi Herbertowi, kolejnej książki poświęconej „obrazom Boga w twórczości Tadeusza Różewicza”, „szkiców o ziemskiej i niebieskiej ojczyźnie Jana Polkowskiego” i przygotowania monografii o poezji i eseistyce Zbigniewa Herberta. Kiedy Ruszar znajduje czas na kierowanie podległą sobie instytucją?

Szczęściem w nieszczęściu jest fakt, że nakłady tych dzieł są raczej znikome. Co prawda Biblioteka Krytyki Literackiej ukazuje się – ponoć – w nakładzie 8 tysięcy egzemplarzy (skąd w Polsce 8 tysięcy czytelników i czytelniczek „Tekstów rozproszonych” Wittlina?), za to Biblioteka Pana Cogito ma nakład zaledwie 700 egzemplarzy.

LITERACI NA SWOIM

Wśród promowanych przez Instytut Literatury książek jest – trochę niezrozumiale, bo nie ma to nic wspólnego z założeniami tej instytucji – pierwsze kompletne polskie wydanie poezji Emily Dickinson w tłumaczeniu Janusza Solarza, które kosztuje aż 150 złotych. Gdyby ktoś z czytelników nie znalazł Solarza, nie

litykom popierającym eutanazję lub małżeństwa osób tej samej płci.

BĄDŹMY POWAŻNI

Można się wyzłościwić nad promocją czytania dramatów Jana Pawła II albo ankietą krytyków i krytyczek związanych z rządzącym obozem, którzy dalej nie wyszli poza dyskusję, czy Andrzejewski wielkim pisarzem był.

Można żartować z tego, że II Międzynarodowy Kongres Współczesnej Literatury Polskiej organizowany przez Instytut Literatury, choć – zgodnie z ogłoszeniem w 2021 roku – miał się odbyć pod hasłem „Polska proza przełomu XX i XXI wieku”, finalnie składał się z dwóch konferencji – „Mickiewicz i świat” oraz „Obecność paradygmatu romantycznego po 1945 roku w literaturze polskiej”, co jest niezwykle istotnym problemem we współczesnej literaturze polskiej, omawianym od lat 60. XX wieku.

Można, bo to naprawdę nietrudne być złośliwym wobec sukcesów Piotra Gliškiego i instytucji mu podległych. Wobec tych wszystkich nagród na międzynarodowej scenie dla polskich pisarzy związanych z pravicową wizją świata, wobec tych doskonałych przekładów książek Magdaleny Ogórek i Pawła Lisickiego na hiszpański wydanych przez wydawnictwo Topo Sármeta z Krakowa.

Ale warto też na poważnie zastanowić się, dlaczego nie działa coś, co – przy tych nakładach finansów i możliwościach instytucji – powinno działać jak w szwajcarskim teatrze.

I ZADAJMY PYTANIE: JAK MOGŁOBY TO ZADZIAŁAĆ

Mariusz Cieślak, były zastępca dyrektora Programu 3 Polskiego Radia, prozaik, satyryk i krytyk literacki, autor sukcesu polskiej obec-

Olga Tokarczuk jest nemezis ministra kultury

powinien wyrzucać sobie ignorancję. Solarz – rocznik 1959 – debiutuje tym przekładem. Tłumacz i poeta jest też wykładowcą na Indiana University Bloomington. W sieci jednak próżno szukać jego naukowych publikacji.

Czemu tyle uwagi poświęcam akurat tłumaczowi Dickinson? Jego przypadek doskonale ilustruje brak kontroli Instytutu Literatury i Instytutu Książki nad tym, komu przyznawane są dotacje. Decyzje są oparte nie na merytorycznych założeniach, ale na dotowaniu „swoich”, czego doskonałym przykładem są co roku gigantyczne dotacje dla wydawnictwa Biały Kruk, które tylko w ostatnich czterech latach w programie grantowym „Literatura”, mającym na celu „podnoszenie poziomu świadomości literackiej”, dostało 524 tysiące złotych.

Biały Kruk za publiczne pieniądze wydaje m.in. książki Andrzeja Nowaka i Wojciecha Roszkowskiego, ale dotacje Ministerstwa Kultury powędrowały do tak niezbędnych dla polskiego czytelnika publikacji, jak biografia Benedykta XVI wydana w 70-lecie urodzin byłego papieża, czwarty tom „biografii papieskiej”, „Hetman Chrystusa” autorstwa Jolanty Sosnowskiej czy książka „W co katolicy naprawdę wierzą” Karla Keatinga, amerykańskiego publicysty, który jest autorem również „Przewodnika wyborczego dla prawdziwych katolików”, w którym namawia do głosowania przeciwko po-

ności na londyńskich targach, napisał o tej powieści: „Pan Tadeusz XX wieku”. Krytyka prześciga się w pochwałach, a hasło jej poświęcone na Wikipedii urosło do rozmiarów, jakimi rzadko obdarza się polską prozę.

O czym mowa? O autobiograficznej powieści Floriana Czarnyszewicza „Nadberezyńcy”, która ukazała się w raz pierwszy w Buenos Aires w 1942 roku.

Ta „epopeja szlachty zagrodowej, zamieszkującej Kresy dawnej Rzeczypospolitej” opowiada o losach mieszkańców terenów między Berezyną a górnym Dnieprem na wschodniej Białorusi, od 1911 do 1920 roku. Czesław Miłosz pisał o niej odrobinię ironicznie: „W powieści Czarnyszewicza są »Krzyżacy«, »Potop«, i »Pan Tadeusz« równocześnie. Bohaterowie trochę zbiednieli od czasów Polski szlacheckiej”.

„Nadberezyńcom” trudno odmówić wartości akcji, barwnych opisów, a autorowi umiejętności w konstruowaniu przygodowo-histerycznej fabuły i – przede wszystkim – językowej maestrii. Jednak gdy Cieślak pytał w „Rzeczypospolitej” o to, dlaczego polska literatura z pisarzy, którzy wyemigrowali do Argentyny, zna Gombrowicza, a nie Floriana Czarnyszewicza i „Nadberezyńców”, trudno było się nie uśmiechnąć.

Nawet gdyby przyjąć, że Czarnyszewicza powinniśmy wszyscy przeczytać (a nie jest to rzecz ani trudna, ani literacko zbędna),

to jakoś nikt nie pomyślał, by książkę wydać w atrakcyjnej dla czytelników szacie graficznej – aktualna edycja z prześwietlonym, fioletowym zdjęciem na okładce prezentuje się wręcz ohydnie. Nigdzie nie ma cyfrowej wersji książki, a – przy tak pokaźnych możliwościach wsparcia finansowego – „Nadberezyńcy” już dawno powinni być dostępni w Wolnych Lekturach. Nikt nie zadbał o to, by dzieło zmarłego w 1964 roku prozaika było po prostu dostępne. Za to – jak głosi wydana przez Ministerstwo Kultury broszura „Polska historia na ekranach” – serialowa ekranizacja powieści jest wśród 200 planowanych przez resort filmów o polskiej historii.

Skoro resortowi nie udaje się nawet takiej, rzeczywiście intrygującej, ciekawej powieści, za którą stoi legenda i dająca do myślenia biografia, wypromować, to jak ma on kształtować współczesne gusta literackie?

POPULARNOŚĆ „HOLOKICZU” TO PORAŻKA PROMOCJI CZYTELNICTWA

Jedni powiedzą: i bardzo dobrze, nie zepsują niczego. Trudno się jednak z takim myśleniem zgodzić. Polska literatura potrzebuje programów stypendialnych przyznawanych bez uprzedzeń, a także twórców, którzy nie poddają się autocenzurze, będącej chorobą coraz częściej dopadającą zarówno festiwale literackie, jak i programy wydawnictw powiązanych z resortem kultury i jego funduszami.

Promocja czytelnictwa w Polsce jest całkowitą porażką ministerstwa. Chyba że za sukces przyjąć fakt, że nie spadło ono drastycznie. Jak pokazują kolejki młodych czytelników i czytelniczek – czytelnictwo w Polsce promują najbardziej bookstagramerki i marketing wokół young adult oraz autorki takie jak Pizgacz czy Weronika Anna Marczak. Nie szkoła, nie ministerstwo i jego instytuty, robi to wielkie grono miłośników czytania, często w kontrze wobec tych, którzy powinni pomagać.

Dyskusja wokół cynicznego sposobu promocji książek Maxa Czornyja, który upodobał się w reklamie do bohatera swojej powieści, nazistowskiego zbrodniarza, powinna nam uświadomić, że Polacy nie mają kompetencji czytelnicznych pomagających odróżnić literacki kicz w postaci „Tatużyści z Auschwitz” od dzieł wartych uwagi. Nie mają ich, bo programy czytelnictwa promują po prostu „czytanie”, a nie wspierają czytelników w doskonaleniu tej umiejętności. To tak, jakbyśmy nauczili dzieci liczb i cyfr oraz kilku podstawowych działań bez próby choćby nauczania ich potęgowania czy liczenia średniej.

Mimo wielu lat rządów Prawa i Sprawiedliwości, milionów wydanych na promocję katolickich targów książki, zaangażowania tysięcy osób w tworzenie muzeów udowadniającego, że Polacy są najbardziej sprawiedliwym narodem świata, wspierania tezy, że Olga Tokarczuk nie zasługiwała na żadne wyróżnienia, kultura wciąż jest odporna na pomysły elit kulturalnych z ulicy Nowowiejskiej w Warszawie.

Może dlatego, że kultura polska zawsze odporna była na toporną propagandę, wyuczona – niczym mule zamykające swoje skorupy, gdy wyczują w wodzie zanieczyszczenia – na fałszywy głos jeszcze bardziej fałszywych koryfeuszy „narodowej” idei?

Zamiast uczyć kompetencji przydatnych do orientowania się w coraz sprytniej manipulowanym przez marketing i media społecznościowe rynku książki, zamiast promować ciekawych twórców i twórczyni – zarówno współczesnych, jak i tych z przeszłości – przybliżać przeszłość, pokazując młodym ludziom, że Jan z Czarnolasu wciąż ma nam coś ważnego do powiedzenia o kondycji człowieka, Ministerstwo Kultury promuje kanon, który interesuje wąskie grono znanych panów Gliškiego i Ruszara. Bo myśle, że Jaworskiego i Koehlera interesuje tylko to, by nikt im nie zaglądał przez ramię, jak wydają ministerialną kasę. ●



CZŁOWIEK, KTÓRY SKARCIL PAPIEŻA

Jak to się stało, że nauczyciel historii, przedsiębiorca IT i prawnik
amator z zacięciem cenzora nadzoruje w Polsce media?

Iwona Szpala
Agnieszka Kublik

Maciej Świrski, szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, cenzorem się nie czuje, ale TOK FM zajął się osobiście. Za krytykę podręcznika „Historia i teraźniejszość” prof. Wojciecha Roszkowskiego – z którego synem zasiadał w radzie pewnej fundacji – obłożył radio grzywną w wysokości 80 tys. zł. To kara za „poniżanie godności ofiar II wojny światowej, w tym Żydów, oraz stygmatyzowanie i znieważanie prof. Wojciecha Roszkowskiego”. Świrski działał bez konsultacji z resztą Krajowej Rady, a radio ukarał rok po emisji audycji.

UPOMNIENIE I KARA

Rok temu Piotr Maślak z TOK FM w rozmowie z Pawłem Nawrockim, nauczycielem historii i wiedzy o społeczeństwie, mówił: „Mam wrażenie, że [podręcznik] ma przekonać młodych, że Unia Europejska to zło, przekonać do... nie wiem... eksterminacji osób nieheteronormatywnych, bo są zagrożeniem dla zdrowej tkanki społecznej. Czyta się to jak podręcznik – przepraszam za porównanie – dla Hitlerjugend jakiś trochę, chwilami, nie wszędzie, ale chwilami”.

Świrski prowadzi wtedy fundację Reduta Dobrego Imienia. Pracę mediów monitoruje jako słuchacz, do internetu wrzuca komentarz, w którym tłumaczy, że książka Roszkowskiego wzbudza agresję, bo „zaburza fałszywe hierarchie w PL i dystrybucję prestiżu, która wydawała się zaklepana raz na zawsze. Dlatego tak ważna jest ta książka, bo być może uświadomi niektórym, że prowadzeni są na postronki za kółko w nosie”.

Szefem KRRiT jest wtedy Witold Kołodziejcki z PiS, który po audycji TOK FM tylko upomina stację. Ale kilka miesięcy później szefem Krajowej Rady zostaje Świrski i na początku tego roku informuje, że w audycji odnalazł treści, które obrażały ofiary II wojny światowej. Podpiera się przepisem ustawy medialnej o emisji przekazów sprzecznych z moralnością i dobrem społecznym. Jest też nowy zarzut: prowadzący, podając życiorys Roszkowskiego, zaczął od tego, że profesor był PiS-owskim eurodeputowanym. Świrski nie ma wątpliwości, że chodziło o odpowiedzialne ukierunkowanie słuchaczy – anonsonwanie Roszkowskiego jako „byłego eurodeputowanego PiS, którego intencją jest przekonanie młodych do eksterminacji osób LGBT i który pisze podręcznik dla Hitlerjugend”. Obrażeni zostali więc wszyscy, którzy podzielają poglądy PiS. Kara, którą wymierza samodzielnie, sięga 80 tys. zł, TOK FM dowiaduje się o wszystkim w kwietniu, spór będzie miał sądowy finał po odwołaniu TOK FM.

Profesor Roszkowski jest ulubionym przez PiS historykiem, komplementuje go także Świrski. W maju 2019 r. Świrski z synem profesora wchodzi do władz fundacji Think Tank Instytut, która ma wspierać aktywność obywatelską czy demokrację lokalną, podtrzymywać tradycje narodowe, pielęgnować polskość. Prezesem jest Józef Orzeł, stary kompan Jarosława Kaczyńskiego z czasów Porozumienia Centrum.

Roszkowski twierdzi, że z projektem nie ma nic wspólnego. – Zrezygnowałem ze dwa, trzy lata temu, po prostu nie działała – mówi „Wyborczej”. Potem sprawa w dokumentach, precyzuje, że odszedł w sierpniu 2021 r. Marcin Roszkowski, z tego, co pamięta, rozmawiał ze Świrskim kilka razy w życiu i bardzo dawno, podręcznika HiT nie czytał, jak kilku innych książek ojca, bo „nie ma takiego obowiązku”.

Profesorowi Roszkowskiemu zabrakło czasu na rozmowę.

Teresa Brykczyńska, rzeczniczka Krajowej Rady, zapewniła, że Świrski nie rozmawiał z prof. Roszkowskim o audycji, ale „podręcznik czytał i uważa, że jest to bardzo potrzebne dzieło”.

NOWE PORZĄDKI

Świrski jako szef KRRiT cenzorem się nie czuje. To powody, dla których ściga media komercyjne. – Wszyscy musimy się zmieścić w ramach między świętą wartością, którą jest wolność słowa, a świętym prawem obywateli do poznania prawdy.

Ale lista jest dłuższa, bo Świrski ma problem z zagranicznym kapitałem w mediach i postawą części dziennikarzy. Uważa, że najważniejsza nie jest dla nich polska racja stanu. – Niekiedy te media przeciw niej pracują – podkreśla.

Laurki wystawia mediom publicznym, misję, jego zdaniem, odpowiednio pełni „TVP, w tym jej pion informacyjny i publicystyczny”, bo „uzupełnia dramatyczne braki mediów komercyjnych”, i z nich Świrski dowiaduje się więcej o rzeczywistości. Jego poprzednik Witold Kołodziejcki, człowiek Jacka Sasina, miał opinię umiarkowanego.

TVN, a Świrski nigdy nie krył się z niechęcią do tego nadawcy. Tyle że wcześniej były to emocje Reduty Dobrego Imienia.

„W związku ze sposobem informowania o sprawie p. Joanny w audycjach nadawanych przez koncesjonariusza TVN S.A. zleciłem odpowiednim departamentom KRRiT monitoring oraz wszczęłem postępowanie wyjaśniające, czy nie zostało złamane prawo” – to ostatni anons przewodniczącego.

Kobieta zażyła tabletkę poronną, a lekarka, z którą rozmawiała tydzień później, zaniepokojona stanem psychicznym pacjentki zadzwoniła na policję. Już w szpitalu, w gabinecie ginekologicznym, pani Joanna, otoczona policyjnym kordonem, miała się rozebrać, kucać i kaszleć. Była przesłuchiwana. Wcześniej policjanci odebrali jej telefon i laptop. W debacie publicznej natychmiast wróciły pytania o skutki antyaborcyjnej polityki PiS. Choć policja twierdzi, że wszystko zrobiła dla dobra pacjentki, nie zakończyło się jeszcze postępowanie policyjnego Biura Kontroli. Świrski, po emisji rozmowy z Joanną w TVN, na finał sprawy nie czeka, upomina na Twitterze, że „prasa jest zobowiązana do prawdziwego przedstawiania omawianych zjawisk”.

W grudniu ubiegłego roku zajął się reportażem „Siła kłamstwa” Piotra Świercz-

sji Macierewicza o tym, że Rosja dokonała zamachu na prezydenta Kaczyńskiego, jest zgodny z prawdą. Choć przeczą temu dowody zebrane i opublikowane w 2011 r. przez rządową komisję Jerzego Millera i polską prokuraturę, nawet pod rządami Zbigniewa Ziobry.

NA STRAŻY PRAWDY

W kwietniu tego roku prof. Barbara Engelking, szefowa Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, wcześniej przewodnicząca Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej, rozmawia z Moniką Olejnik w TVN 24. Znowu wkracza Świrski, ogłasza na Twitterze, że rozpoczyna postępowanie po otrzymanych skargach. Wedle nich podczas wywiadu „pojawili się treści antypolskie, fałszowano historię, przypisywano Polakom winę za zagładę Żydów w getcie warszawskim”, nie było reakcji na szkalowanie Polaków. Świrski dorzuca też coś od siebie: „(...) Jeśli gość programu łże, to dziennikarz ma widzom powiedzieć, że jest to kłamstwo. I na koniec – gdyby Polacy nie pomagali Żydom, to Niemcy nie wprowadziliby kary śmierci za pomoc. Historię zamieniono w kult cargo”.

„Kult cargo” jest kolejnym określeniem

Świrski wprowadził w KRRiT kontrolę i dyscyplinę, decyduje nawet, do jakich dokumentów dopuścić kolegów z tejże Rady

Świrski wprowadził w KRRiT kontrolę i dyscyplinę, decyduje nawet, do jakich dokumentów dopuścić kolegów z tejże Rady. A ponieważ reglamentuje informacje, trudno o cokolwiek poprosić, nie mając wiedzy, co tam się dzieje. Więc urzędnicy, którzy mieli być wsparciem dla całej Rady, pracują tylko dla Świrskiego.

W czasach Kołodziejckiego Rada zbierała się dwa razy w tygodniu, Świrski uznał, że wystarczy raz, potem spotykali się co dwa tygodnie, teraz jeszcze rzadziej. To właśnie z okazji tych spotkań Świrski polecił ustawić w holu szafkę, mieli tam zostawić swoje telefony.

Profesor Tadeusz Kowalski, który jako jedyny zasiada w KRRiT z rekomendacji opozycyjnego Senatu (reszta to ludzie władzy), mówi, że się zbuntował. Nie potrzebował poleceń Świrskiego, bo od zawsze zostawiał telefon w gabinecie. I teraz jest tak, że podczas posiedzeń wszyscy – poza Kowalskim – mają przy sobie komórki, zarządzenie zlekceważyli, rozmawiają wedle potrzeb.

Poza gmachem KRRiT przewodniczący traci pewność siebie. Na posiedzeniu sejmowej komisji kultury drewnianym głosem odczytał z kartki kilka zdań. Gdy potem dziennikarze pytali o postępowanie przeciwko wybranym mediom, kompletnie się pogubił. Choć sam jest autorem pism, mylił daty, sprawy, podstawę prawną, musiał prostować samego siebie. Profesor Kowalski uważa go za zwyczajnie nieudolnego.

ŚWIRSKI DOCIEKLIWY

Gdy Świrski zabiera się do wymierzania kar, niezmiennie sięga po art. 18 ustawy medialnej. To srogie narzędzie, bo tu za złamanie prawa grozi nie tylko kara finansowa, lecz także odebranie koncesji. O takich ruchach reszta Rady dowiaduje się z sieci, gdy Świrski wrzuca informację na Twittera. Najwięcej postępowań ma stacja

ka. To obsypana nagrodami historia pokazująca zaplecze podkomisji smoleńskiej Antoniego Macierewicza – jak się manipuluje dowodami pod tezę o rzekomym zamachu 10 kwietnia 2010 r. Poskarżył się sam Macierewicz, czyli domagał się sprostowania, a to reguluje prawo prasowe, a nie ustawa o radiofonii i telewizji. Świrski ma do Macierewicza sentyment – gdy jeszcze jako bloger serwisu Salon24.pl był „Szczurem Biurowym”, zamówił specjalną kostkę na mikrofon i chodził po prawicowych politykach. Macierewicz opowiedział mu wtedy o „cudzie Jarosława Kaczyńskiego”, czyli integracji prawicy, o geniuszu o. Rydzyka i o Smoleńsku. I choć Macierewicz, gdy dowiedział się o katastrofie na katyńskim cmentarzu, zaraz wsiadł w pierwszy pociąg i wrócił do Warszawy, to gdy Świrski oglądał go wtedy w telewizji, to dostrzegł skupienie oraz organizacyjną determinację.

Świrski jako dziennikarz próbował być w rozmowie z Macierewiczem zabójczo dociekliwy.

Macierewicz: – Od losów sprawy smoleńskiej w dużym stopniu zależy kształt narodu polskiego.

Świrski: – Od rozwiązania tej zagadki, tak?

Macierewicz potwierdza.

Świrski dziennikarz chce jeszcze wiedzieć, jakim siłom zagrażają Polacy.

Macierewicz: – Wojującemu laicyzmowi, koncepcji, której celem jest stworzenie nowego wspaniałego człowieka bez rodziny, Boga, uczciwości, wartości, opartego w istocie na własnej pysze.

Świrski: – Doszliśmy do źródeł tego, co się dzieje. Czyli tak naprawdę jakieś demoniczne początki tego systemu...

Macierewicz: – Trudno nie uznać racji, ale nie czuję się na siłach, by na tym wysokim poziomie filozoficzno-teologicznym prowadzić tę dyskusję.

Świrski: – Czerwona gwiazda jest po prostu pentagramem.

Teraz jako przewodniczący KRRiT będzie sam rozstrzygać, czy raport podkomi-

ze słownika Macieja Świrskiego. Co oznacza, wyjaśnił słuchaczom na jednej z konferencji: to wykonywanie czynności, które są podobne do naukowych, choć w rzeczywistości to budowanie tożsamości wspólnotowej opartej na fałszowanym micie. Ale pozorowanie nauki to zarzut, jaki Świrski stawia badaczom zajmującym się relacjami polsko-żydowskimi w czasie okupacji. Już jako prezes Reduty Dobrego Imienia Świrski przekonywał, że stacja TVN „wielokrotnie obrażała Polskę i Polaków w swoich programach i podawała fake newsy”.

Prof. Grabowski i prof. Engelking, znani badacze Holocaustu, zostali pozwani za jeden akapit z książki „Dalej jest noc”, która opisuje zagładę Żydów na polskiej prowincji. Filomena Leszczyńska, 79-latką, uznała, że oczernili jej stryja, żądała 100 tys. zł i przeprosin, a wspierała ją właśnie Reduta Dobrego Imienia. Ostatecznie sąd uznał pozew za nieuzasadniony. Teraz Świrski osądzi, czy prof. Engelking powiedziała prawdę o Żydach w czasie II wojny światowej. Że nieprawdopodobnie rozczarowali się co do Polaków, bo „wiedzieli, czego się spodziewać od Niemców, a relacja z Polakami była dużo bardziej złożona – Polacy mieli potencjał, żeby stać się sojusznikami. I Żydzi mieli nadzieję, że będą się inaczej zachowywać i nie będzie jak powszechnego szmalcownictwa. To rozczarowanie wydaje mi się, że odgrywa rolę. Polacy po prostu zawiedli” – stwierdziła prof. Engelking.

Świrski wkroczył też po TVN-owskim reportażu „Franciszkańska 3”. To materiał o Karolu Wojtyłę jako arcybiskupie krakowskim – że wiedział o przypadkach pedofilii wśród księży, ale przestępców przerosił, a ofiarami się nie interesował. Autor ujawnił akta, zeznania świadków. I wbrew twierdzeniom reportażu nie oparł wyłącznie na esbeckich teckach. Świrski jak zwykle posługuje się srogim art. 18 ustawy. Do składania skarg w tej sprawie zachęcało Radio Maryja, na stronie internetowej były gotowce do ściągnięcia.

Koncesja TVN wygasa za rok. Wniosek o kolejnych dziesięć lat stacja dostarczyła

Radzie w grudniu 2022 r., do tej pory decyzji nie ma.

Zupełnie inaczej niż Polsat, któremu także koncesja kończyła się za rok, a KRRiT już w lutym br. przedłużyła prawo do nadawania.

NATO I ANTYPOLONIZM

Maciej Świrski to nauczyciel historii, przedsiębiorca branży IT i prawnik amator. Ponieważ uważa się za eksperta w wielu dziedzinach – od polityki przez prawo karne i prasowe, taktykę wojenną, socjologię, katastrofę smoleńską, dzieje Holocaustu, polsko-żydowskie relacje, nie wspominając o Rosji, Niemczech i Stanach Zjednoczonych – wyroki wygłasza ex cathedra i nie przyjmuje sprzeciwu. Wcześniej osądzał społecznie, teraz z pieczęcią sędziowską Rady.

Od przeszło dekady stara się funkcjonować w obiegu publicznym jako założyciel Reduty Dobrego Imienia – Ligi przeciw Zniesławieniom, ale jako bloger nie przebił się do szerszej publiczności. Redutę ufundował w końcu 2012 r. i przez ten czas dorobił się wpływowych przyjaciół, zaś po 2015 r. zaczął się spełniać na państwowych stanowiskach.

Początki są jednak skromne, Świrski siedzi na krześle obok Jana Pietrzaka w siedzibie Towarzystwa Patriotycznego.

Pietrzak mówi, że po prostu denerwują go określenia „polskie obozy śmierci”, dlatego przyjął do siebie Redutę, którą opisuje jako inicjatywę pana Macieja. Kolega mu zresztą obiecał, że chce się poświęcić i mocno działać w temacie.

Pietrzak: – Jeśli w Polsce będziemy mieli media, które nie będą reprezentować okupantów, ale Polaków – to nam pomogą i te sprawy szybko przewalczymy.

Świrski: – Uratujmy godność Polski i Polaków. Ona jest rzeczywiście zagrożona.

Podczas prezentacji Świrski wyklada organizacyjne credo: jeśli świat będzie postrzegał Polaków jako naród morderców Żydów, to w przypadku zagrożenia nie dostaniemy pomocy od NATO. Bo art. 5 traktatu północnoatlantyckiego wprowadzając obowiązuje, ale dobór środków jest decyzją polityczną. Też będzie powtarzał do znudzenia w kolejnych wystąpieniach publicznych, przekonując, jak głęboki sens ma działalność Reduty Dobrego Imienia.

Tłumaczy: „Skoro Niemcom udało się otrząsnąć z poczucia winy i dokonali gigantycznej pracy propagandowej, żeby słowo »nazi« nie kojarzyło się ze słowem »Germany«, skoro Rosjanie publicznie mówią o Polsce jako »bękarcie traktatu wersalskiego«, skoro Polacy zostali ustawieni przez propagandę historyczną we współczesnym świecie jako co najmniej współwinowajcy wymordowania Żydów europejskich – to konsekwencje tego dla przyszłości kraju są jednoznaczne – katastrofa”.

I zapewnia: „Tak jak współcześnie antysemityzm stał się nieakceptowalnym, tak antypolonizm poprzez działania Reduty Dobrego Imienia Polski stanie się symbolem obskurantyzmu i głupoty, a czasem po prostu antypolskich interesów”.

UPOMNIENIE DLA PAPIEŻA

Gdy Reduta zaczyna działać, to zaraz na stronie dostępny jest formularz dotyczący zniesławienia. Zawiadomienie można wybrać z gotowego katalogu: „Polacy są winni Holocaustowi”, „Polacy wywołali II wojnę światową”, „Polacy to rasiści”, „Polacy to złodzieje”, „Polska to kraj nietolerancyjny i ksenofobiczny” oraz „Inne”. Sposoby działania Reduty są dobierane do okoliczności: petycje, sprostowania, apele, zorganizowane akcje wysyłania maili do gazet, które napisały o „polskich obozach koncentracyjnych”, wszczynanie procesów sądowych.

Jak wykończyć „Wyborczą” i TVN. Świrski i koledzy mieli pomysł – pozabierać reklamy, zarzucić pozwami

Lista tych, których rozliczał Świrski, jest długa, a przeważają Niemcy, bo to ich założyciel Reduty obwinia o większość nieszczęść, od proszków do prania poczynając, bo wprowadzili na rynek produkty gorszej jakości, czym uderzali w godność konsumentów znad Wisły.

W 2016 r., podczas wyborów gospodarza Białego Domu, Świrski radził nawet Billowi Clintonowi, by uważał na to, co mówi, bo amerykańska Polonia może zaważyć na wyniku ubiegającej się o urząd Hillary Clinton. Poszło o to, że były prezydent powiedział, iż Polska i Węgry chcą przywództwa w stylu Putina. „Niech Pan i pańskie otoczenie nie ulega fałszywej propagandzie obrońców demokracji” – pouczał Świrski.

Był i wniosek do wojewody mazowieckiego o uznanie belgijskiego eurodeputowanego Guya Verhofstadta za osobę niepożądaną na terytorium RP z powodu krytyki rządu PiS. A w końcu interwencyjny list do papieża Franciszka. Po tym, gdy powiedział Litwinom, że część ich tragicznej historii pochodziła z Zachodu, „od Niemców, od Polaków, ale przede wszystkim z nazizmu”, Świrski ostrzegł hierarchę, że słowa „wpisują się w bardzo niebezpieczny trend pewnych wrogich Polsce środowisk”.

Bo podczas interwencji Świrski zwykle wypowiada się w imieniu narodu polskiego.

DUMA I SKANDAL

Jest wiosna 2014 r., do wyborów dobrze ponad rok, Jarosław Kaczyński szuka politycznego paliwa dla tożsamościowego elektoratu PiS.

W partyjnej centrali w towarzystwie Świrskiego, prof. Zdzisława Krasnodębskiego i prof. Piotra Glińskiego Kaczyński opowiada dziennikarzom, że jest poważny problem, Polakom są przypisywane niemieckie zbrodnie z czasów II wojny światowej. Używa się też określenia „polskie obozy koncentracyjne...”.

– Tu potrzebna jest reakcja. Przeciwdziałanie. I to zdecydowane. Ostatnio mamy do czynienia z sytuacją kuriozalną. Prokuratura uznała, że określenie „polskie” ma identyfikować tylko miejsce, gdzie znajduje się obóz. Więc za wszelką cenę nie chce wszczynać żadnych postępowań – wykląda Kaczyński. – Stąd propozycja, by w ustawie o IPN tego rodzaju czynny był wyrażnie opisanym przestępstwem.

Zdaniem Kaczyńskiego maksymalna kara to pięć lat za zniesławienie, ścigane w Polsce i poza jej granicami. – Niestety, opinia rządu jest taka, że tego projektu nie poprze – przyznaje prezes PiS. Mówi, że nie jest w stanie tego zrozumieć. I zaczyna opowiadać o badaniach wśród studentów kalifornijskich uniwersytetów. – Wskazują na to, że „nazista” kojarzy się bardzo mocno z Polską i Polakami – stwierdza Kaczyński. Zapewnia, że jak jego obóz dojdzie do władzy, ustawa o IPN będzie znolizowana.

– Sytuacja jest poważna, narasta problem – wtrąca prof. Gliński, socjolog. Mówi, że robienie z Polaków narodu antysemityzm osłabia pozycję kraju. Zachwała Redutę Dobrego Imienia. Przy głosie jest Świrski, komplementuje PiS: to jedyna par-

tia, która odpowiedziała na apele, by zniesławieniami Polski na poważnie się zająć.

Miną cztery lata. W styczniu 2018 r. PiS forsuje nowelizację ustawy o IPN, w której jest przepis o karze do trzech lat więzienia za przypisywanie narodowi polskiemu współodpowiedzialności za zbrodnie popełnione przez III Rzeszę. Wybuch międzynarodowy skandal. Izraelski rząd Beniamina Netanjahu i administracja prezydenta USA Donalda Trumpa uznają to za zamach na wolność pracy naukowców.

Prezydent Andrzej Duda posłał ustawę do Trybunału i ten uznał ją za niezgodną z konstytucją. Ale gdy przepis przechodził przez Sejm, w Reducie Dobrego Imienia pękali z dumy. „Kara grzywny lub więzienia za polskie obozy śmierci!” – pisze fundacja Świrskiego na stronach w internecie. A prawniczy think tank Klub Jagielloński ustala, że w 2016 r. Świrski i jego Reduta Dobrego Imienia byli jedynymi reprezentantami strony społecznej, którzy dostali tekst ustawy do opinii.

„Liczyłem na to, że szperając przy procesie legislacyjnym ustawy o IPN, zbiorę materiał do tekstu o tym, dlaczego konsultacje publiczne są dobre dla władzy. Niestety, wyszedł hardcore” – pisze na Twitterze Piotr Trudnowski z Klubu Jagiellońskiego. Zarzuka rządowi, że ten poszedł na skróty, co doprowadziło do skandalu, późniejszego sporu z Izraelem i Stanami Zjednoczonymi.

Nim sprawa dojrzała do finału, Świrski publikuje sążnisty tekst w portalu braci Karnowskich wPolityce.pl: „Uzbrojona narracja przeciwko Polsce. Mamy do czynienia z przebiegłym i bezwzględny przeciwnikiem”. O IPN-owskiej noweli nie pisze, ale rozpracowuje wrogów PiS i ojczyzny. Zaczyna od tego, że przeciwko Polsce prowadzona jest skoordynowana „akcja dyfamacyjna”. Bo „dyfamacja” to jedno z ulubionych określeń Świrskiego. Przekonuje, że jej „intelektualne DNA” – to drugie ulubione określenie fundatora Reduty – sięga strategii informacyjnej Józefa Stalina.

Zachęca, by szukać głębiej, w czasach, gdy zaczęła się chwiać władza PO i PSL, czyli wyborczy rok 2015. To wtedy – w jego opinii – wokół zyskującego na popularności PiS zaczęły się dziać rzeczy niepokojące.

Jeszcze gorzej zrobiło się, gdy Jarosław Kaczyński przejął władzę: „Od chwili wyborów Polska jest konsekwentnie i przekonująco przedstawiana w mediach zachodnich jako kraj autorytarny – »staliniowski«, »putinowski«, »neobolszewicki« czy też »faszystowski«, w którym demokracja jest zagrożona, a rząd rzekomo rujnuje zasady społeczeństwa obywatelskiego, niszcząc konstytucję, niezależny system sądownictwa i wolność słowa”.

Świrski uznaje, że wszystko jest przygotowane: teksty szkalujące dobre imię Polski czy odpowiednio dobrane słownictwo, które miało się kojarzyć z PiS, takie jak nietolerancja, rasizm, dyskryminacja, podważenie niezawisłości sądów, zagrożenie demokracji.

Według Świrskiego częścią syndykatu stały się partie opozycji, które dostały międzynarodowe wsparcie finansowe. Przypomina reportaż TVN o nazistach świętujących w lesie urodziny Adolfa Hitlera. I plonącą swastyką. Przeszrzega przed zbliżającymi się prowokacjami i proponuje dać

temu odpór: „Wiemy już teraz, że główną osią antypolskiej narracji jest »polski nazizm« i do niej dostosowany jest cały wachlarz działań przeciwnika. (...) polskiemu kalendarzowi politycznemu towarzyszą działania dezinformacyjne wrogów Polski”.

Świrski pisze, że nie bez powodu TVN-owski reportaż o neonazistach stacja wypuściła przed „wizytą Prezydenta i Premiera w Davos i wizytą Rexa Tillersona, amerykańskiego Sekretarza Stanu, w Polsce”. Twierdzi, że tak samo było z prowokacjami na Marszu Niepodległości w 2017 r. Tu prowokacja „miała miejsce przed ważnymi dla Polski wydarzeniami związanymi z dywersyfikacją źródeł energii, kwestią zakupu rakiet Patriot i debatą w Parlamencie Europejskim na temat Polski”.

Świrski uważa, że można się na to przygotować. Pisze, że najbliższe akcje przeciwnika mogą być związane z datami: „30 stycznia – 85. rocznica doświadczenia Hitlera do władzy, 13 lutego – rocznica bombardowania Drezn, 27 lutego – pożar Reichstagu, 8 marca – 50. rocznica Marca '68, 31 marca – data rozpoczęcia akcji Gleichschaltung (hitlerowskiego ujednolicenia społeczeństwa Niemiec), 16 kwietnia – data egzekucji Rudolfa Hössa – komendanta Auschwitz, 19 kwietnia – rocznica wybuchu powstania w getcie w Warszawie, 20 kwietnia – kolejna rocznica urodzin Hitlera, 26 kwietnia – rocznica założenia gestapo”.

W maju 2022 r. organizatorzy „urodzin Hitlera” zostali skazani na więzienie w zawieszeniu. Odwołała się prokuratura nadzorowana przez Zbigniewa Ziobrę – chce bezwzględne więzienia dla sprawców.

NOWA ARMIA KRAJOWA

W marcu 2014 r. Świrski reaguje na rosyjską aneksję Krymu. Jest przekonany, że po agresji na Ukrainę następna jest Polska. Trzeba więc być gotowym, brać pod uwagę najgorszy wariant. A ten – według Świrskiego – to „połknięcie Ukrainy, Litwy i Łotwy przez Sowietów”, co potrwa ze dwa lata. Tłumaczy tak: „Patrząc na to, co stało się w Gruzji [w 2008 r.], i na to, co dzieje się na Ukrainie, jasne jest, że Sowietci będą chcieli doprowadzić do zastraszenia Polaków i do naszego pogodzenia się z nieuchronnością podporządkowania się ruskim. Czyli najpierw wojna psychologiczna, a potem agresja”.

Pyta, dlaczego ludzie dają się zastraszać. I sam odpowiada: mają niską samoocenę. „Ta niska samoocena Polaków wynika z potężnej i długotrwałej pedagogiki wstydu, którą aplikują nam wrogie media. Brak wiary we własne siły i sukces straszenia Polaków przez Tuska (czy chcecie wojny? – pytanie po Smoleńsku) wynika nie tylko z traumy przegranej wojny i późniejszych klęsk w walce z komuną, ale także z fizycznej niezdolności do obrony”.

Prezes Reduty przygląda się młodym: „Permisywizm i konsumpcjonizm połączony z zabawowym stylem życia oraz zaniechaniem wychowania patriotycznego w szkołach daje efekt w postaci postaw, które ze zdumieniem odkrywamy w sondażach. Oczywiście – są młodzi ludzie patriotyczni i myślący o ojczyźnie, ale są w mniejszości, mniejszości, którą nazywa się »obozem patriotycznym«. Nasi synowie i nasze córki”. Zastanawia się, jak pogodzić zabawowy styl życia z koniecznością odbudowy sprawnej i silnej armii, która opiera się na młodych?

„Ktokolwiek będzie rządzić w sytuacji, którą mamy dzisiaj, po oficjalnej sowieckiej aneksji Krymu – stanie przed tym problemem: albo wzmocni się armię, przywraca pobór do wojska i Polska ma szanse na obronę, równocześnie rządzący tracą głosy młodzieży w wyborach, albo tego się nie robi, sprawy się toczą starą koleiną, poboru nie ma, no i niepodległej Polski też nie ma” – zauważa prezes Reduty Dobrego Imienia.

Potem proponuje rozwiązanie: ochotnicze formacje obrony terytorialnej pod nazwą Armia Krajowa: „Sowieci muszą wiedzieć, o co chodzi, że jeśli dokonaliby inwazji, to spotkają się z powszechnym oporem i konspiracją”.

AK proponuje oprzeć na strukturach Ochotniczej Straży Pożarnej – mają tam mężczyzn, którzy wiedzą, co to gra zespołowa, rozkaz, w każdej wsi jest wyposażona remiza. Dowództwo proponuje oddać zawodowcom: „Żołnierzami nowej AK, oprócz strażaków, mogliby być też i inni ochotnicy, jak chociażby młodzież z rozmaitych organizacji patriotycznych, rekonstruktorzy itd. Natomiast w miastach struktury nowej AK oparłby się o takie środowiska i organizacje jak np. Strzelcy.

Zaletą takiej aranżacji jest jeszcze jeden, niebagatelny element – w skład formacji obrony terytorialnej wchodziliby ludzie w różnym wieku, od osiemnastolatków do dojrzałych mężczyzn pod sześćdziesiątkę. Tego rodzaju struktura zapobiega importowaniu do formacji zachowań z rozmaitych subkultur, szczególnie subkultury więziennej, które zniweczyłyby patriotyczny zapał ochotników”.

Przestrzega, że za chwilę będzie za późno: „Wojsko Polskie musi przyjąć na siebie pierwszy impet wroga. Nowa AK (...) pozwoli na przetrwanie najgorszego i doczekanie pomocy”.

„BĘKARTY WOJNY”

Ale Świrskiego zaczyna pochłaniać inny temat. Organizuje pierwszy kongres Reduty Dobrego Imienia. Wynajmuje pałacyk przy ul. Foksal w Warszawie, wśród panelistów ma już ludzi PiS, list z gratulacjami przysłał Jarosław Kaczyński.

Eurodeputowany Ryszard Czarnecki referuje, jak można wykorzystać unijne instytucje do „walki o dobre imię Polski”. Profesor Jan Żaryn pochyła się nad tematem „Zniesławianie Polski – wyzwanie nie tylko dla historyków”. Jest i Piotr Gliński z wykładem „Walka o dobre imię Polski elementem budowy społeczeństwa obywatelskiego”.

Z Glińskim to już wtedy bardziej zażyła relacja. Poznali się w 2012 r., gdy Świrski – jeszcze jako nikomu nieznany blogger – zaczął się umawiać na rozmowy z politykami i sympatykami PiS. A działo się to jeszcze przed czasami Reduty Dobrego Imienia.

Gliński był wtedy kandydatem na premiera technicznego, bo Jarosław Kaczyński wymyślił sobie wotum nieufności wobec premiera Donalda Tuska. Pomysł był z góry skazany na porażkę, ale Gliński podjął się misji. I tak go zastał Świrski. Z mikrofonem, kamerą i notatnikiem odwiedził kandydata w domu. Gliński wyjaśniał, że Kaczyński dał mu możliwość wpływu na życie publiczne i politykę. Uważa, że PiS jest niesprawiedliwie wyłączony z życia publicznego. Przyjął propozycję Kaczyńskiego dla dobra demokracji, będzie chciał zaproponować politykom merytoryczną dyskusję zamiast propagandy, którą uprawia ekipa Tuska. W następnym kroku zasypie podziały społeczne.

W trakcie rozmowy Świrski słyszy, że Gliński nie zna za dobrze Kaczyńskiego. Spotkali się wszystkiego trzy razy, na zasa-

dzie „dwóch inteligentów wymienilo kilka uwag”. Propozycją premiera technicznego był więc zaskoczony.

Świrski pyta o wykluczenie „całych grup społecznych” po 2006 r., gdzie przeczytał, że Gliński to tak jak on sierota po PO–PiS.

– Złożyłem serwis Dogadajcie.org, można było wysłać maila, by się dogadałi – tłumaczy Świrski kandydatowi, ale ten sprawę przemilcza. Potem już idą wspólną drogą.

Bo Świrski zostaje rzecznikiem Glińskiego na czas misji. Kandydatem na technicznego premiera jest zachwycony. Opisuje, jak powstawał jego program.

„Będąc w środku, muszę powiedzieć, że był to modelowy przykład pracy zespołowej z silnym przywództwem i rozdzielonymi rolami projektowymi, harmonogramem” – relacjonuje kulisy.

Zachwyca się nie tylko programem, ale też powagą Glińskiego, której tak brakuje rządzącym: „Powszechna wiedza o tym programie byłaby jak dźwięk trąb jerychońskich w polskim życiu publicznym. Dlatego trzeba było ten program zamilczeć, a profesora Glińskiego blokować medialnie. Część opozycji pokazała dziś, że tak naprawdę nie chce zmian i jest po stronie rządu Tuska. Lecz było to dopiero pierwsze obejście Jerycha. A mury runą”.

Misja Glińskiego kończy się przegranym głosowaniem w lutym 2013 r., ale panowie mają już wtedy inne wspólne aktywności. To Reduta Dobrego Imienia, gdzie Gliński jest w radzie fundacji. Są też Jan Pietrzak, prof. Andrzej Nowak, Wiesław Johann, Tadeusz Płużański, potem Marcin Wojski.

W końcu lata 2014 r. Świrski postanawia przypomnieć się Niemcom. Przed rocznicą wybuchu II wojny światowej idzie z Redutą pod niemiecką ambasadę. Tam mówi, kto jest odpowiedzialny za 1939 r. I znowu ogłasza swoje credo: jeśli Polska nie będzie walczyć o dobre imię, to nie ma co liczyć na pomoc NATO.

– Żaden polityk wychowany na popkulturze i II wojnie z „Bekartów wojny” nie może narodowi antysemitów. To jest istotne zagrożenie geopolityczne – przekonuje.

JAK WYKOŃCZYĆ TVN

W 2015 r., gdy Kaczyński idzie do wyborczego zwycięstwa, Świrski jest oddanym i lojalnym zwolennikiem PiS. Cały czas numerem jeden jest walka ze zniesławieniami, ale znajduje też czas na pracę analityczną.

Bywa częstym gościem prawicowego Klubu Ronina, gdzie bryluje jego współzałożyciel Józef Orzeł. Ze Świrskim pozostają w niezmiennie dobrych relacjach. Są przecież fundatorami Reduty Dobrego Imienia, angażowali się też w obywatelski ruch obrony wyborów, gdy podejrzewali, że PO może chcieć sfalszować głosowanie w 2015 r.

Orzeł ma Świrskiego za inteligenta z dobrego domu. Mówi o nim: polska elita, herbowa szlachta. Ze wywodzi się z profesorskiego domu, jest ocytany, uczciwy i zdeterminowany, jeśli chodzi o Polskę. Świrski mu się odwdzięcza. Podkreśla, że Orzeł to serdeczny druh, polski Żyd, patriota.

– Moje korzenie to Rzeczpospolita Obojga Narodów. Jestem przywiązany do te-

go wieloletniego, wieloreligijnego dziedzictwa. Jestem praktykującym katolikiem, antysemityzm to dla mnie grzech. Nie jestem też nacjonalistą ani narodowcem. Nie mam żadnych przesądów rasowych. Dla mnie Polakiem jest każdy, kto chce nim zostać. Polskość jest uniwersalna, każdy znajdzie tu coś dla siebie, przede wszystkim do brotliwość i tolerancję – przedstawia się Świrski w „Wyborczej”.

W 2015 r. razem z Orłem, Wolskim i prawicową publicystyczną szpicą rozmawia o polityce. Im większe szanse na samodzielny wygrany PiS, tym więcej triumfu wśród mówców Klubu Ronina.

Świrski z kolegami prześcigają się w pomysłach wykończenia „Wyborczej” i TVN. Pozabierać reklamy, zarzucić pozwami, redakcje same się wykończą. „Wyborczą” nazywa gwiazdą śmierci, o TVN mówi „Mordor”. Czyli wyklada dokładnie to, co zrobił obóz władzy po 2015 r.

Jeszcze przed wygranymi wyborami 2015 r. siedli razem – Świrski, Gliński, Wolski i prof. Andrzej Zybertowicz – by napisać donos na TVN do amerykańskiego wła-

go organizacja wypływa na nieznane wo- dy, Świrski przygotowuje stosowny projekt. Przepisy opiera na własnych doświadczeniach. Zapisuje obowiązkową, błyskawiczną publikację sprostowań – wszystko, łączne z sądem, ma zająć 48 godzin.

– Okazało się, że media są aktywnym uczestnikiem gry politycznej i w bar- dzo znacznym stopniu odeszły od swojej funkcji informowania. To zjawisko miało miejsce również przed 2015 r., ale na znacznie mniejszą skalę. Poza PAP, mediami publicznymi i nielicznymi innymi prywatnymi mediami związanymi ze środowiskami patriotycznymi praktycznie zanikła kardynalna zasada oddzielania komentarza lub opinii od informacji – tłumaczy Świrski.

I ciągnie: – Bardzo często niektóre informacje są przemilczane, tak jakby w ogóle nie zaistniały.

No i wreszcie – nie ma zahamowań przed publikacją informacji niepotwierdzonych. Okazuje się po jakimś czasie, że są to wrzutki, które mają wywołać efekt polityczny, informacje nieoparte na faktach,

Z okazji spotkań w KRRiT Świrski polecił ustawić w holu szafkę, by koledzy zostawiali tam telefony

ściela. Że stacja jest stronicza, powinna być zdyscyplinowana i ucywilizowana. Uważali, że o PiS mówi za mało, a jak już, to źle. Podzielili się też z właścicielami następującą uwagą: „Założycielami TVN są ludzie, którzy byli wcześniej na służbie u komunistów”.

W styczniu 2016 r. Świrski jest już doradcą ministra kultury Piotra Glińskiego, bo polityk niezmiennie swojego dawnego rzecznika promuje. To dzięki Glińskiemu prezes Reduty Dobrego Imienia nagle – w lipcu 2016 r. – wchodzi do zarządu Polskiej Fundacji Narodowej, a trzy miesiące później dołącza do Rady Dyplomacji Historycznej przy MSZ.

Polska Fundacja Narodowa miała być dumą PiS. Świrski razem z jej prezesem Cezarym Jurkiewiczem obracali tam milionami z państwowych spółek. Za niewyobrażalne dla innych fundacji pieniądze mieli promować polską markę – przedsiębiorczość, innowacyjność. Mieli też pokazywać, jak piękna i przyjazna za PiS staje się Polska. Zamiast tego zaangażowali fundację w brutalną kampanię rządu przeciwko wymiarowi sprawiedliwości. Kupili też używany pełnomorski jacht, któremu niedługo potem złamał się maszt.

Świrski kończy karierę w fundacji po półtora roku, latem 2018 r. Twierdzi, że sam zrezygnował. Z naszych informacji wynikało, że dostał propozycję nie do odrzucenia od ludzi premiera Morawieckiego. Na politykę władz PFN mieli się skarżyć prezisi spółek, które finansowały fundację.

Świrskiego to niepowodzenie nie zraża, wraca do obowiązków prezesa Reduty Dobrego Imienia. Jest też w radzie nadzorczej PAP. To właśnie w sali konferencyjnej agencji prasowej latem 2017 r. zbiera się Społeczny Trybunał Narodowy, założony przez Świrskiego i Płużańskiego. Wydają tam wyroki infamii na komunistycznych dygnitarzy. Taka kara spotkała m.in. Bolesława Bierutę i Władysława Gomułkę. Nakładanie infamii kończy się na dwóch rozprawach, za to kariera Świrskiego w PAP nabiera tempa – w sierpniu 2020 r. zostaje przewodniczącym rady nadzorczej.

Ale to w Reducie Dobrego Imienia zajmuje się w 2020 r. prawem prasowym. Je-

niepotwierdzone źródłowo, zainscenizowane, ale za to mające swoje konsekwencje. Zapisuje też coś dla siebie. By organizacja społeczna, której celem statutowym jest obrona dobrego imienia Polski, kultywowanie tradycji narodowych, mogła składać pozwy, wspierać „działania mające na celu prostowanie nieprawdziwych informacji pojawiających się w mediach na temat Polski”.

Świrski twierdzi, że nie chodzi tylko o jego Redutę. I uprzedza pytania o cenzurę. – Jeżeli ten projekt byłby wprowadzony, mielibyśmy w Polsce większą wolność słowa niż do tej pory, a także zwiększenie dostępu do informacji. Bo czytelnik, który jest przeciętnym obywatelem mającym swoje konstytucyjne prawo do informacji, będzie mógł zobaczyć sprawę naświetloną ze wszystkich stron – wyjaśnia i zapewnia, że wolności słowa będzie więcej.

Świrski wciąż walczy o swoją nowelizację. W 2021 r. podczas odczytu na konferencji „Rola osób pochodzenia polskiego zamieszkałych poza granicami kraju w ochronie dobrego imienia Polski i Polaków” żali się, że „Wyborcza” odsyła mu sprostowania z uwagą, że nie spełniają kryteriów.

Tak Świrskiemu schodzi pracowicie czas do ostatniej jesieni, gdy dostaje propozycję pracy w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji – jako jej przewodniczący. Rekomendując go do KRRiT, posłanka PiS Anna Milczanowska nazwała go innowatorem, społecznikiem i edukatorem. Wyklada wtedy posłom: – W Polsce istnieje deficyt prawdy w mediach. Ten deficyt prawdy rozumianej jako zgodność opisu z rzeczywistością, jaką możemy obserwować, powoduje, że polscy widzowie i słuchacze mediów mogą podejmować decyzje na podstawie fałszywych przesłanek. I to jest niezwykle groźna sytuacja w momencie, gdy mamy za naszą wschodnią granicą wojnę, która może, nie daj Boże, się do nas przewalić, jeżeli Ukraińcy ulegliby Sowiетom. Jest to sytuacja, w której wprowadzanie w błąd społeczeństwa na jakikolwiek temat może mieć niezwykle groźne skutki w skali masowej, a nie tylko w przypadku indywidualnych osób. ●

Media w Polsce nadzoruje człowiek, który uważa, że świat to syndykat spiskujący przeciwko jego krajowi

Arkadiusz Gruszczyński

Irzecia RP zna takie przypadki: na kilka miesięcy przed wyborami pojawia się polityk, który proponuje wywrócenie okrągłostołowego porządku.

Już w trakcie pierwszych wyborów prezydenckich w 1990 r. opinia publiczna z zaskoczeniem obserwowała szarżę Stanisława Tymiańskiego, który z tajemniczą tęczką pod pachą przedstawiał się jako jedyny człowiek spoza układu, kontestował reformy gospodarcze, dzięki czemu wszedł do drugiej tury, pokonując Tadeusza Mazowieckiego czy Włodzimierza Cimoszewicza. Potem było jeszcze ciekawiej.

Z hasłem „końca Wersalu” do polskiej polityki wdarł się Andrzej Lepper, który grał na tej samej nucie, odwoływał się do tej samej retoryki, zgarniając głosy osób przegranych na transformacji ustrojowej. Liga Polskich Rodzin, z radykalnie konserwatywnym programem, sprzeciwiała się wartościom liberalnym i Unii Europejskiej. Nawet Tusk i Kaczyński w czasach rządów Leszka Millera obiecywali budowę IV RP, ostateczne dokończenie lustracji, stworzenie sprawnego państwa i głęboką reformę kraju.

Janusz Palikot szedł do wyborów z innymi postulatami, związanymi z liberalizacją sfery światopoglądowej, z dostępną aborcją i związkami partnerskimi. Ryszard Petru dodał do tego wszystkiego liberalizm gospodarczy, Paweł Kukiz antysystemowość i niezrozumiały w polskim kontekście pomysł jednomandatowych okręgów wyborczych. Cztery lata temu pojawił się Szymon Hołownia, który początkowo oczarował polskich wyborców świeżością i spojrzeniem w przyszłość. Teraz mamy Sławomira Mentzena, który opowiada się za obniżeniem podatków, ułatwieniami dla przedsiębiorców i wyrugowaniem państwa, które rzekomo spowalnia rozwój oddolnego biznesu.

Tych wszystkich mężczyzn – intryguje brak kobiet – łączyły ambicja rozwalenia dotychczasowej sceny politycznej, wzięcie części władzy, chwilowe zaoranie przeciwników, a przede wszystkim zaspokojenie osobistego marzenia o kreowaniu polskiej rzeczywistości. Wychodziło z tym różnie. Leppera, Gierucha i Kukiza połknął Kaczyński, resztki po Palikocie i Petru zagospodarowali Tusk oraz Włodzimierz Czarzasty, obstawiam, że Hołownię spotka jesienią ten sam los. Jego ludzie dostaną kilka miejsc biorących, dołączą do Koalicji Obywatelskiej, sztandar z wyhaftowaną nazwą „Polska 2050” zostanie wyprawiony. Z Mentzenem będzie tak samo, choć dziś wydaje się to nieprawdopodobne.

Marzenia o nowym rozdaniu są obecne również w innych krajach, czego najlepszym przykładem jest Francja, w której stare partie musiały ustąpić miejsca ruchowi Macrona. To samo dało się zauważyć w USA, gdzie poparcie dla Berniego Sandersa nieoczekiwanie dla wszystkich poszybowało w trakcie wyborów w 2016 r. Przykłady można mnożyć: we Włoszech rządzi koalicja partii antysystemowych, w Niemczech niepokojąco rośnie popularność neofaszystowskiej Alternatywy dla Niemiec, choć w takich krajach jak Słowacja czy Austria urzędy prezydenckie wywalczyli politycy niezależni, spoza głównego nurtu polityki, a do tego liberalni.

Dzieje się tak z prostej przyczyny: społeczeństwa są znudzone zabetonowaną sceną polityczną, stare partie zmieniają się powoli, a potrzeba nowych twarzy jest w sumie czymś naturalnym.

Kimś takim jest Sławomir Mentzen, który odkrył, że połączenie populistycznych haseł gospodarczych i antyuchodźczych z efektem świeżości może oznaczać sukces wyborczy. Młody lider Konfederacji proponuje ra-



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

MENTZENOWI KOŃCZĄ SIĘ RYBY

Skoro Konfederacja ze swoim liberalnym programem gospodarczym stała się trzecią siłą polityczną w kraju, to może pora przeprosić się z liberalizmem

dykalne ograniczenie roli instytucji państwa w życiu obywateli, szczególnie tych związanych z podatkami. Chce drastycznie obniżyć podatki, wprowadzić dobrowolną składkę na ZUS, ograniczyć transfery socjalne i odbiurokratyzować kraj. – Dobrobyt bierze się z pracy, oszczędności, pracowitości i przedsiębiorczości, a nie z zasiłków, drukowania pieniądza i długu – mówił kilka miesięcy temu.

To nie są nowe postulaty, przecież słyszymy je od 1989 r. Niskie podatki miały pobudzić gospodarkę, prywatyzacja – wprowadzić zdrową konkurencję, a dzięki wolnemu rynkowi obywatele mieli mieć do wyboru prywatne przychodnie, szkoły, fundusze emerytalne i kulturę.

Debata publiczna III RP jest zbudowana wokół gospodarczych wartości liberalnych i reakcji na postulaty głoszone przez uczniów Leszka Balcerowicza. Dzisiejszy sukces Mentzena bierze się właśnie z tej batalii: klasa średnia, która ponosi duże koszty związane z wysokimi ratami kredytów, nieprzychylnym i często niezrozumiałym prawem podatkowym dobijającym jednoosobowe działalności gospodarcze oraz małe firmy, chętnie zagłosuje na polityka obiecującego realną zmianę. Przemysław Sadura ze Sławomirem Sierakowskim opisali część elektoratu PiS określeniem „wyborcy cynicznego”. Oglądamy kolejny odcinek tego samego serialu. – Kaczyński miał swoje 500+, Mentzen ma obniżenie podatków – powiedział mi niedawno Sadura. I trudno się z nim nie zgodzić.

Młody polityk jednocześnie stosuje strategię Kaczyńskiego, czyli na czas kampanii wyborczej chowa pewnych polityków i pewne poglądy do szowka na mioty. Prezes PiS w 2015 r. obiecywał, że Antoni Macierewicz nie będzie pełnił żadnych wysokich funkcji publicznych, sam Kaczyński wybrał cień swojego gabinetu przy Nowogrodzkiej, a na pierwszy ogień wystawił Beatę Szydło i Andrzeja Dudę. To samo robi teraz Mentzen, od którego nie usłyszymy, że chciałby karać więzieniem kobiety za przeprowadzenie za-

biegu aborcji, wsadzać do aresztu homoseksualistów i wyprowadzić Polskę z Unii. Internet jednak pamięta, czego nie można powiedzieć o części elektoratu.

Skoro liberalne postulaty ekonomiczne zyskują na wartości, to może inne partie opozycyjne, z PO na czele, powinny się z nimi przeprosić i porzucić socjalne obietnice, zapowiedzi wzmocnienia instytucji publicznych oraz wystawić do Senatu Petru, który jest cywilizowanym liberałem? Szczególnie że – jak wynika z innych badań – aż 30 proc. wyborców Konfederacji opowiada się za neutralnością klimatyczną, związkami partnerskimi, równością płci, a z „piątki Mentzena” bierze tylko jeden postulat, ten związany z obniżeniem podatków. Kto miałby zawalczyć o tych ludzi i dlaczego nie robi tego Platforma?

To, że liberalizm Mentzena jest nieprzemysłany, jest jasne. Niskie wpływy podatkowe do kasy państwa oznaczają, że niektóre sfery życia społecznego będą niedofinansowane, dobrowolna składka na ubezpieczenie społeczne, emerytalne i zdrowotne to gotowy scenariusz na zapaść systemu oraz zalegalizowanie dyskryminacji. Urynkowienie wszystkiego, co publiczne, nie doprowadzi do wyrównania szans, tylko do jeszcze większej biedy i nierówności, czego dowodem są nie tylko Chile, ale także USA. W pierwszym kraju sprywatyzowany jest nawet dostęp do wody, a w drugim nie istnieje coś takiego jak urlop macierzyński, państwowa i powszechna opieka zdrowia czy bezpłatne szkolnictwo wyższe.

W świecie wykreowanym przez Mentzena obywatel jest bezbronny wobec działania wolnego rynku, a na zmianach proponowanych przez lidera Konfederacji skorzystają tylko przedsiębiorcy. Z tej opowieści wypadają nie tylko zwykli pracownicy, ale też cała sfera budżetowa, urzędnicy, nauczyciele, studenci, osoby pracujące w usługach czy przedstawiciele wolnych zawodów.

W opowieści, jaką mogłaby przedstawić PO, chodzi o zupełnie inny liberalizm. Taki, który – nie porzuciwszy korzeni związanych z wyrównywaniem szans i tworzeniem przestrzeni do samorealizacji – inwestuje w silne instytucje publiczne. Nie odkrywam Ameryki i nie popadam w bluźnierstwo, ponieważ debata o odnowie liberalizmu toczy się na całym świecie. Píše o tym chociażby Timothy Garton Ash. Nowy liberalizm musi się uporać z „głównymi słabościami tego, co uchodziło za liberalizm w ciągu ostatnich 30 lat – jedynym liberalizmem gospodarczym, a w najgorszym wypadku dogmatycznym fundamentalizmem rynkowym, który miał tyle wspólnego z ludzką rzeczywistością, co dogmaty materializmu dialektycznego czy papieskiej nieomylności. Owe błędy pchnęły miliony wyborców w stronę populistów”.

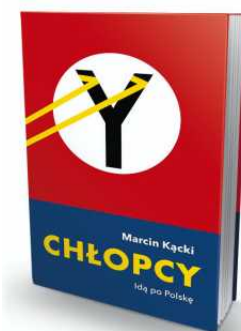
Nie ma wyjścia, mówi Ash, liberalowie muszą się zająć rozwiązaniem różnorodnych nierówności: „tych związanych z bogactwem, opieką zdrowotną, edukacją i geografą, ale także z nierównościami między pokoleniami oraz mniej widocznymi nierównościami władzy i społecznej uwagi”.

Liberalizm zakłada rozwiązywanie problemów, z którymi aktualnie mierzą się społeczeństwa. Ash daje więc gotowe recepty, które znamy chociażby z socjaldemokratycznej krytyki gospodarki: ujemny podatek dochodowy, uniwersalny dochód podstawowy, uniwersalny podatek spadkowy, podstawowe usługi publiczne, takie jak opieka zdrowotna, mieszkalnictwo i ubezpieczenie społeczne. Nie ma mowy o likwidacji państwa, które zdaje się proponować Mentzen. Ash zamiast neoliberalizmu proponuje solidarność.

Popularność Konfederacji wiąże się też z wieloma kryzysami, z którymi mamy do czynienia. Mali przedsiębiorcy wyszli poturbowani z pandemii, młoda klasa średnia wydaje wszystkie oszczędności na jedzenie i raty kredytów hipotecznych, od 2020 r. zmalało też zaufanie do państwa, które nie potrafiło sobie poradzić ze skutkami COVID-19, kombinowało przy organizacji wyborów prezydenckich i zaostriżyło prawo aborcyjne. Skutek? Wyobcowanie, które wiąże się z okrzykiem: „Nie rozpoznaję już mojego kraju!”. Każdy polityk, który obieca „osuszenie waszyngtońskiego bagna”, jest skazany na sukces. Ze szkodą dla demokracji i społeczeństwa.

A dlaczego Mentzen skończy jak wszyscy jego poprzednicy? Sadura i Sierakowski na podstawie swoich wieloletnich badań dokonali segmentacji polskiego społeczeństwa ze względu na światopogląd. Wynika z niej, że socjalliberalowie oraz socjaltradycjonalisci stanowią aż 56 proc. Polaków. Na drugim biegunie mamy 10 proc. neokonserwatystów i tylko 13 proc. liberalów. W centrum widać tylko 21 proc. z nas. Mentzen nie ma po prostu w kim łowić: większość wyborców żyje sobie po prostu silnego państwa, z regulowaną gospodarką, przestrzeganiem kodeksu pracy i transferami socjalnymi.

A kiedy do młodych liberalów dotrze, że ich lider chce ich pozbawić członkostwa w Unii Europejskiej, to szybko wrócą do starych partii. Albo przerzucą poparcie na nowego, świeżego, nieznanego jeszcze dzisiaj polityka. ●



Kim są konfederaci, „kuce Korwina” i sieroty po wszechpolskach? **Książka Marcina Kackiego „Chłopcy. Idą po Polskę”**, wydana przez Znak, już w dobrych księgarniach, w formie e-booka na Znak.com.pl jako audiobook na Publio.pl.

UWAŻAJ NA DUSZĘ

Prawdziwy problem ludzkości polega na tym, że mamy paleolityczne emocje, średniowieczne instytucje i boską technologię

Agnieszka Jucewicz

Dziwią mnie dyskusje, jakie toczą się ostatnio wokół sztucznej inteligencji. Argumenty zarówno tych, którzy twierdzą, że to tylko narzędzie i od nas zależy, jak będziemy się nim posługiwać, jak i tych, którzy wieszczą koniec świata. To tak, jakby ostatnie dwadzieścia lat w ogóle się nie wydarzyło. Jakby w tym czasie nie powstały Facebook, Twitter, Instagram, później TikTok, które dzisiaj mają po miliardy użytkowników i bezpośredni wpływ na życie indywidualne i społeczne.

Jakbyśmy nie mogli wyciągnąć żadnych wniosków. AI to tylko wiśnia na tym średnio smacznym torcie.

Media społecznościowe też miały być tylko narzędziem, które „łączy ludzi” i „buduje lepszy świat” – jak zapewniali jego twórcy. Tymczasem w dużej mierze dzięki nim ten świat jest dziś podzielony jak nigdy. Spolaryzowany, pełen niechęci, pogardy i „wartości”, które z wartościami nie mają nic wspólnego.

Pogarszające się zdrowie psychiczne, promocja konsumpcjonizmu, wzrost postaw narcystycznych, dezinformacja, manipulacja, przyczynianie się do narastania konfliktów na tle wyznaniowym, rasowym, związanym z płcią, demontaż demokracji, rosnący w siłę nacjonalizm, uniemożliwianie jakiegokolwiek dialogu poprzez zamykanie użytkowników we własnych bańkach, a także zwyczajne ogłupianie ludzi – to wszystko jest zasługą między innymi mediów społecznościowych.

I my, użytkownicy, tkwimy w tym po uszy.

O zagrożeniach związanych z mediami społecznościowymi od lat trąbią poważne instytucje zajmujące się zdrowiem psychicznym, ochroną demokracji, dialogu, etycy, społecznicy, ale z jakichś powodów mało komu chce się tego słuchać. Amerykański informatyk i futurolog Jaron Lanier, autor wydanego pięć lat temu manifestu pt. „Dziesięć powodów, dla których powinneś natychmiast usunąć swoje konto z mediów społecznościowych”, mówi, że daliśmy się omotać i zniewolić. I ma rację. Wiele i wielu z nas, nawet świetnie zdając sobie sprawę z konsekwencji związanych z korzystaniem z tych platform, nie wyobraża sobie już bez nich życia. Bo przecież tu „reklamujemy swój biznes” (albo swoją „markę osobistą”), „bez tego bym nie przeżył(a)”, „tu się komuniku-



FOT. SHUTTERSTOCK

ję ze znajomymi”, „tu mam dostęp do wszystkich wiadomości, wydarzeń, w jednym miejscu”, poza tym „bez przesady”, „kontroluję to”.

Lanier obala te wszystkie argumenty, jednak mało kto podejmuje się tego, by spróbować inaczej, bo panuje powszechne przekonanie, że inaczej już się nie da. Bo prawdą jest też, że jednocześnie sięjąc zniszczenie, te media wiele nam również ułatwiają. W ten oto sposób spełnia się najpiękniejszy sen ich twórców (a także ich inwestorów, akcjonariuszy, reklamodawców i lobbystów) o tym, że wszystko ma być TU. Relacje mają być TU. Nasz wizerunek ma być TU. To, co myślimy, co jemy, co kupujemy, ma być TU. Nasze dzieci, psy i koty mają być TU. To, kim jesteśmy, ma być TU. Nasze życie ma być TU!

W mediach społecznościowych spędzamy z roku na rok coraz więcej czasu. Według raportu Digital Media w 2022 roku Polki i Polacy spędzali tam ponad dwie godziny dziennie, o trzystaście minut więcej niż rok wcześniej. Osoby publiczne (w tym dziennikarze, politycy, makro- i minicelebrity)

mają kilka kont na każdej platformie – na Facebooku, Instagramie, Twitterze, TikToku. Ile czasu trzeba, żeby to wszystko obsługiwać? I co albo kto z naszego życia poza mediami społecznościowymi na tym traci?

Nie ma poważnej gazety, magazynu, stacji radiowej bez kanału w mediach społecznościowych. A ponieważ to moja działka, to chyba boli mnie najbardziej – że my, dziennikarze, a razem z nami nasi redaktorzy i redakcje staliśmy się niewolnikami algorytmów, wierząc, że jesteśmy zupełnie niezależni. Boli mnie, że często tworzymy treści, tytuły, li-dy pod media społecznościowe, tak, żeby się „klikalo”, czyli tak, żeby wzbudzało to jak największe emocje (najczęściej złość, zawiść albo lęk) i „rozchodziło” jak najszerzej. Tłumaczymy sobie, że „wszyscy tak robią”, że „taki jest świat”, że „w ten sposób możemy z ważnymi treściami dotrzeć do większej liczby ludzi”.

Być może, ja jednak myślę, że się ludzimy. Brniemy coraz bardziej w to, co miałki, przyczyniamy się do postępującej polaryzacji, do zamykania się na rozmowę. Złości mnie, że w redakcjach

coraz częściej prowadzone są dyskusje o tym, co ktoś napisał na Facebooku albo Instagramie, jaka wynikła z tego chryja, a potem uznajemy, że to ważny społecznie temat, którym powinniśmy się zająć, chociaż dwa dni później nikt o nim nie pamięta, ponieważ pojawia się kolejna awantura, w której koniecznie należy zabrać głos. Smuci mnie, że poważne, głębokie, refleksyjne i długie teksty i analizy giną w zalewie tych treści, które mają na celu tylko i wyłącznie podgrzać emocje i wygenerować ruch. I że w tym zalewie ginie to, co piękne, zniuansowane, co ma szansę budować mosty między ludźmi, a nie je palić.

Wspomniany Jaron Lanier twierdzi, że media społecznościowe niszczą naszą duszę, czyli to, co w nas najlepsze, najbardziej człowiecze. A także „zamieniają nas w dupków”, którzy dają sobie prawo do zabierania głosu na każdy temat, do ciągłego oceniania innych, porównywania i obrzucania błotem. Jaka znowu dusza? – ktoś spyta. Można to uznać za naiwność, ale można też powiedzieć, że to niezgoda na samozagładę. Niezgoda na zamach na naszą wolność myślenia, na wolność w ogóle, tę realną.

Bo świat wykreowany przez media społecznościowe, któremu tak się daliśmy uwieść, chciałby, żebyśmy ową wolność co najwyżej kupowali sobie zamkniętą we flakoniku perfum o tej samej nazwie: „Spryskaj się, a potem koniecznie opisz na Instagramie swoje doznania. Aha, i nie za-

pomnij oznaczyć tego posta hashtagiem #freedom”.

Ostatnio coś tu drgnęło (rychło w czas). Rządy kolejnych państw starają się jakoś uregulować tę totalną samowolkę, wprowadzając na przykład dodatkowe zabezpieczenia dla najmłodszych użytkowników (realne, a nie jak do tej pory deklaratywne). Ale prawda jest taka, że po tamtej stronie, czyli po stronie właścicieli tych platform, są gigantyczne pieniądze, gigantyczna władza oraz niezwykle skuteczny lobbying. I chociaż systemowe rozwiązania są niezbędne, to pilka jest również po naszej stronie.

I tak jak oczekiwanie, że nagle nastąpi masowy odpływ z mediów społecznościowych, jest rzeczywistość w tej chwili naiwnością, tak wierzę, że możemy stale pogłębiać swoją wiedzę na ich temat. Decydować, w jaki sposób chcemy z nich korzystać, pamiętając o tym, jak potężna jest ich moc (jest już masa badań na ten temat). Sprawdzając, co nam szkodzi, a także jak nasza obecność na tych platformach i to, co w nich tworzymy, wpływa na innych i czy im nie szkodzi, mając w pamięci słowa amerykańskiego biologa Edwarda O. Wilsona, który powiedział kiedyś, że „prawdziwy problem ludzkości polega na tym, że mamy paleolityczne emocje, średniowieczne instytucje i boską technologię”.

Być może krytyczne spojrzenie na to, w jaki sposób sami korzystamy z mediów społecznościowych, na jakich mechanizmach zostały one zbudowane i jak są rozwijane, a także na ile dajemy się tym mechanizmom ponieść, pozwoli nam lepiej przygotować się na współbicie ze sztuczną inteligencją, tym razem na naszych zasadach. ●

Polecam źródła:

- Magdalena Bigaj, „Wychowanie przy ekranie” (wbrew pozorom nie jest to książka wyłącznie dla rodziców);
- Techspresso.cafe – pierwszy polski podcast i newsletter o filozofii technologii, prowadzi Gosia Fraser;
- Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, Cyfroweobywatelstwo.pl;
- Fundacja Panoptikon, Panoptikon.org;
- Jaron Lanier, „Dziesięć powodów, dla których powinneś natychmiast usunąć swoje konto z mediów społecznościowych”;
- Shoshana Zuboff, „Wiek kapitalizmu inwigilacji”;
- Humanetech.com – strona organizacji non profit walczącej o przeprojektowanie nowych mediów na takie, które będą sprzyjały ludziom i społeczeństwu (po angielsku).

**Facebook, Twitter, Instagram, TikTok
zamieniają nas w dupków, którzy zabierają głos
na każdy temat**

Polskiego Harvardu i tak nie będzie

NIE MIEJCIE WD... MAŁYCH UCZELNI

Polska nauka tak się umiędzynarodowiła, że aż strach używać języka polskiego czy publikować w pracach zbiorowych

Kamil Minkner*

W ostatnich latach w organizacji polskiej nauki zastosowano liczne terapie szokowe. Operacja się udała, tyle że pacjent coraz bardziej dogorywa. Jest już tak międzynarodowo, że aż strach używać języka polskiego, publikować w pracach zbiorowych albo prowadzić badania poza systemem grantów, które stały się glejtem certyfikowania wartości naukowej.

Co więcej, konkretne wydawnictwo albo liczba punktów za artykuł mają większe znaczenie niż jakość tekstu. Tylko na realną naukę jest coraz mniej czasu, bo ważniejsze jest to, żeby ją owskaźnikować i rozliczyć we wnioskach i sprawozdaniach.

To nie będzie tekst o nauce. To będzie tekst o organizacji nauki. Pozornie straszne nudy, ale to tak naprawdę opowieść o realnych mechanizmach stojących u podstaw tego, co wydaje się naturalne i oczywiste. W praktyce – opowieść o polityce, czyli tej sferze, która wpływa na nas tym bardziej, im bardziej się nią nie interesujemy. W tym sensie przesłanie tej opowieści jest uniwersalne.

Od czasów minister Kudryckiej, poprzez ministra Gowina, a skończywszy na ministrze Czarnku, nauka stała się przedmiotem żywego zainteresowania władzy. Cele były szczytne. Chodziło o to, żeby ukroić dawne patologie, których rzeczywiście było sporo. Przykładowo, częste były przypadki, że dany pracownik naukowy przez wiele lat nic nie publikował, co więcej – jakość naukowych publikacji nie podlegała rzeczywistej kontroli.

Miało być bardziej rzetelnie, profesjonalnie i obiektywnie w ocenie wyników badań.

Sprawdziła się jednak stara zasada, iż w przyrodzie nie może być próżni, i dlatego stare patologie zastąpiono nowymi. Na naukę spłynęła niespotykana wcześniej fala biurokratyzacji. Rolę Ministerstwa Prawdy powierzono szacownej instytucji, na pewno z nazwy, czyli Narodowemu Centrum Nauki. Instytucja ta miała stać na straży finansowania badań naukowych dla różnych grup naukowców. Nie chcę oceniać, co się udało, a co nie. Chcę raczej zaproponować pewien sposób spojrzenia na funkcjonowanie nauki, którego najczęściej się nie dostrzega. Okazuje się bowiem, że zasady organizacji nauki nie są neutralne, a ze wszech miar mają ideologiczne i polityczne zabarwienie, co dobrze widać z punktu widzenia uczelni regionalnych, których znaczenie szczególnie będzie mnie tu obchodzić.

Do napisania tego tekstu zainspirował mnie w dużej mierze dr Bartosz Rydliński, który w tekście „Narodowe Centrum Nauki jest niczym Instytut Pamięci Narodowej” wyraził opinię na temat rozmytej logiki grantowej NCN, za co został w przypadku niektórych postulatów – zaprzestania samonapędzającego się faworyzowania największych ośrodków czy faworyzowania języka angielskiego już na starcie całego procesu, czyli we wnioskach o grant – skrytykowany. Tymczasem było to uderzenie w przysłowiowy stół, tyle że nożyce, które się później odezwały, okazały się bardzo zardzewiałe. Słyszeliśmy starą melodię, że dobra nauka obroni się sama, że propozycje systemu kwotowego albo wspierania regionalnych uczelni to wzmacnianie przeciętności czy wręcz komunizm.

Rydliński miał jednak rację, twierdząc, że obecny system organizacji nauki, a także NCN, to struktury z epoki minionej. Co więcej, uderzył w moje czuły struny, ponieważ słusznie wykazał, że NCN deprecjonuje uczelnie regionalne. I nie chodzi wcale, żeby je faworyzo-



Po pierwsze, uczelnie regionalne są potrzebne studentom z pobliskich miejscowości.

Po drugie, uczelnie regionalne kreują zaplecze intelektualne otoczenia lokalnego. Kształcą przyszłe elity, ekspertów, urzędników, przedsiębiorców.

Po trzecie, uczelnie regionalne stawiają na mniej oczywiste kierunki badań, które z czasem okazują się znaczące.



wać; chodzi o to, żeby z tego powodu, że są regionalne, ich nie defaworyzować.

Ponieważ reprezentuję Uniwersytet Opolski, a więc uczelnię regionalną (dla złośliwych prowincjonalną), najpierw czuję się w obowiązku przedłożyć rytualną formułę autoakredytacji. Być może oszczędzę zarazem komuś cenny czas na googlowanie. Podobnie jak dr Rydliński reprezentuję nauki o polityce i administracji. Pracuję w Opolu, ale doktorat i habilitację robiłem na Uniwersytecie Warszawskim. Od wielu lat jestem związany ze środowiskiem warszawskich teoretyków polityki. Mam na koncie granty, w których uczestniczyli badacze i badaczki z topowych uniwersytetów, a swoje badania z zakresu zrównoważonego rozwoju prowadziłem od Jordanii po Spitsbergen. Dzięki tym doświadczeniom zawsze byłem na styku pomiędzy centrum a regionem. Z czasem coraz bardziej rozumiałem, jak nieoczywiste są to podziały, co formalnie wykazała ocena ewaluacyjna. Opolska politologia otrzymała kategorię A. Co więcej, w najnowszym rankingu czasopisma „Perspektywy” zajęliśmy piątą lokatę w kraju.

Czy to wszystko oznacza, że uprawiamy lepszą, bardziej wartościową naukę niż w ośrodkach z większymi miastami, gdzie noty z ewaluacji nie wszędzie były tak wysokie? Nie! Ale nie uprawiamy też gorszej, jesteśmy po prostu ważną częścią naukowego ekosystemu – ale często musimy to dużo bardziej zaznaczać.

W powszechnym przekonaniu ludzi i niestety wielu naukowców nauka to odkrywanie jakiejś jednej Prawdy, a tę można wyrazić przede wszystkim w sposób kwantyfikowalny, neutralny i obiektywny. Jak pięknie określił to kiedyś pragmatysta William James, prawdą jest jednak to, w co oplaca nam się wierzyć. Klu-

czowe okazują się często interesy tego, który głosi, ale i przyjmuje dane twierdzenie.

Nauka jest zjawiskiem społecznym. Czy też, powiem jeszcze dobitniej z punktu widzenia mojej dyscypliny, jest zjawiskiem politycznym funkcjonującym w ramach określonych struktur ekonomicznych. Jej uprawianie to nie swobodne działanie genialnych, pełnych pasji uczonych, funkcjonujących w swoich laboratoriach jak w wieżach z kości słoniowej, ale realna walka o władzę nad wiedzą – a więc nad tym, jakie systemy znaczeń, pojęć, informacji będą obowiązywać.

Z drugiej strony, jeżeli nauka jest zjawiskiem społeczno-politycznym, to polityka naukowa jest areną starcia interesów i potrzeb. Teza ta ma umocowanie teoretyczne i badawcze od wielu lat za sprawą różnych badań. Wymienić tu można chociażby znakomitą książkę Pierre'a Bourdieu „Homo academicus”, ale także badania przedstawicieli brytyjskich studiów kulturowych.

Czućny polemista tu stwierdzi, że to zależy od dyscypliny. Może tak jest w politologii, ale nie w fizyce albo w biologii, które są przecież naukami ścisłymi. Tyle że tu przede wszystkim chodzi o to, co się wybiera do badania, a dokładniej: co jest finansowane, co jest aktualnie pożądane z punktu widzenia interesów władzy, biznesu, elit naukowych.

Dobrym przykładem, jak to działa, może być przypadek determinizmu genetycznego. W latach 90. wokół tego paradygmatu powstawały doktoraty, ośrodki badawcze, a biznes zaczął powszechnie stosować płatne testy, aby człowiek mógł się dowiedzieć, czy zapadnie na jakąś chorobę, zostanie alkoholikiem albo złodziejem. Ale szybko okazało się, że sytuacja jest bardziej złożona, a geny nie oddziałują tak jednoznacznie, jak się wydawało. Okazało się więc, że pewien reżim wiedzy w kompleksie z władzą zmonopolizował dyskurs i inne głosy z trudem się przebijały.

Celowo wzięłem przykład spoza nauk społecznych, żeby pokazać, że nie dotyczy to tylko dziedzin, którą reprezentuję. Nie ulega jednak wątpliwości, że na moim polu przykładów jest dużo więcej. Chociażby prof. Mirosław Karwat nieraz jasno i dobitnie dowodził, że cała polska polityka naukowa wraz z systemem finansowania jest po prostu walką o władzę – nierzadko o generacyjny podłożu – oraz o kontrolę nad wytwarzaniem wiedzy, która ma reprodukcować, a przynajmniej odzwierciedlać realia późnego kapitalizmu. W tej perspektywie system grantów to nic innego jak kolejna arena walki o zasoby rzadkie, ale i w ujęciu bardziej konkretnym – mechanizm prekaryzacji naszego środowiska. Po co państwo ma płacić solidnie i godnie pracownikowi naukowemu? W czasach żenujących zarobków w nauce badacze ruszyli więc do boju o granty. Oto przepis na sprytny outsourcing, który sprawił, że badacze stali się obrotowymi przedsiębiorcami i menedżerami procesów badawczych.

Sprawa nie jest jednak taka prosta. Grantu bowiem tak łatwo się nie dostanie. Wiadomo, że należą się one najlepszym. Ale jak ich wyłonić? I tu pojawia się kolejne wbudowane założenie w postaci forowanych, także przez NCN, podejść ilościowych. W rezultacie w ostatnich latach w naukach społecznych rozgorzał na nowo spór pomiędzy rewolucyjnymi hunwejbiniami z obozu ilościowców (np. stosowanie statystyki, wyliczanie korelacji) a rzekomą konserwą jakościowców, którzy stawiają na spekulację, interpretację, rozważania teoretyczne. Nieważne, że na wielbionym Zachodzie już dawno przepracowano te spory, dochodząc do wniosku, że są różne drogi do różnych celów. U nas ciągle trwa walka o Prawdę. W rezultacie jeżeli jakiś nieszczęśnik wejdzie w oko cyklonu, zostanie rozerwany kaśliwą recenzją grantu do NCN, która nie tyle wyraziła merytoryczną ocenę, ile była raczej orężem w manewrach wojennych.

Dodajmy tylko, że podejścia jakościowe są najczęściej z nurtu krytycznego. W fizyce ma to może mniejsze znaczenie, ale w socjologii, politologii czy ekonomii to już kwestia kluczowa. Lecz to, że ujęcia ilościowe są często przyczynkarskie, wycinkowe, bez generalizacyjnych ambicji, mało kogo interesuje. Ważne, że możemy przyłożyć obiektywną miarę.

Filozof Neil Postman przytomnie stwierdził swego czasu, że człowiekowi z młotkiem wszystko wydaje się gwoździem. Analogicznie – człowiekowi z miarą wszystko wydaje się zbiorem liczb. W ten sposób można także oceniać wiedzę, eliminując tych, którzy nie tyle są słabsi, ile reprezentują inny paradygmat uprawiania nauki. Ale ilościowe założenia odpowiadają także za proces biurokratyzacji nauki. Organizacja życia naukowego w Polsce bardziej przypomina dzisiaj proces produkcji makulatury w postaci tabletek, martwych wskaźników, wydumanych efektów kształcenia, odrealnionych parametrów efektywności procesu badawczego czy dydaktycznego. O pasji często trzeba zapomnieć.

Te narzekania mają praktyczne przełożenie. Należy zadbać, żeby w komisjach oceniających wnioski grantowe był większy balans osób reprezentujących różne podejścia. I należy tak przebudować koncepcję grantów, aby reprezentowały różne typy badań.

Innym frontem walki o władzę w świecie nauki są potyczki na organizacyjnym zapleczu naukowej agory. Dobrym przykładem jest komercjalizacja wyników naukowych. Szczytem umiędzynarodowienia jest dzisiaj umiejscowienie artykułu w wielkiej bazie artykułów, która jest przecież przedsięwzięciem komercyjnym, nie bankiem publicznej wiedzy rozwijanym pod egidą UNESCO. Ostatnim ogniwem w tym łańcuchu dostaw jest np. mój doktorant, który ma zapłacić obcym firmom za dostęp do artykułu polskiego uczonego,

który został wypracowany na publicznej uczelni. I nie ma znaczenia, że moja uczelnia zakupi ten dostęp, bo przecież zrobi to również za publiczne pieniądze.

Tak się kręci biznes. Bo nauka jest dzisiaj przede wszystkim biznesem, co wyraża się chociażby w lamentach przedsiębiorców niezadowolonych z jakości wiedzy absolwentów. Tyle że uczelnie wyższe nie są maszynką dostarczającą pracownika szytego na miarę. W perspektywie eksplozji robotyki i AI to powinno szczególnie wybrzmieć: potrzebujemy absolwenta, który będzie mieć kompetencje transferowalne, ale nie sztywne.

Ważnym aspektem systemowych realiów uprawiania nauki w Polsce jest również permanentna zmienność reguł, co w dużej mierze sprawia, że nikt do końca nie wie, w co gra. Szczytem pseudoprofesjonalizmu w ostatnim okresie ewaluacji kierunków był brak wiedzy o liczbie punktów zdobywanych w poszczególnych czasopismach w momencie publikacji. W tej sytuacji zasada *lex retro non agit* w ogóle nie obowiązywała.

Takie efemeryczne realia wpływają na rozproszenie środowiska, które przede wszystkim skupia się na silnej konfrontacji w walce o zasoby. Takim podzielonym środowiskiem łatwiej się oczywiście zarządza. Takie założenia determinują także w wielu aspektach peryferyjność polskiej nauki (wypowiadam się głównie o własnej dyscyplinie). Nie chodzi o to, że jest słabsza niż zachodnia, ale że odzwierciedla międzynarodowy układ sił, w którym dominuje wyznaczające reguły globalne korporacyjne centrum. Klania się tu teoria zależności Immanuela Wallersteina.

Z góry jesteśmy więc na słabszej pozycji. Prymusi mogą się znakomicie w tym systemie odnaleźć, ale są poza obrębem tworzenia reguł. I to umiejętność poruszania się w ich gąszczu jest dzisiaj bardziej pożądana niż intuicja, żeby przesuwać horyzont poznawczy.

W tak zarysowanym kontekście możemy przejść na regionalne pole minowe. Stawką i w tym przypadku jest kontrola centrum nad peryferiami, ale w ramach naszego, krajowego układu sił. Czuję dumę, że udało się opolskiej politologii w ramach tak niejasnych warunków zdobyć kategorię A, i to grając w grę znacznymi przez rozdającego kartami. Niemniej niespecjalnie byłem zdziwiony, kiedy okazało się, że dobre wyniki ewaluacji nie będą jednak powiązane z dodatkowymi pieniędzmi dla wyróżniających się kierunków.

W praktyce uczelnie regionalne są punktowane często za najmniej odstępstwa, a kompletnie niedoceniane, kiedy jednak prostają zadaniom. Dlatego za wyraz absolutnie złej woli uznaję krytykę pod adresem tych, którzy piszą o wspieraniu regionalnych uczelni. Tu nie chodzi o wspieranie przeciętniactwa, ale o umożliwienie tak samo dobrego funkcjonowania na równych zasadach z innymi dobrymi. Rozmyta logika grantowa NCN nie potrafi sprostać temu zadaniu. Uczelnie regionalne mają często bardzo dobre zaplecze intelektualne i potencjał naukowo-badawczy, ale cały czas muszą to z nadciętym rytualnie potwierdzać. Tak samo jeździmy po świecie, prowadzimy badania, publikujemy artykuły. Co więcej, nasze regionalne usytuowanie nie przeszkadza kolegom i koleżankom z większych ośrodków we współpracy z nami.

Problem ma w dużej mierze charakter instytucjonalny i dotyczy właśnie takich instytucji jak NCN, co wyraża się chociażby w rzadszym finansowaniu badań prowadzonych w ośrodkach regionalnych. Warto więc uporządkować argumenty, dlaczego uczelnie regionalne są tak ważnym gwarantem, jak nazwał to Rydliński, naukowego zrównoważenia. Bo o zrównoważony rozwój tu w dużej mierze chodzi – w sensie społecznym, ekonomicznym, a nawet ekologicznym.

Najpierw uwaga ogólna. Niezwykle mnie irytują oceny fatalnego stanu polskiej nauki na tle znakomych światowych dokonań. Porównywanie Harvardu czy Oxfordu z Uniwersytem Warszawskim, nie mówiąc już o Opolskim,

to absurd. Te potężne światowe uczelnie, bez względu na to, czy publiczne, czy prywatne, działają dzisiaj jak wielkie firmy – ściągają najlepszych naukowców i oferują im znakomite warunki finansowe i dostęp do całego zaplecza. W polskich realiach nie ma na to szans. I niczym się tu Uniwersytet Warszawski nie różni od Opolskiego. Dlatego warto spoglądać w odpowiednich proporcjach na znaczenie regionalnych uczelni.

Po pierwsze, uczelnie regionalne powinny dostarczać dobrą jakościowo wiedzę wszystkim chętnym, ale szczególnie potrzebne jest to studentom z pobliskich miejscowości. Często to osoby, których nie stać na wyjazd z powodów socjalnych albo które nie mogą tego zrobić z powodu różnych niepełnosprawności. Ludzie z Ozimka, Krapkowic albo Prudnika też mają prawo otrzymać dobrą jakościowo wiedzę. Z punktu widzenia państwa wspieranie uczelni pod tym kątem jest wręcz kluczowe. Nie będę już mnożył argumentów, że lepiej wyedukowany pracownik ma możliwość podwyższenia kapitału kulturowego, ale i tego materialnego dzięki zdobyciu lepszej pracy w przyszłości. Innym aspektem jest kwestia emocjonalnej bliskości i możliwości studiowania w regionie dla osób pochodzących z mniejszościowych grup etnicznych, dla których niezwykle istotna jest lokalna tożsamość. Ma to miejsce chociażby w przypadku mieszkających na Opolszczyźnie Ślązaków, którzy często wybierają właśnie opolskie uczelnie.

Po drugie, uczelnie regionalne kreują zaplecze intelektualne otoczenia lokalnego. Kształcą przyszłe elity, ekspertów, urzędników, przedsiębiorców. To często osoby, które znają miejscowe realia i dobrze rozumieją potrzeby mieszkańców. Dla nich studiowanie w swoim lub pobliskim mieście jest sposobem na wchodzenie w regionalny krwioobieg, tworzenie relacji, które w przyszłości będą procentować. W praktyce uczelnie regionalne stają się kołem zamachowym regionalnego rozwoju. Przy okazji są bardzo ważnym regionalnym pracodawcą.

Po trzecie, ośrodki regionalne, szukając swojego miejsca na naukowej mapie, stawiały często na mniej oczywiste kierunki badań, które z czasem okazywały się znaczące w szerszej skali. To właśnie w Opolu otrzymałem możliwość rozwijania badań na temat relacji popkultury i polityki w czasach, kiedy tak niepoważnymi obszarami szacowana nauka o polityce w ogóle się nie zajmowała. Obecnie mamy już całe środowisko naukowe z tego obszaru.

I wreszcie, po czwarte, napiszę to wprost – nauka nie zawsze musi być ŚWIATOWA i GLOBALNA. W naukach społecznych i politycznych jest wiele badań ukierunkowanych na regionalne potrzeby, na rozwiązywanie lokalnych zadań, na obsługę i realizację celów małych społeczności. Tego typu działania muszą być jakościowo bardzo dobre, ale bez sensu jest je rozpatrywać w galaktycznym kontekście, a następnie plakać, że nie jesteśmy tak dobrzy, jak na Zachodzie. Wiatr może wszędzie wieje tak samo, ale już wiatry zmian społecznych są zróżnicowane.

Kierując się tą zasadą, prof. Adam Drosik stworzył w Opolu liczący się ośrodek analizy problemów globalnych i zrównoważonego rozwoju, opierając się na założeniu, że na problemy makro warto spoglądać również w ujęciu mikro. Dzięki temu możemy współpracować z najlepszymi w Polsce, ale i w dalekiej Brazylii, a podręcznik na temat studiów globalnych, który powstał w naszym ośrodku, otrzymał prestiżową nagrodę Unii Europejskiej.

Z tych wszystkich powodów nie tylko decydenci od tworzenia polityki naukowej, ale także jej często nadgorliwi inżynierowie, menedżerowie, piarowcy, jednym słowem: socjotechnicy – powinni zrozumieć, że wspieranie regionalnych uczelni jest w interesie ogólnospołecznym. Podanie ręki temu, kto funkcjonuje poza centrum i nie wierzy w skapywanie z pańskiego stołu, to nie ciągnięcie go za uszy, to elementarna zasada społecznego solidaryzmu. ●

* profesor Uniwersytetu Opolskiego

Po prawdzie

Policja włożyła PiS kij w szprychy

Jeśli Jarosław z Żoliborza kogoś się boi, to Joanny z Krakowa



Agnieszka Kublik

Młodzi byli zdemobilizowani. W tym Kaczyński pokładał nadzieję na trzecią kadencję. Sprawa pani Joanny z Krakowa może to odmienić. Zmobilizować wyborców młodych, a przede wszystkim młode kobiety. Tego Kaczyński się boi.

Sprawa aborcji porusza. Dotyczy naszych najgłębszych emocji i potrzeb. Dotyczy wszystkich, kobiet i mężczyzn, młodych i starych. Sprawa dzieci jest uniwersalna.

Najbardziej niszczy poczucie bezpieczeństwa młodych Polek. To było widać choćby po wyroku Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej zaostającym prawo antyaborcyjne. Wyciągnął na ulice właśnie przede wszystkim młode Polki. To one mają najwięcej do stracenia. Oraz najwięcej do powiedzenia. I tego panicznie lęka się Kaczyński.

Bo statystyka wyborcza jest przeciwko niemu, co wie, gdyż korzysta z badań socjologicznych. No, może raczej wykorzystuje, by mówić to, co ludzie chcą usłyszeć – niemniej na nich się opiera.

Ale sprawa Joanny z Krakowa to zupełnie inna historia. Na nią PiS nie znalazł – jak dotąd – dobrej odpowiedzi. Ani retorycznej, ani socjologicznej. Nie dlatego, że się pogubił, ale dlatego, że takich odpowiedzi nie ma.

Retorycznie i etycznie – tego skandalu nie da się obronić. Owszem, PiS usiłuje – reżimowe media, będąc na usługach władzy całą dobę, powtarzają, że Joanna sama sobie winna, a policja dopełniła wszelkich procedur.

Na pewno nie. Joanna z Krakowa poprosiła swoją lekarkę psychiatrę o pomoc, bo psychicznie się fatalnie czuła. W efekcie trafiła pod but policjantów, którzy jej nie opuszczali nawet w trakcie badania lekarskiego. Powód? Lekarka, podejrzewając, że Joanna może się targnąć na swoje życie, przekazała służbom ratunkowym, że pacjentka przed tygodniem zażyła tabletkę wczesnoporonną. Policja potraktowała Joannę jak przestępcę (nie miała i nie ma statusu podejrzanej, zażycie ta-

bletki poronnej nie jest przestępstwem), sama zabrała jej z walizki laptop, zmusiła do oddania telefonu, kazała się rozebrać, kucnąć, kaszleć. Nie sprowadziła psychiatry. Teraz twierdzi, że to wszystko to była troska o zdrowie Joanny. Ale jeśli tak, to dlaczego kobietę w fatalnym stanie psychicznym gnoila niczym niebezpiecznego więźnia? Lekkarze nie dali rady obronić Joanny przed policjantami.

Gdy sprawa stała się głośna, gdy komendant główny policji dostał się pod ostrzał opozycji, policja zaczęła się bronić. Czym tylko potwierdziła, że potraktowała Joannę tak, jak nikt nigdy nie powinien zostać potraktowany.

Policja bowiem ujawniła na konferencji prasowej wiele szczegółów, jakich ujawniać nie miała prawa, np. że Joanna leczyła się psychiatrycznie, że było od niej czuć alkohol. Czyli policja sama nam uświadomiła kilka rzeczy. Że obywatel w starciu z państwem PiS musi przegrać. Że kobieta zostanie odarta z godności. Że dzisiejsza władza to najbardziej antykobieca i okrutna ekipa po 1989 roku.

I tym, że kobiety dzięki Joannie z Krakowa to sobie uświadomią, Kaczyński się niepokoi. I słusznie.

Zatem jeżeli sprawa Joanny tak bardzo poruszy młodych, w tym młode kobiety, że też się zmobilizują i zechcą iść na wybory – to dołączając do starszych, dadzą opozycji większość, która po dwóch kadencjach może odsunąć PiS od władzy.

Sprawa Joanny bowiem uświadamia młodym, wbrew temu, co im się wydaje – że wszystko, co dla nich istotne, dzieje się poza polityką, że wybory to rytuał dla staruszków – wszystko zadziać się może tu i teraz, w czasie kampanii i w dniu głosowania. I to dzięki ich wyborom.

W lipcowym sondażu CBOS wiadać, że teraz mobilizacja wyborcza jest nieco wyższa niż w 2019 roku – a był przeprowadzony jeszcze przed sprawą Joanny.

Sondaże pokazują, że frekwencja kobiet jest średnio o 5 punktów procentowych niższa niż mężczyzn. Co by było, gdyby młode Polki się wkurzyły i poszły na wybory? Nasz drugi sondaż obywatelski – też przeprowadzony jeszcze przed sprawą pani Joanny – pokazuje, że mobilizacja wśród kobiet może być dla Kaczyńskiego zabójcza.

Bo gdyby opozycja startowała na jednej liście i gdyby głosowały tylko kobiety, opozycja nie tylko by PiS pokonała, nie tylko miałaby w Sej-

Gdyby opozycja startowała na jednej liście i gdyby głosowały tylko kobiety, nie tylko miałaby w Sejmie większość do utworzenia rządu, ale zdobyłaby 288 mandatów – a tyle wystarczy nawet do odrzucenia prezydenckiego weta

Tak docieramy do braku dobrej dla PiS odpowiedzi socjologicznej. Bo owszem, socjologdy dostarczają danych do jej udzielenia: młode pokolenia, nawet jeśli zerkają na Konfederację, to z przyczyn ekonomicznych, a obyczajowo są coraz bardziej liberalne, stawiają na samostanowienie – o swoim ciele, swojej seksualności, tym, kogo i na jakich warunkach się kocha. A takiej odpowiedzi na sprawę pani Joanny – „wasze ciała, wasza sprawa” – Kaczyński rzecz jasna nie może udzielić.

Więc jest w strachu. Bo do tej pory to młodzi wyborcy byli zdemobilizowani, a najstarsi bardzo zmobilizowani. Jednocześnie w wyniku zmian demograficznych przybywa wyborców najstarszych i w efekcie rośnie dysproporcja między najmłodszymi a najstarszymi wyborcami.

W wyborach parlamentarnych w 2019 roku wyborców najstarszych było ponad dwa razy więcej niż najmłodszych.

To dla opozycji ma znaczenie fundamentalne, bo KO ma przewagę nad PiS we wszystkich grupach wiekowych aż do 55. roku życia.

mie większość do utworzenia rządu, lecz także zdobyłaby 288 mandatów, a tyle wystarczy nawet do odrzucenia prezydenckiego weta (dla porównania: gdyby głosowali tylko mężczyźni, jedna lista ugrałaby 182 mandaty, czyli Kaczyński by wygrał).

Dlatego od miesięcy PiS kombinuje, jak zyskać choć trochę głosów kobiet. Dlatego w maju premier Morawiecki podczas I Kongresu „Wielkopolska Sercem Europejskiej Przedsiębiorczości. Polka – Wyjątkowa Europejka” kadił kobietom, że „dzisiaj kobiety lepiej sobie radzą niż mężczyźni, którzy nie mogą nadążyć za kobietami”.

Nie pomogło. A policja, pastwiąc się nad panią Joannę, wręcz włożyła tym staraniom kij w szprychy. Stąd próby zminimalizowania szkód – desperackie jak pasek TVP, który donosi, że „opozycja oszukuje kobiety”.

Dadzą się oszukać Kaczyńskiemu? Nie pójdą na Marsz Miliona Serc zapowiedziany przez Tuska na październik?

Nie sądzę. I to spędza Kaczyńskiemu sen z powiek. ●



FOT. PETROS GIANNAKOURIS/AP

Pan Piotr chciał odwołać rodzinne wakacje na Rodos, ale przepadłoby mu 11 tys. zł. Pojechał. – Pomyśleliśmy, że z pożarami tam jest jak z wojną w Ukrainie. Jest obok, ale nie u nas – mówi

Edyta Bryła

est dym? Czuć spaleniznę? Hotel otwarty? Proszę, dajcie znać, jak sytuacja w Faliraki". Tak turyści rozpytują w mediach społecznościowych o sytuację na Rodos, bo boją się jechać. W wielu przypadkach biura podróży nie chcą zwracać pieniędzy, bo twierdzą, że na wyspie jest bezpiecznie.

Strach z tyłu głowy

Pan Tomasz na Rodos poleciał w poniedziałek z rodziną i znajomymi – łącznie siedem osób. Do końca miał nadzieję, że biuro Rainbow odwoła wyjazd, ale twierdziło, że na miejscu jest bezpiecznie. – Pali się blisko, 15-20 km stąd, ale nawet dymu nie widać. Ogólnie jest przyjemnie. Upał jest ogromny, ale pomagają wiatr i basen – mówi mi.

Nie obawiał się, że wyjazd się nie uda? Owszem, ale biuro zapowiedziało, że przepadnie cała wpłacona kwota – w przypadku jego rodziny to 11 tys. zł. – Po drodze doszliśmy do wniosku, że to jak z wojną w Ukrainie. Jest obok, ale nie u nas – mówi pan Piotr. Dodaje, że samolot był w połowie pusty. To dlatego, że część miejsc zarezerwowana była przez biura, które odwołały wyjazdy, i dlatego, że niektórzy turyści sami zrezygnowali.

Z kolei pani Katarzyna, która też poleciała z rodziną, zdziwiła się, bo samolot był pełen turystów. Zrezygnowałyby z wyjazdu, ale nie miała ochoty na wal-

kę z biurem podróży, a groziła jej strata prawie 13 tys. zł. – Ale myślałem, że teraz strach z tyłu głowy pozostanie przez cały pobyt – mówi.

Pani Magdalena wróciła z Faliraki – było spokojnie i, jak mówi, gdyby nie internet, o pożarach by nie wiedziała. Ale jej biuro podróży odwołało wycieczki fakultatywne. Turystom wyjazd odradza. – Jest za duża niepewność, czy do tego miejsca też pożar nie dotrze. Nawet zakładając, że miejsce pozostanie bezpieczne, to brak możliwości zwiedzenia wyspy jest dużym minusem. Poza tym rozmawialiśmy też z ludźmi, którym w hotelu dokwaterowali 400 osób po ewakuacji. To nie są wakacyjne klimaty – mówi.

30 km od pożaru

Sytuacja na Rodos jest trudna. Z wyspy ze względu na pożary ewakuowanych zostało prawie 30 tys. osób, w tym około tysiąca Polek i Polaków. Spłonęło już około 10 proc. wyspy. We wtorek portal Ekathimerini informował, że w ciągu 24 godzin odnotowano 54 nowe ogniska.

Pani Monika nie zdecydowała się lecieć (też miała spędzić urlop w Faliraki), bo nie chciała narażać dzieci. – To 30 km od pożaru. W ciągu doby kierunek rozprzestrzeniania się może się zmienić nawet o 180 stopni. Nie zaryzykuję, że spędzę cały wyjazd i nie zmrużę oka, bo będę się martwić. Nie chcę fundować sobie traumy – mówi.

Wyjazd wykupiła w biurze podróży Nekera, które pieniądze

zwrócić nie chce (wyjazd kosztował ponad 11 tys. zł). Ma więc zamiar złożyć pozew do sądu.

Szef biura podróży Nekera Maciej Nykiel mówi mi: „Obecnie sytuacja na wyspie jest stabilna, nie prowadzimy żadnych ewakuacji. Bierzemy za turystów pełną odpowiedzialność i na podstawie wszystkich dostępnych nam danych nie ma zagrożenia dla bezpiecznego i spokojnego wypoczynku”.

Jeśli turyści mieli jechać do hoteli, które zamknięto, Nekera proponuje zmianę kierunku lub hotelu albo zwrot pieniędzy.

Komunikat MSZ jest skąpy: zachęca do rezygnacji z wyjazdu do miejsc, które grecki rząd uznaje za niebezpieczne. Nie wymienia, których należy unikać

Wiele biur podróży reaguje podobnie, choć różnie można trafić. Jedne odwołują wyjazdy lub pozwalają na bezkosztowe rezygnacje z wakacji w miejscach, gdzie inne biura wciąż chcą turystów wozic bez możliwości choćby zmiany terminu. Jak informują turyści, Coral Travel podał na przykład, że nie ma możliwości bezkosztowej rezygnacji czy zmian, bo zagrożenia nie ma, a jednocześnie – że „w razie ewakuacji należy stosować się do komunikatów hotelu”. Z kolei

Tui anulowało wyjazdy w piątek, 28 lipca, nawet na północ kraju, uważaną za bezpieczną.

Zwrot do 14 dni od chwili rezygnacji

Radca prawny dr Piotr Cybula mówi, że w niektórych sytuacjach związanych z pożarami w Grecji klienci, którzy nie wylecieli, powinni odzyskać całość wpłaty. Z art. 47 ust. 4 ustawy o imprezach turystycznych i powiązanych usługach turystycznych wynika, że klienci mogą zrezygnować z wyjazdu ze względu na nadzwyczajne i nieuniknione okoliczności na miejscu, jego bliskim sąsiedztwie lub w drodze, jeżeli te okoliczności mają znaczący wpływ na realizację imprezy turystycznej lub przewóz podróżnych do miejsca docelowego. Powinni wtedy otrzymać zwrot do 14 dni od chwili rezygnacji.

Cybula reprezentował już w tym roku turystów, którzy sądzili się z biurem podróży także w związku z rezygnacją z wyjazdu z powodu pożarów w Grecji w sierpniu 2021 roku. Sąd uznał, że nie musi dojść do okoliczności, które uniemożliwiają wyjazd czy korzystanie z usług turystycznych całkowicie. Wystarczy znaczne utrudnienia w realizacji.

Choć w tej sprawie biuro podróży twierdziło, że umowa mogła być wykonana, to sąd uznał, że jest jeszcze jeden ważny, bardziej ogólny aspekt: celem wyjazdu jest wypoczynek. A trudno o nim mówić, jeśli mamy obawy co do swojego bezpieczeństwa i tego, jak pożary wpłyną na wyjazd.

– Teraz w Grecji sytuacja też jest bardzo rozwojowa i trudno przewidzieć, co się wydarzy podczas wyjazdu – mówi Cybula.

Sąd powoływał się też na ówczesne zalecenia MSZ, by wstrzymać się z wyjazdami. Obecnie komunikat resortu jest skąpy: zachęca do rezygnacji z wyjazdu do miejsc, które grecki rząd uznaje za niebezpieczne. Nie wymienia, których należy unikać.

Radca zwraca też uwagę, że biura podróży ryzykują, wysyłając teraz turystów do Grecji, bo w przypadku jakiegos wypadku trudno będzie im się powołać na nadzwyczajne i nieuniknione okoliczności. – Wiedząc, jaka sytuacja jest w Grecji, może być trudno im wykazać, że pewnych rzeczy nie można było przewidzieć – uważa prawnik.

Cybula dodaje, że nawet jeśli pożary można potraktować jako nadzwyczajne i nieuniknione okoliczności, to w przypadku zakłócenia pobytu turystów mogą oni żądać obniżenia ceny.

Korfu i Palermo też płoną

Pożary wybuchają też na Korfu. Lokalne władze nakazały opuścić swoje domy mieszkańcom Kalamaki, Asraos, Syki i Imerolii. Turyści przebywający w okolicy Loutsos zostali ewakuowani do lokalnego ratusza w Acharavi.

Pożary trawia też Sycylię. Włoskie media podają, że odnotowano je w 86 miejscach. Najgorzej jest w okolicach Palermo, sytuacja pogarsza się w okolicach Trapani, Katanii i Mesyny. Z zagrożonych terenów ludzie są ewakuowani. ●



Wykształcenie dla swoich

JAKIŚ CZARNY KOSZYKARZ ZAJĄŁ NASZE MIEJSCE

Po cichutku, bez fajerwerków, krok po kroczku Sąd Najwyższy spełnia wszystkie marzenia amerykańskiej prawicy

Andrzej Lubowski

„Sąd Najwyższy sprzedał swą duszę chrześcijańskiej prawicy”. Tak magazyn „Rolling Stone” skomentował werdykt Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych zakazujący stosowania kryterium rasy w decyzjach o przyjęciu na wyższe uczelnie. Wbrew tej dramatycznej retoryce ta akurat decyzja w odróżnieniu

od wcześniejszej, eliminującej konstytucyjne prawo do aborcji, nie zmieni losów milionów ludzi. Nie wyprowadziła i nie wyprowadzi tłumów na ulice. Jest natomiast symptomem ewolucji Sądu Najwyższego.

Gdy 18 lat temu John Roberts obejmował funkcję jego prezesa, prawicy wiele się marzyło: taka interpretacja drugiej poprawki do konstytucji, która uczyni prawo do posiadania broni prawem konstytucyjnym;

obalenie Roe vs. Wade, czyli konstytucyjnego prawa do aborcji; zakaz stosowania kryterium rasy w przyjmowaniu na wyższe uczelnie; podniesienie roli religii w procesie ustawodawczym; ograniczenie uprawnień agencji rządu federalnego. Po cichutku, bez fajerwerków, krok po kroczku Sąd Najwyższy wszystkie te marzenia spełnił.

Przy okazji potężnie nadwęgrył swą reputację. Bo co innego głębokie ideologicz-

ne podziały, a co innego zachowania o znamionach politycznej korupcji. Gdy dwaj ultrakonserwatywni członkowie Sądu Najwyższego Clarence Thomas i Samuel Alito nie widzą nic zdroźnego w korzystaniu z samolotów, jachtów i luksusowych wakacji na rachunek arcybogatych konserwatywistów, trudno się dziwić, że słupki zaufania do instytucji, którą reprezentują, spadły do rekordowo niskiego poziomu.

Howard University, jedna z najlepszych „czarnych” uczelni, którą kończyła wiceprezydent Kamala Harris, plasuje się w dziewiątej setce rankingu szanghajskiego, razem z Politechniką Warszawską i Uniwersytetem Toruńskim



• Rok 1960, studenci Alabama State College rozmawiają z białym dziennikarzem. Alabama State College – obecnie Alabama State University – w 1874 r. został (wówczas jako Lincoln Normal School of Marion) pierwszą publiczną uczelnią dla czarnych słuchaczy

FOT. LIBRARY OF CONGRESS

• 20 lat temu Sandra Day O'Connor, z nominacji Ronalda Reagana pierwsza kobieta w składzie Sądu Najwyższego od początku jego istnienia, zadeklarowana konserwatystka, oddając decydujący głos za utrzymaniem akcji afirmatywnej w szkolnictwie wyższym, w swej opinii napisała: „Oczekujemy, że za 25 lat użycie preferencji rasowych nie będzie już potrzebne”. Sąd po batutą Johna Robertsa stosunkiem głosów 6 do 3 najwyraźniej uznał, że ten czas już nadszedł. Wykonał potrójne salto i zdecydował, jak mówią cynicy, że po to, aby na dobre przewyciężyć rasizm, trzeba go zignorować.

Zdaniem jednych ta decyzja cofnęła całe dekady postępu. Zdaniem innych nic się nie stało, bo skasowano program o szczytnych wprowadzanie celach, ale wątpliwej przydatności. Sąd nie popisał się specjalnie ani logiką, ani konsekwencją, a wiarygodności nie dodało mu wyłączenie z zakazu uczelni wojskowych. Te mogą stosować kryteria rasowe. Demokratyczny biały kongresman z Kolorado Jason Crow skomentował to na Twitterze tak: „Sąd twierdzi, że różnorod-

ność nie powinna mieć znaczenia, z wyjątkiem decyzji, kto może walczyć i umierać za nasz kraj”.

Prezes Roberts stwierdził, że preferencje równają się dyskryminacji – w czym tkwi jakaś logika – więc ich eliminacja przybliży nas do równości. Ale najwyraźniej świadom, że stąpa po cienkim lodzie – bez lupy widać, że rasizm w Ameryce miewa się znakomicie – zostawił uchyloną furtkę: werdykt, napisał, nie zakazuje wzmianek o rasie w aplikacjach na studia. Przyszli studenci mogą na przykład napisać w eseju, jak rasa wpłynęła na ich życie. Ale – ostrzegł uczelnie – nawet jeśli rozważają te eseje, nie mogą wykorzystywać rasy, decydując, kogo przyjąć.

Mogą natomiast akcentować osobiste osiągnięcia lub cnoty kandydata. „Na przykład – napisał – bonus dla ucznia, który przewyciężył dyskryminację rasową, musi być powiązany z odwagą i determinacją tego ucznia”. Brzmi to jak raj dla prawników, którzy za sowitą opłatą będą się sprzeczać o to, co też prezes miał zaszczyt mieć na myśli.

• Marc Tessier-Lavigne, rektor Uniwersytetu Stanforda, uczelni prywatnej, stosującej dotąd preferencje dla mniejszości rasowych, wyraził „głębokie rozczarowanie” decyzją Sądu: „Różnorodność myśli, pochodzenia, tożsamości i doświadczenia ma kluczowe znaczenie dla misji naszego uniwersytetu – tworzenia i przekazywania wiedzy z myślą o korzyściach dla naszego świata i jego mieszkańców”.

Dla pobliskiego UC Berkeley, uniwersytetu publicznego, któremu decyzją wyborców z 1996 r. zakazano stosowania preferencji rasowych, werdykt niewiele na pozór znaczy. Na pozór, bo wprawdzie uczelnia może robić to, co robiła, ale przybędzie jej zapewne aplikantów pukających do tej pory do drzwi Stanforda, które teraz trudniej będzie im sforsować. Natomiast to, co się wydarzyło w Berkeley po wprowadzeniu zakazu, może służyć za wskazówkę, jakie będą następstwa najświeższej woty. Otóż wówczas odsetek czarnoskórych i latynoskich studentów spadł w UC Berkeley o blisko połowę. Dziś Latynosi stanowią 53 proc. absolwentów szkół średnich w Kalifornii, ale wśród studentów studiów licencjackich w Berkeley ich udział wynosi 21 proc. Afroamerykanie stanowili w 2021 r. 2 proc. studentów pierwszego roku w Berkeley. Poprawił się status Azjatów, ponoć wcześniej krzywdzonych. Dziś przypada na nich ponad 42 proc. wszystkich studentów UC Berkeley – podczas gdy Azjaci to 16 proc. populacji Kalifornii.

Zakaz nie narzucony przez sąd, ale przyjęty z woli wyborców, zepchnął Berkeley, uczelnię uznawaną od dziesięcioleci za bastion politycznej poprawności – mówiono z przekąsem o People's Republic of Berkeley, Ludowej Republice Berkeley, i drwiąco, że to miasto ma własną politykę zagraniczną – na 26. miejsce w Ameryce pod względem różnorodności studentów.

• Niewiele uczelni poza elitarnymi stosuje dziś preferencje rasowe, a szkół wyższych jest tak wiele, że większość przyjmuje wszystkich chętnych. Inną sprawą jest, ilu absolwentów zdoła dobrze sprzedać swój dyplom, za który wielu ciężko zapłaciło – to powód gigantycznego zadłużenia przez pożyczki na studia. Średnio absolwent wyższej uczelni w USA opuszcza ją, taszcząc na grzbiecie dług w wysokości 33 tysięcy dolarów. W sumie 45 milionów pożyczkobiorców w Ameryce jest zadłużonych z tytułu studiów. W 92 proc. przypadków jest to dług wobec rządu federalnego. Nielatwo się go pozbyć – 20 lat od momentu rozpoczęcia studiów połowa dłużników ma wciąż 20 tysięcy dolarów do spłacenia.

Biden zamierzał umorzyć 430 miliardów tego długu na rachunek państwa, ale Sąd Najwyższy pomysł utracił. 14 lipca rząd ogłosił, że umorzy jedynie 39 miliardów. Nieprzypadkowo w ostatnim przemówieniu w Kongresie prezydent mówił o potrzebie tworze-

nia dobrze płatnych miejsc pracy, które nie wymagają dyplomu wyższej uczelni.

Ale to te elitarne uczelnie, które muszą zmienić reguły w wyniku decyzji Sądu, mają nieproporcjonalny wpływ na społeczeństwo amerykańskie. Ośmiu z dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego to absolwenci Harvardu albo Yale. Tylko Amy Coney Barrett, którą Trump rzutem na taśmę, na tydzień przed wyborami wpełznął na członka Sądu Najwyższego, wyłamuje się z tej reguły. A dwójka sędziów – lewicowa Sonia Sotomayor, Portorykanka, i konserwatywny Clarence Thomas, Afroamerykanin – przyznała, że są beneficjentami akcji afirmatywnej.

• W dziesiątce najlepszych uczelni świata według tzw. rankingu szanghajskiego Academic Ranking of World Universities (ARWU) osiem to uczelnie z USA: Harvard, Stanford, MIT, UC Berkeley, Princeton, Columbia, Caltech i University of Chicago. Pozostałe dwie to brytyjskie Cambridge i Oxford. W pierwszej dwudziestce aż 15 to uczelnie amerykańskie; pierwsza chińska plasuje się na miejscu 26., japońska na 24., niemiecka politechnika w Monachium – na miejscu 56., a pierwszy rosyjski Uniwersytet Łomonosowa – w drugiej setce. Uniwersytety Warszawski i Jagielloński łądzą w czwartej setce.

Ale dysproporcje jakości wśród kilku tysięcy amerykańskich uczelni wyższych są ogromne, zdecydowana większość mocno odstaje od czołówki – Howard University, najbardziej znana i jedna z najlepszych „czarnych” uczelni, którą kończyła wiceprezydent Kamala Harris, plasuje się w dziewiątej setce ARWU, razem z Politechniką Warszawską i Politechniką Wrocławską, warszawską Akademią Medyczną i Uniwersytetem im. Kopernika w Toruniu.

To prawda, że decyzją Sądu zabrała ważne narzędzie dywersyfikacji kampusów większości najlepszych amerykańskich uczelni. Ale jest i inna prawda – za którą trudno winić konserwatywnych sędziów.

Na elitarnych uczelniach aż roi się od preferencji, które nie mają nic wspólnego z rasą. Szczególnie wiele krwi psuje specjalne traktowanie dzieci bogatych darczyńców, ale na tym się nie kończy. Harvard preferuje ponadto sportowców, dzieci absolwentów i pracowników uczelni. Ponad 43 proc. białych przyjętych w latach 2014-19 należało do co najmniej jednej z tych kategorii. Niemal trzy czwarte z nich pocałowałyby klamkę Harvardu, gdyby pozbawiono ich przywilejów. Średnio co siódmy przyjmowany to dziecko absolwenta. Ponad 40 proc. w tej grupie pochodzi z rodzin o rocznych dochodach przekraczających pół miliona dolarów (z tej grupy dochodowej pochodzi 15 proc. wszystkich przyjętych). Czołowe uniwersytety obawiają się, że niektórzy zamożni ludzie nie wypiszą dużych czeków, jeśli nie będą mogli kupić miejsc dla swoich dzieci.

Łagodzić skutki tych preferencji można na różne sposoby. University of Texas w Austin

(37. miejsce w Academic Ranking of World Universities) od 2009 r. 75 proc. miejsc rezerwuje dla uczniów z najlepszymi wynikami w stanowych szkołach średnich: bogatych i biednych; wiejskich, miejskich i podmiejskich. Ta polityka bardzo zróżnicowała społeczność studentów – 65 proc. to niebiałi, a niemal jedna czwarta przyjętych to pierwsi w swej rodzinie, którzy trafili na wyższe studia.

Wprawdzie dekady akcji afirmatywnej zwiększyły różnorodność rasową na niektórych z najbardziej pożądanym kampusów, lecz nie ma dowodów, że wyrównało to szanse awansu w Stanach Zjednoczonych. Różnice majątkowe między białymi a wieloma mniejszościami okazały się trwale. Raport McKinsey & Co. z 2021 r. pokazał, że zważywszy na trendy, osiągnięcie paritetu na wszystkich szczeblach sektora prywatnego zajęłoby Afroamerykanom około 95 lat. Innymi słowy, choć otworzyły się nieco drzwi, to role przywódcze w zarządach korporacji, firm prawniczych czy świata medycyny, czyli tam, gdzie pieniądze są największe, pozostają poza ich zasięgiem.

Nowe zasady gry tę perspektywę jeszcze oddalają. A same korporacje nie wydają się zachwycone decyzją Sądu. Obawiają się, że zmniejszy to różnorodność rasową wśród dobrze wykształconych kandydatów na stanowiska kierownicze. Przytaczają badania dowodzące, że zróżnicowane zespoły są bardziej kreatywne i podejmują lepsze decyzje niż zespoły jednorodne.

Jak każda chybła preferencja, tak i ta stosowana przy przyjęciach na uczelnie z jednej strony wywołuje gorczy u pominiętych, nieuprzywilejowanych rasowo, z drugiej strony deprecjonuje sukces przyjętych, rasowo uprzywilejowanych. Bo smak sukcesu przyćmiewa wątpliwość, czy i na ile dopomógł kolor skóry.

Sadie, córka bliskich przyjaciół, od małego imponowała talentami i pracowitością. W solidnej szkole zbierała najwyższe noty. Kapitan ekipy pływackiej, na stokach w Squaw Valley nie dawała szans chłopcom w slalomie gigancie. Poza angielskim biegle władała hiszpańskim, nieźle japońskim, a w liceum rodzice wysłali ją na rok do szkoły we włoskim Bergamo. Nie знаła słowa po włosku, gdy się tam zjawiała. Po roku jako prymuska wygłaszała mowę pożegnalną w imieniu klasy. Przez lata pomagała hodować psy dla osób niepełnosprawnych w gminie Sonoma w Północnej Kalifornii.

Dziadkowie i mama pochodzili z Palo Alto, siedziby Uniwersytetu Stanforda. I tam Sadie bardzo chciała studiować. Listy rekomendacyjne napisało kilku zaprzyjaźnionych profesorów ze Stanforda oraz prezes wielkiej firmy z Doliny Krzemowej, który znał ją od dzieciństwa. Wydawało się, że przyjęcie ma jak w banku. Ale tak się nie stało.

Rozpacz trwała krótko, Sadie wylądowała w prestiżowym Wellesley College, w Massachusetts, który kończyły Hillary Clinton i Madeleine Albright, ale pozostała zagadką: dlaczego Stanford jej nie przyjął? Czy zbyt chwaliła się w aplikacji sukcesami i ktoś z komisji rekrutacyjnej doszedł do wniosku, że miała w życiu zawsze z górki? Czy zaszkodził jej biały kolor skóry?

Dziewczynnie nie stała się krzywda, po studiach dostała kilka ofert z Doliny Krzemowej, a niewykluczone, że jej miejsce za sprawą akcji afirmatywnej zajął czarnoskóry lub Latynos, może równie uzdolniony, a może kapkę mniej. Podobnych przypadków w staraniach o elitarne uczelnie jest немало i wielu wiwatujących z powodu werdyktu Sądu Najwyższego spośród nich się rekrutuje. „Zamiast naszego Roberta przyjęli kolorowego. Pewnie jest dobrym koszykarzem”. Może tak właśnie było, a może zupełnie inaczej. Może przyjęto kogoś z odrobiną gorszymi ocenami, któremu w życiu było dużo trudniej i który rokuje równie dobrze co Sadie czy Robert.

Zwolennicy i przeciwnicy akcji afirmatywnej zgadzają się, że system rekru-

cji powinien nagradzać talent, ciężką pracę i osiągnięcia. Ale jak je mierzyć? I czy to wystarcza, jeśli uczelnia chce kształcić przyszłych liderów? Jak mierzyć wytrwałość czy zdolność jednostki do pokonywania złożonych wyzwań?

Żadna z uczelni Ivy League, słynnej Ligi Bluszczowej, nie pyta, czy aplikanta stać na czesne. Jeśli jesteś wystarczająco dobry, znajdziemy dla ciebie pieniądze. Co nie zmienia faktu, że od stanu majątkowego rodziców zależy, czy kandydata było stać na zajęcia pozalekcyjne, czy mógł rozwijać talenty, czy wiedział, jak aplikować. Czarnoskórzy i latynoscscy studenci znacznie rzadziej mają rodzica z dyplomem uniwersyteckim, który pomoże nawigować na pełnym niuansów boisku rekrutacji.

Kiedyś to rasa była głównym wyznacznikiem sukcesu akademickiego – dwa razy ważniejszym niż status materialny. Dziś jest na odwrót: znacznie ważniejszy niż kolor skóry jest status ekonomiczny aplikanta. Czasem się to pokrywa – czarny lub Latynos znaczy biedak, ale nie zawsze. Biali może być jeszcze biedniejszy. Bo dramatycznie wzrosły nierówności majątkowe w Ameryce. Sześćdziesiąt lat temu, gdy

czarnych stanowi zaledwie jedną ósmą mediany majątku gospodarstw domowych białych. A z powodu dyskryminacji rasowej na rynku mieszkaniowym czarnoskóre rodziny o średnich dochodach zazwyczaj mieszkają w mniej uprzywilejowanych dzielnicach niż białe rodziny o niskich dochodach.

Aby zrozumieć mechanizmy nierówności majątkowych, nie trzeba sięgać do obietnicy 40 akrów i muła dla byłych niewolników z czasów wojny secesyjnej. GI Bill był gigantycznym zastrzykiem środków na kształcenie powracających weteranów II wojny światowej. Dla milionów białych Amerykanów stał się przepustką do dobrych uczelni i trampoliną do dostatniego życia. Objął ośmiu na dziesięciu białych mężczyzn urodzonych w latach 20. XX wieku. Okazał się skutecznym narzędziem budowy białej klasy średniej. Do 1950 r. wydatki federalne z GI Bill na szkolnictwo wyższe swoją skalą przewyższyły wydatki planu Marshalla, który postawił na nogi Europę Zachodnią.

Ale chociaż język ustawy GI nie wykluczał wprost z grona beneficjentów afroamerykańskich weteranów, to został tak skonstruowany, że w praktyce zatrzasnął drzwi milionowi dwustu tysiącom czarnych weteranów II wojny. Wrócili do zaniedbanych dzielnic i wszechobecnej dyskryminacji. W rezultacie GI Bill

i różnorodnych zespołów, bo te podejmują lepsze decyzje. A więc chcąc kształcić „liderów jutra”, najlepsze uniwersytety zabiegają o wszelką różnorodność.

I tak pewno jest. A że idzie im po grzędzie, wynika z faktu, że chodzą na skróty, najłatwiejszymi ścieżkami. Wiele z nich poprawiło statystyki różnorodności tanim kosztem, przyjmując studentów z mniejszości, którzy mogą zapłacić pełny fracht. Innymi słowy, przyjmowały zamożnych przedstawicieli mniejszości, z wykształconych gospodarstw domowych, które nie potrzebują pomocy – a nie dzieci z ubogich rodzin, które jej potrzebują. Kochają mniejszości bogate i zdolne.

Jeśli naprawdę zależy im, aby wzbogacić rurociąg talentów, powinny prowadzić sieć akademii otwartych dla obiecujących uczniów w biednych miastach i dzielnicach. Aby podjąć się takiego projektu, elitarne instytucje musiałyby uwierzyć, że je na to stać i że w kiepskich szkołach średnich jest „uwięzionych” wystarczająco dużo uczniów kalibru Ligi Bluszczowej.

Akcja afirmatywna obowiązywała od niemal pół wieku, więc byłoby dziwne, gdyby nikomu nie przyniosła korzyści. Lecz omijała szerokim łukiem istotę problemu: tego, że miliony uczniów są uwięzione w upada-

Ultrakonserwatywni sędziowie Clarence Thomas i Samuel Alito nie widzą nic zdrożnego w korzystaniu z samolotów, jachtów i luksusowych wakacji na rachunek arcybogatyh konserwatystów

Martin Luther King apelował o harmonię rasową i równość szans, różnica w osiągnięciach akademickich między białymi a czarnymi studentami była około dwóch razy większa niż różnica w osiągnięciach między bogatymi a biednymi. Od tego czasu rozpiętości dochodowe wzrosły tak dramatycznie, że to one, bardziej niż rasa, decydują o szansach i ścieżkach sukcesu.

Programy rekrutacji na studia w większości ignorowały i tę nową rzeczywistość. Harvard i University of North Carolina, dwie uczelnie, których praktyki rekrutacyjne zaskarżono do Sądu Najwyższego, miały 15 razy więcej bogatych niż biednych studentów na kampusie.

Sceptycy twierdzą, że spojrzenie na klasę pomoże głównie białym uczniom, ponieważ w 2021 r. aż 43 proc. wszystkich biednych Amerykanów stanowili biali (20 proc. biednych to czarnoskórzy, 28 proc. Latynosi, a 5 proc. to Azjaci).

Ale dla możliwości edukacyjnych często większe znaczenie niż aktualny dochód w rodzinie ma miejsce zamieszkania. Szanse dostania się na uczelnię zależą od tego, czy uczysz się w dobrej, czy kiepskiej szkole, a to zależy często od tego, w jakiej mieszkasz dzielnicy. Zapyziała dzielnica – zapyziały szkoły. Decyzję o tym, gdzie kupić dom, rodzice zwykle uzależniają od jakości szkół w okolicy. Pod warunkiem, że ich na to stać – mają wystarczająco dużo pieniędzy na wkład własny, a potem na obsługę pożyczki hipotecznej.

Czarni i latynoscscy studenci z rodzin o średnich dochodach zazwyczaj napotykają większe przeszkody niż biali studenci o takich samych dochodach. Bo choć mogą mieć podobne zarobki, to zwykle mają mniejszy majątek. Z powodu niewolnictwa, a potem lat segregacji i dyskryminacji przeciętna majątku gospodarstw domowych

pogłębił różnice w poziomie edukacji, zamożności i faktycznych prawach obywatelskich między białymi a czarnymi Amerykanami.

Sądy od dawna traktują różnicowanie ludzi ze względu na status ekonomiczny z dużym większym zrozumieniem niż różnicowanie ze względu na rasę. Mało prawdopodobne, aby konserwatyści, którzy nie mogą się poszczycić bogatą historią wspierania upośledzonych, staną w awangardzie batalii na rzecz klasowej akcji afirmatywnej. Ale niewykluczone, że przynajmniej nie staną okoniem.

Choćby dlatego, że potrafią nieźle węszyć, skąd wieje wiatr. Opinia publiczna, sceptycznie nastawiona do preferencji rasowych (w ankietach na temat akcji afirmatywnej czarnoskórzy Amerykanie częściej niż biali postrzegali ją pozytywnie, ale na pytanie, czy programy zwiększenia różnorodności rasowej i etnicznej – a nie konkretnie preferencji w dostępie do uczelni – pomogły im czy nie, tylko 20 proc. czarnoskórych Amerykanów stwierdziło, że im pomogły, a 35 proc., że zaszkodziły, zaś w niedawnym sondażu telewizji CBS 53 proc. Amerykanów chce, aby programy akcji afirmatywnej były kontynuowane, ale 70 proc. stwierdza, że uczelnie nie powinny mieć możliwości uwzględniania rasy), popiera preferencje klasowe w stosunku 61 do 39 proc. Dlatego republikańscy gubernatorzy Teksasu i Florydy wsparli nowe rodzaje klasowego podejścia do akcji afirmatywnej po tym, jak w latach 90. zaprzestano stosowania preferencji rasowych.

Cynicy powiedzą, że elitarne uczelnie zawsze były bastionami bogactwa i nigdy się nie zmieniają. W odpowiedzi usłyszą, że to zarzut niesłuszny. Większość uczelni elitarnych nie przestaje mówić o tym, że skoro społeczeństwo jest zróżnicowane, to jego sukces wymaga różnorodnych przywódców

jących szkołach publicznych, które nie przygotowują ich do college'u, a tym bardziej do życia. Biedni czarni i latynoscscy rodzice nie mogą wyrwać dzieci z żalostnych upadających szkół i wysłać ich do dobrych szkół. Ale w podobnej sytuacji niemocy są biedni biali rodzice. Danie rodzicom prawa wyboru szkoły może być bardziej skutecznym narzędziem walki o równość praw obywatelskich.

Za główne prerogatywy prezydenta konstytucja uznaje zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi, prawo wymagania opinii na piśmie od szefów resortów oraz prawo łaski. A w praktyce od dostępu do nuklearnego guzika ważniejsze – i częściej stosowane – jest nominowanie kandydatów na dożywotnią funkcję sędziego Sądu Najwyższego. Ich werdykt przetrwać mogą całe pokolenia.

Można się spierać do świtu o to, jak bardzo Ameryka skrzyła na prawo, ale Sąd Najwyższy na pewno skrzył. Trump nie tylko podzielił Amerykę jak nikt inny wcześniej, ale instalując trzech ultrakonserwatywnych sędziów, zostawił po sobie w spadku na długie lata bardzo ultrakonserwatywny Sąd Najwyższy.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że prawica ma długofalowy plan i konsekwentnie go realizuje. Zaś lewica przypomina „Podróż Guliwera”, gdzie dwa kraje wypowiadają sobie wojnę z powodu sporu, czy gotowane jajko należy jeść od małego, czy dużego końca, gdy w tym czasie ktoś trzeci kradnie kurę. Miota się, szasta szczytnymi ideami, klóci między sobą, kto jest bardziej postępowy – i coraz mniej jest w stanie wcielić te idee w życie. ●

Książki Andrzeja Lubowskiego „Alfabet amerykański” i „Zbig: człowiek, który podmiłował Krem!” dostępne na [Kulturalnyksklep.pl](https://www.kulturalnyksklep.pl) i w formie e-booków na [Publio.pl](https://www.publio.pl).

A ile razy wy byliście na granicy?

Wiem, że ja, ateuszka, jestem na to za słaba. Nie wiem, czy to również przypadek kardynała Rysia

Magdalena Czyż

Gdy w poprzednim felietonie pochwaliłam świeżo upieczonego kardynała Grzegorza Rysia, jeden(-na) z czytelników(-czek) zapytał(a) mnie we wpisie pod tekstem:

„Czy przedstawiciel »kościola otwartego« ujął się za palowanymi kobietami? Ile razy był na białoruskiej czy choćby ukraińskiej granicy? Czy – kiedy politycy partii władzy obrażali słowami i zachowaniem nie tylko społeczeństwo, ale i kościół, zaprotestował choć raz? Jest Pani pewna, że zasługuje na pochwałę?”

Zachowując pisownię oryginalną – Kościół jako instytucja zapisany małą literą – pomijam fakt, że pochwała dotyczyła książki, a nie całokształtu działań kardynała. Jednak pytanie uznałam za skądinąd słuszne. I odwróciłam je, również ku sobie: A ile razy ja, przedstawicielka ateuszy, byłam na białoruskiej czy ukraińskiej granicy? Odpowiedź: zero. Czy ja, przedstawicielka ateuszy, ujęłam się za palowanymi kobietami? Odpowiedź: publicznie ani razu.

Czy kiedy politycy partii władzy obrażali swoimi słowami społeczeństwo i Kościół, zaprotestowałam choć raz? Po poprzednich odpowiedziach można się domyślić, że i ta będzie negatywna.

Jedno, co robię, to przy nadwyżce na koncie dokonuję przelewu na Grupę Granica. Nie ze



• Zapora na granicy polsko-białoruskiej w Białowieży. Przedstawiciele RPO Agnieszka Szmajdzińska i Maciej Grześkowiak rozmawiają z uchodźcami

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

szlachetności, nie oszukujemy się, z chęcią zagłuszenia tym sposobem wyrzutów sumienia, że nic nie robię, i tego kur...skiego poczucia bezradności. Bo wiem, że nawet jak wsiądę w auto i tam pojedę z zapasem batonów proteinowych, podpasek, pieluch i czego tam jeszcze, to gdy zobaczę w lesie dzieci, które będą musiały w tym lesie zostawić, pęknie mi serce.

Wiem, że jestem na to za słaba.

Nie wiem, czy to również przypadek kardynała Rysia. Praktycznie go nie znam, więc osądzać go nie będę. Wiem, że tego rodzaju pochopne osądy świadczą bardziej o sędziach niż podsądnych.

O Rysiu dużo i z dużą wolą zrozumienia i empatii napisał Michał Okoński w „Tygodniku

Powszechnym” z 23 lipca. (Dobrze by było, gdyby inne polskie autorytety traktował z podobną wolą).

Pomiędzy wieloma bardzo ciekawymi informacjami o kardynale napisał tak: „Znając ciemne karty historii Kościoła – nie tylko tej najnowszej, nie sposób się oczywiście dziwić podejrzliwości, z jaką traktowany dziś bywa język religijny. Trudno też nie zauważyć, jak zmienia się w nowomowę. A jednak dla Rysia nie jest to nowomowa, tylko właściwy wierzącym sposób myślenia, który sam opisywał na przykładzie kard. Franciszka Macharskiego. Macharski opowiedział Rysiowi o swojej pierwszej reakcji na stan wojenny. Był to list do Jana Pawła II z prośbą o pomoc, którą miałyby być... kanoni-

zacja ojca Kolbego i beatyfikacja brata Alberta”.

Odklejony? „Kardynałowi chodziło o jasny znak; o pokazanie ludzi, którzy zachowali swe człowieczeństwo w zderzeniu z przemocą i niesprawiedliwością, nie ulegając pokusie zemsty i agresji. Komunizm musiał przegrać, ale istotne pytanie brzmiało: kim będą ludzie, którzy go przeżyją?”

Sam Ryś w tym tekście dzieli się wspomnieniem, które w moim odczuciu jest kwintesencją jego postawy i życiowego wyboru.

„W liceum skończył klasę matematyczno-fizyczną, świetnie rysował i zapowiadało się, że pójdzie na architekturę, ale 13 maja 1982 r. ojciec zabronił mu pójścia na manifestację: za-

brał jedynie brata, który oberwał milicyjną pałą. »Zacząłem szukać takiego środka zaradczego, który nie będzie polegał tylko na wychodzeniu na ulicę« – wspomina.

Chcę za pomocą tych cytatów zwrócić uwagę ludzi niewierzących, że istnieje język, którego my nie rozumiemy, który jest zrozumiały tylko dla wierzących. To trochę jak z językiem czeskim. Polakom wydaje się śmieszny, głupkowaty, naiwny. Do tego pełen pułapek, w które Polacy wpadają, gdy już wydaje im się, że coś rozumieją.

Jednak problem w rozumieniu czeskiego nie zwalnia człowieka kulturalnego z szacunku do Czechów i podejmowania prób ich rozumienia. ●

OGŁOSZENIA



POZWÓL PSU POWIEDZIEĆ, CO MYŚLI

Fascynująca historia pierwszego na świecie gadającego psa, pełna praktycznych wskazówek i technik opracowanych przez doświadczoną terapeutkę zaburzeń mowy i logopedkę, Christinę Hunger

Ta książka to nie tylko poradnik nowatorskich metod komunikacji człowieka z psem. Historia Stelli pokazuje, jak głębokie potrafi być życie wewnętrzne zwierząt i jak wiele możemy się o jeszcze dowiedzieć. Kapitalna lektura!

RADOSŁAW EKWIŃSKI
instruktor szkolenia psów, behawiorysta

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA  KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  publio.pl

 Wydawnictwo
Agora

NASZA EUROPA

„The New York Times”:

GOLFSZTROM
GAŚNIE

• Luty 2023, orkan Otto uderza w duńską Jutlandię. Na pewien czas zamknięto słynny most nad Sundem, zawieszono rejsy promowe na Bałtyku

FOT. HENNING BAGGER/AP

System prądów oceanicznych, który reguluje klimat w dużej części planety, może się załamać wcześniej, niż oczekiwano. Przekroczenie punktu krytycznego – jeszcze w tym stuleciu. Co to oznacza?

Raymond Zhong

ostatnim razem, gdy doszło do poważnego spowolnienia prądów oceanicznych, które kształtują klimat wokół północnego Atlantyku, pogrążyło to Europę w głębokim zimnie na ponad tysiąclecie. Było to ok. 12 800 lat temu, a więc na kontynencie było niewielu ludzi, którzy mogli tego doświadczyć.

Jednak przyspieszające w ostatnich dekadach globalne ocieplenie powoduje ponowne spowalnianie prądów, a naukowcy pracują nad ustaleniem, czy i kiedy mogą one ulec kolejnemu tak znacznemu osłabieniu, że miałyby to wpływ na mechanizmy pogodowe na całym świecie.

Dwoje badaczy z Danii przedstawiło w tym tygodniu śmiałą i alarmującą tezę: gwałtowne osłabienie prądów atlantycznych, a nawet ich zatrzymanie, może nastąpić przed końcem stulecia.

Susanne Ditlevsen, profesor statystyki na Uniwersytecie Kopenhaskim, przyznaje, że nawet dla niej było zaskoczeniem, gdy podczas analizy wyników zbieranych pomiarów okazało się, że potencjalne za-

łamanie jest tuż-tuż. Naukowcy zajmujący się klimatem ogólnie zgadzają się, że cyrkulacja atlantycka zmniejszy się w tym stuleciu, ale nie ma zgody co do tego, czy ustanie przed 2100 rokiem.

Według dr Ditlevsen zebrane przez jej zespół dane są wystarczającym powodem, aby nie traktować wygaszania prądów atlantycznych jako abstrakcyjnego, odległego zmartwienia. „To dzieje się już, teraz” – powiedziała.

Te badania, opublikowane dwa tygodnie temu w czasopiśmie „Nature Communications”, trzeba dopisać do długiej i szybko rosnącej liczby prac naukowych, które opisują, w jaki sposób ciągle emisje gazów cieplarnianych przez ludzkość mogą wywołać

Hali Kilbourne, profesor w University of Maryland Center for Environmental Science: Jest bardzo prawdopodobne, że już spadliśmy z klifu, lecimy w dół i nawet o tym nie wiemy

kolejne klimatyczne punkty krytyczne lub trudne do odwrócenia zmiany w środowisku. Gwałtowne tajanie arktycznej wiecznej zmarzliny. Wylesianie Amazonii. Cofanie się pokrywy lodowej Grenlandii i Antarktydy Zachodniej. Naukowcy ostrzegają, że gdy świat ogrzeje się powyżej pewnego punktu, te i inne procesy mogą radykalnie przyspieszyć, choć dokładne prognozy, poza którymi to nastąpi, są nadal wysoce niepewne.

Na Atlantyku naukowcy poszukiwali sygnałów zbliżającego się punktu krytycznego w płątaniu prądów oceanicznych, która nosi nazwę Atlantic Meridional Overturning Circulation (AMOC). Ten złożony system oceanicznej cyrkulacji przenosi ciepło wody z tropików dzięki Prądowi Zatokowemu (Golfstromowi), który mija południowo-wschodnie Stany Zjednoczone, a następnie kieruje się w stronę Europy Północnej. Kiedy woda ta uwalnia ciepło do powietrza w trakcie swojej „podróży” na północ, staje się gęstsza, a w efekcie opada w dół – i zwraca ponownie w kierunku równika. Ten proces pozwala prądom dystrybuować ogromne ilości ciepła wokół planety, co ma kolosalny wpływ na klimat, nie tylko u wybrzeży Atlantyku.

Jednak ogrzewanie atmosfery przez ludzi powoduje m.in. szybkie topnienie po-

krywy lodowej Grenlandii, co dodaje duże ilości słodkiej wody do północnego Atlantyku, co z kolei może zakłócać zmiany temperatury i zasolenia – a balans między tymi wartościami podtrzymuje cyrkulację AMOC. Część Atlantyku na południe od Grenlandii wyraźnie ochłodziła się w ostatnich latach, tworząc „zimną płamę”, którą niektórzy naukowcy uważają za kolejny dowód na gaśnięcie cyrkulacji.

Gdyby cyrkulacja nawet nie ustąpiła, ale tylko uległa znacznemu osłabieniu, skutki dla klimatu byłyby dalekosiężne, choć naukowcy wciąż badają ich potencjalną skalę. Znaczna część półkuli północnej mogłaby się ochłodzić. Wybrzeża Ameryki Północnej i Europy mogłyby doświadczyć szybszego wzrostu poziomu morza. Europa Północna – bardziej burzowych zim, podczas gdy ilość opadów na Sahelu i w regionach monsunowych Azji najprawdopodobniej spadnie.

Analizy rdzeni lodowych i osadowych wskazują, że cyrkulacja atlantycka uległa już nagłym zatrzymaniom w dalekiej przeszłości. To jednak nie powinno być dla nas pocieszeniem.

Najbardziej zaawansowane modele komputerowe zmian globalnego klimatu przynoszą szeroki zakres prognoz dotyczących zachowania prądów w nadchodzą-

NASZA EUROPA

Górnictwo głębinowe

Zaczyna się nowa gorączka złota

nych dekadach, częściowo dlatego, że czynniki, które je kształtują, są tak bardzo złożone.

Nowa analiza dr Ditlevsen koncentrowała się na badaniu temperatury powierzchni morza. Przeprowadziła ją wraz z Peterem Ditlevsenem, swoim bratem, który jest klimatologiem w Instytucie Nielsa Bohra Uniwersytetu Kopenhaskiego. Wykorzystali oni dane z lat 1870–2020 do obliczenia wskaźników statystycznych, które zapowiadają zmiany. „Obserwowany wzrost tych wskaźników – mówi Peter Ditlevsen – sugeruje, że zbliżamy się do punktu krytycznego”. Twierdzi tak, ponieważ użył matematycznego opisu systemu podobnego do punktu krytycznego do ekstrapolacji obecnych trendów. Wniosek: cyrkulacja atlantycka załame się najprawdopodobniej około połowy wieku, choć potencjalne widełki czasowe są szerokie: od 2025 do 2095 roku.

Analiza nie zawiera żadnych konkretnych założeń dotyczących wzrostu emisji gazów cieplarnianych w tym stuleciu. Założono jedynie minimalistycznie, że procesy powodujące już załamywanie się AMOC będą kontynuowane w niezmiennym tempie – a stężenie dwutlenku węgla w atmosferze zasadniczo będzie nadal rosło w takim tempie, jak miało to miejsce od czasu rewolucji przemysłowej.

Tezy Ditlevsenów zwróciły uwagę wielu naukowców zajmujących się badaniem zmian klimatu. Susan Lozier, oceanografka z Georgia Tech, uważa jednak, że temperatury powierzchni morza na północnym Atlantyku w pobliżu Grenlandii niekoniecznie zmieniają się pod wpływem zmian w samym Gólsztronie – wskazała na opublikowane w zeszłym roku badanie pokazujące, że za rozwój „zimnej plamy” odpowiadają zmiany układów wiatrowych i ruchów atmosfery.

Lozier prowadzi pomiary temperatury Atlantyku poprzez sieć czujników na powierzchni i pod wodą. Celem jest lepsze zrozumienie tego, co napędza zmiany zachodzące na średnich głębokościach. Jednak projekty pomiarowe, w których bierze udział Lozier, rozpoczęły gromadzenie danych dopiero w 2004 r. – trwają za krótko, by móc wyciągać pewne długoterminowe wnioski. „Niezwykle trudno jest spojrzeć na kilkanaście lat złożonych zmian w oceanie i na tej podstawie przewidzieć, co się z nim stanie w ciągu 30, 40 lub 50 lat” – powiedziała dr Lozier.

Levke Caesar, fizyczka badająca zjawiska oceaniczne na Uniwersytecie w Bremie w Niemczech, wskazuje z kolei na inną potencjalną słabość analizy Duńczyków: historyczne zapisy temperatur, pochodzące z przełomu XIX i XX wieku, mogą nie być wystarczająco wiarygodne, aby dało się je wykorzystać do dokładnej analizy statystycznej bez starannych korekt.

Mimo to nowe badanie jest uważane za alarm. „Musimy intensywniej gromadzić dane na temat zmieniających się prądów oceanicznych – uważa dr Caesar. – Coś ważnego się dzieje w Atlantyku i jest to niezwykle. Coś, co nie wydarzyłoby się, gdyby nie my, ludzie”.

„Niepewność naukowców co do terminu załamania się AMOC nie powinna być traktowana jako wymówka dla braku ograniczenia emisji gazów cieplarnianych w celu jej uniknięcia – przypomina Hali Kilbourne, profesor w University of Maryland Center for Environmental Science. – Jest bowiem bardzo prawdopodobne, że już spadliśmy z klifu, lecimy w dół i nawet o tym nie wiemy. Szczerze mówiąc, obawiam się, że zanim dostarczymy absolutnie pewne prognozy, będzie już za późno na jakiegokolwiek działanie. Już teraz mamy ograniczone opcje”.

Czy ceną za wyprodukowanie baterii niezbędnych do przejścia na zieloną energię będzie destrukcja dna oceanicznego?

Robert Stefanicki

Stosunek do górnictwa głębinowego dzieli świat w poprzek regionów, sojuszy i poziomu zażywania. Nawet w Oceanii jedne kraje widzą w nim szansę ekonomiczną, inne upatrują egzystencjalnego zagrożenia.

Temat stał się nadzwyczaj aktualny, bo jesteśmy w potencjalnym momencie przełomowym. I nie chodzi o przemysł technologiczny – techniki eksploracji dna morskiego już istnieją i z pewnością zostaną udoskonalone, gdy wydobycie nabierze tempa i skali. A to może się zacząć już w przyszłym roku, bo państwa mające chrapkę na dziewicze zasoby oceanów nie chcą dłużej czekać.

Niemożliwy kodeks

W 1982 r., po 25 latach negocjacji, ONZ uchwaliła konwencję Narodów Zjednoczonych o prawie morza. Wyznaczono pas dna morskiego będący wyłączną strefą ekonomiczną państw, natomiast pozostałe głębiny miały być „wspólnym dziedzictwem ludzkości”. Co oznaczało, że koryzcy z eksploatacji odkrytych tam minerałów powinny być sprawiedliwie dzielone między wszystkie kraje świata.

Powołana w 1994 r. Międzynarodowa Organizacja Dna Morskiego (MODM) miała uchwalić kodeks z zasadami opodatkowania działalności górniczej w oceanach i wieloma regulami mającymi ograniczyć szkody ekologiczne. Okazało się to niemożliwe, ponieważ ustalono, że decyzje muszą być podejmowane w drodze konsensusu krajów członkowskich, a MODM liczy ich 167 plus Unia Europejska. Każdy pilnuje własnego interesu. Przykładem propozycji stawki podatkowej, wahające się od 2 proc. (Chiny) do 45 proc. (RPA).

W 2021 r. pacyficzne Nauru, współpracujące z kanadyjską firmą wydobywczą TMC, uruchomiło klauzulę, która mówi, że jeśli kraj ubiega się o rozpoczęcie wydobycia głębinowego, MODM ma dwa lata na stworzenie mechanizmu, który to umożliwi. Jeśli tego nie zrobi, będzie to oznaczało carte blanche dla wnioskodawców.

Termin minął 9 lipca. Państwa i firmy mogą teraz zacząć ubiegać się o tymczasowe licencje wydobywcze. Dotąd MODM

wydawała tylko koncesje na poszukiwania. Na Jamajce, gdzie organizacja ma siedzibę, trwa kolejna runda rozmów w sprawie kodeksu, trudno jednak oczekiwać, że nagle uda się to, co nie udało się przez poprzednie trzy dekady.

Wyścig po miliardy ton

Stawka jest ogromna. Szacuje się, że na dnie morskim spoczywają miliardy ton koncentracji polimetalicznych. Tworzące się przez miliony lat okrągłe guzki wielkości ziemniaka są bogate w kobalt, miedź, nikiel, mangan.

Ludzie potrzebują coraz więcej tych minerałów do produkcji elektroniki i w procesie przechodzenia na mniej trujące źródła energii. Nikiel jest niezbędny w bateriach używanych m.in. w autach elektrycznych. Międzynarodowa Agencja Energii szacuje, że jeśli świat ma osiągnąć swoje cele klimatyczne, to do 2040 r. trzeba będzie wydobyć go 80 mln ton – więcej, niż w ogóle dotąd wydobyto, i prawie tyle, ile liczą znane rezerwy na lądzie (około 100 mln ton).

Zwolennicy twierdzą, że górnictwo głębinowe jest koniecz-

ne w konkretnych jest znikoma. W głębinach jest znacznie mniej biomasy niż na porównywalnym obszarze lądów.

Tygodnik „Economist” przytacza przykład Indonezji, która dominuje w podaży niklu i posiada jedną piątą wszystkich rezerw. Gdyby je wydobyć, zniszczeniu uległoby co najmniej 10 mln ton żywych organizmów, w porównaniu z 270 tys. ton biomasy, głównie mikrobiologicznej, gdyby chcieć wydobyć tyle samo niklu z głębin. Związane z tym emisje byłyby również dziesięciokrotnie wyższe.

Polskie działki na Pacyfiku

Obie strony mają na poparcie swoich tez głosy utytułowanych naukowców i dane z badań. Co tylko pokazuje, że wkraczamy na nieznaną tereny. Badania głębin są długotrwałe, trudne i kosztowne, więc jest ich mało i są wyrwykowe. Należałoby się wstrzymać się z wydobyciem do czasu, gdy będziemy mieli większą wiedzę. Tylko że zebranie takiej wiedzy może potrwać nawet kilkadziesiąt lat.

Przeciwnicy, z ekologami

O głębiach wiemy mniej niż o kosmosie. Ale wydobywanie minerałów z dna morskiego może być szansą dla innych ekosystemów

ne do odejścia od paliw kopalnych, a jednocześnie wspomóc rozwój gospodarczy. Pobieranie minerałów z dna – przełączają – jest korzystniejsze dla środowiska naturalnego niż otwieranie kolejnych kopalni na powierzchni.

Przeciwnicy też mają mocne argumenty. Przede wszystkim ten, że eksploatacja głębin zniszczy najsłabiej poznane ekosystemy. Dotychczas udało się sporządzić mapy dopiero jednej piątej powierzchni den oceanicznych, nie mówiąc o ich zbadaniu. O głębiach wiemy mniej niż o kosmosie. A żyje tam wiele unikalnych gatunków stworzeń.

Przeciwnicy alarmują, że podwodne koparki wruszą chmury osadów, które wypłoszą faunę z siedlisk, co uderzy po kieszeni rybaków. Dalej: węgiel uwięziony w konkretnych przedostanie się do atmosfery, powodując dalsze ocieplenie.

Zwolennicy zbijają te argumenty. Wzburzenie osadów jest zmianą przejściową – mówią – w przeciwieństwie do szkód wyrządzanych przez kopalnictwo lądowe. Badania pokazują, że ilość węgla zmagazynowa-

na czele, proponują ograniczenie konsumpcji – co zasadniczo jest słuszne, ale trudne do zrealizowania w skali świata. Jako drugą receptę proponują skuteczniejszy recykling elektroniki, zapominając, że ten w biednych krajach jest prowadzony równie rabunkowo i ze szkodą dla środowiska, jak wydobycie.

Przeciwnicy zloszczą się też na korporacje, będące „na drodze do bonanzu, do której nie mają uzasadnionych praw, podczas gdy reszta ludzkości nic nie uzyska” („Guardian”). To poniekąd prawda: na razie na górnictwie głębinowym najwięcej zyskała notowana na giełdzie spółka TMC, której kapitalizacja od początku czerwca wzrosła trzykrotnie, jeszcze przed rozpoczęciem prac. Ale tak było zawsze: nieliczni innowatorzy z doświadczeniami do decydentów pchają świat do przodu i na tym zarabiają. Koszty są dzielone bardziej równomiernie, ale nie zapominajmy, że zyski także: postęp technologiczny to nie tylko zatrute środowisko, ale też lżejsze i przyjemniejsze życie mas.

MODM sprzyja zwolennikom eksploatacji głębin; jej

szef Michael Lodge uważa propozycję moratorium na wydobycie za „antynaukę”. Kierowana przez niego organizacja przyznała już 31 koncesji poszukiwawczych 21 kontrahentom, w tym Chinom, Indiom, Korei Południowej, firmom wspieranym przez cztery państwa wyspiarskie Pacyfiku. Również Polsce – mamy przydzieloną surowcową działkę o powierzchni 75 km kw. w strefie Clarion-Clipperton, najlepiej poznanej części Pacyfiku i przeznaczonej do eksploatacji w pierwszej kolejności, oraz drugą w obszarze ryftu śródatlantyckiego.

W stosunku poszczególnych rządów do problemu trudno się dopatrzeć jakiegoś klucza. W Oceanii wydobywać chcą Nauru, Tonga, Kiribati i Wyspy Cooka, a pozostałe kraje domagają się moratorium. Wśród państw rozwiniętych przeciwnie wydobyciu są Francja, Niemcy, Chile, Hiszpania, Nowa Zelandia. Natomiast Wielka Brytania, Chiny, Indie i Japonia chcą jak najszybciej rozpocząć wydobycie. Rosja też, ale jest teraz zajęta Ukrainą. Norwegia jako pierwsza ogłosiła plany otwarcia swoich wód przybrzeżnych dla górników głębinowych.

Po stronie przeciwników opowiedziały się największe brytyjskie banki, NatWest, Lloyds i Standard Chartered, zobowiązując się nie inwestować w górnictwo głębinowe. Dołączyły do nich duże firmy technologiczne, takie jak Google i Samsung, oraz producenci samochodów BMW i Volvo.

Nie ulega wątpliwości, że górnictwo głębinowe powinno być uregulowane, żeby nie odbywało się w sposób rabunkowy. Należałoby dać zielone światło dla metod najmniej szkodliwych (jeden ze start-upów, Impossible Metals, zapowiada wykorzystanie sztucznej inteligencji, aby zdalne roboty selektywnie wyrwały bogate w metale guzki z dna morskiego, jednocześnie minimalizując niszczenie siedlisk). Trzeba zakazać używania materiałów wybuchowych, uregulować przetwórstwo i gospodarkę odpadami, stworzyć niezależny reżim kontroli.

Wszystko to wiadomo, a jednak społeczność międzynarodowa kolejny raz zawodzi. Wszystko wskazuje na to, że będzie jak zwykle: wydobycie ruszy na zasadzie wolnej amerykanki, a potem będziemy usiłowali ograniczyć je regulacjami, załamując ręce, że jest już za późno, aby naprawić nieodwracalne szkody.

Adam Michnik poleca

CZOŁG WJECHAŁ DO

Kiedy wagnerowcy maszerowali na Moskwę, największym zmartwieniem lokalnego kierowcy było: Jak ja się dostanę do domu?

Wiktor Jerofiejew*

Osobliwą cechą zwykłego Rosjanina jest to, że zwykle nie szuka uogólnień, które wyjaśniają istotę wydarzeń, ale sprytnie znajduje humorystyczne szczegóły, które uspokajają jego umysł. Dzieje się tak we wszystkich sferach życia, ale przede wszystkim w polityce, gdzie humor pomaga przetrwać bezradność.

„Nie rozumiem, ale mnie to śmieszy” – oto formuła używana przez zwykłych ludzi, która pozwala im ocenić wojskową eskapadę Jewgienija Prigożyna. Ludzie nie angażowali się w to, co się działo, obce im były spory wodzów, ale po raz kolejny uśmiechali się w obliczu absurdu życia.

Ze wszystkich wydarzeń, które miały miejsce w Rostowie nad Donem, epizod z czołgiem wagnerowców, który utknął w centrum miasta w bramie cyrku, cieszy się szczególnym zainteresowaniem. Ile było śmiechu z tego powodu! Już samo hasło „czołg” stało się memem, a mem stał się symbolem niepowodzenia całej operacji.

Teoria holenderskiego filozofa Johana Huizingi o zabawie jako źródle kultury najlepiej oddaje powszechne w Rosji podejście do życia, tyle tylko, że najczęściej jest to gra desperatów. Kiedy kolumny najemników maszerowały na Moskwę i robotnicy otrzymali rozkaz rozkopania dróg, miejscowy kierowca, patrząc na wykop, powiedział z mieszaniną ciekawości i rozpacz: „Jak się dostanę do domu?”. Był o wiele bardziej zaniepokojony własnym kłopotem niż dywagacjami politycznymi.

I to jest wszechobecne zjawisko: wyjście poza codzienne życie i myślenie o losie kraju nie było obecne w powszechnej świadomości w przypadku buntu Prigożyna. „To ich (szefów) sprawa, nie nasza” – mówili ludzie, których nie wyrwała ze stanu politycznej hibernacji nawet wojna z Ukrainą.

Jednak obojętność narodu rosyjskiego jest godna szczególnej uwagi na tle eksplozji szerokiej gamy uczuć doświadczanych przez klasy zaangażowane politycznie zarówno w Rosji, jak i na świecie. Dwudniowy pucz okazał się dobrym rentgenem, pozwalającym zobaczyć wewnętrzne wady putinowskiego systemu władzy, które mogą się stać globalnym zagrożeniem.

Kto wygrał, a kto przegrał w wyniku tego buntu?

Oczywiście główną ofiarą rebelii jest sam Prigożyn, choć nie jest to takie proste. Kucharz Putina w ostatnich kilku latach stworzył bandyckie imperium zła, którego Rosja potrzebowała do bezwzględnej walki z Zachodem i wewnętrznym wrogiem, opozycją. Kreml wspierał je ogromnymi



• Żołnierze białoruskich sił specjalnych i wagnerowcy szykują się do wspólnych ćwiczeń w okolicy Brześcia, blisko granicy polsko-białoruskiej. Fragment filmu opublikowanego przez białoruski MON 20 lipca FOT.AP

Chłodna postawa Prigożyna, jego chamstwo, pragnienie wprowadzenia kary śmierci i przedstawienia gospodarki na system planowy, prawie w stylu sowieckim – elity wołały Putina, przy wszystkich jego wybrykach

zastrzykami finansowymi, choć się do tego nie przyznawał, i dopiero teraz, po nieudanym puczu, wziął odpowiedzialność za destrukcyjną działalność PMC Wagner na całym świecie. Demaskując Prigożyna, zde-maskował samego siebie.

Jeśli chodzi o Prigożyna, który mimo zdrady uniknął kary i dostał szansę przeniesienia się na Białoruś, można go teraz zarówno biczować, jak i wykorzystywać – jego doświadczenie, które nie zna granic moralnych, jest bezcenne dla zniszczenia Zachodu. Nie jest łatwo znaleźć drugiego takiego Prigożyna, który cieszyłby się zafiansem prezydenta.

Jednak slogan Stalina z czasów Wielkiego Terroru: „Za to, co wczoraj – podziękowanie, za to, co dzisiaj – odpowiadaj!” może się odnosić także do Prigożyna. Putin nie wybacza nawet cienia obrazy, a Prigożyn poczuł się panem sytuacji, zapominając, że w Rosji jest tylko jeden pan.

Dla samego Putina nieudany bunt nie był osobistą porażką. Stawiając przywódców wojskowych przeciwko sobie w celu wzmocnienia autokracji i dla dobra „zdrowej” konkurencji na froncie, Putin grał w niebezpieczną grę, ale autokracja w Rosji jest potężną instytucją, a Prigożyn nie jest Leninem

z jego komunistycznymi wabikami. Nie ma inteligencji politycznej ani ideologii.

Putin mógł nawet nie zwracać sobie tym głowy i spędzić dni rebelii tak, jak uważał za stosowne. To nie Putin jest słaby, ale przyszły okres przejściowy od Putina do następnego władcy Kremla – autokracja Putina ma charakter osobisty i nikt jej nie odziedziczy.

W rosyjskiej opozycji podczas rebelii pojawiły się głosy witające ją z zadowoleniem. Oczywiście opozycji Putin mocno dopiekl. Brutalnie się rozprawił z „piątą kolumną”. Kiedy mówi się, że Prigożyn jest gorszy, nie jest to zaskakujące, ale opozycja przykładała nie buntownikowi, tylko zamieszaniu, które dałoby jej nowe możliwości.

Ukraina ujrzała w rebelii słabość reżimu Putina, ale nie skupiała się na tym szczególnie, bo nie ma sensu wybierać między Putinem a Prigożynem jako kimś dla Kijowa lepszym lub gorszym. W Rosji w całej jej historii panowała tylko autokracja pod różnymi maskami.

Pozbawiona od zawsze doświadczenia demokracji Rosja postrzega cara jako ży-

wiciela ludu, dziedzica całego kraju, który z pewnością osądzi każdego, a kto z nim walczy, sam sobie zaszkodzi.

Rewolucja bolszewicka, o której Putin wspominał podczas puczu jako o narzędziu zniszczenia imperium, była zamachem stanu, dodatkowo wzmocnionym przez czerwony terror. Dobrze pamiętam, jak moja babcia, choć mój ojciec pracował na Kremlu, z wielkim rozrzewnieniem wspominała czasy przedrewolucyjne: zmienili przyzwoitego cara na nieprzyzwoitego. I nadal nie ma końca tej nieprzyzwoitości.

Otoczenie Putina musiało się zastanawiać nad swoim losem, w przypadku gdyby Prigożyn został nowym carem. W każdym razie takie myśli nawiedzały wszystkich tych ludzi w taki czy inny sposób. Prigożyn był dla nich niebezpieczny. Nie bez powodu wysłał najemników do Moskwy na rozprawę z ministrem obrony Szojgu i szefem sztabu Gierasimowem. Kto jeszcze mógł sprowokować jego gniew? Każdy! Łącznie z telewizyjnymi propagandystami.

Chłodna postawa Prigożyna, jego chamstwo, pragnienie wprowadzenia kary śmierci w Rosji na żądanie mas i przedstawienia gospodarki na system planowy, prawie w stylu sowieckim – wszystko to było obrzydliwe. Elity wołały Putina, przy wszystkich jego wybrykach, z wojną włącznie.

Jeśli ktokolwiek w armii popierał Prigożyna jako odnoszącego sukcesy dowódcę, to nie było to zjawisko masowe; Kadyrow pozostał lojalny wobec Putina, a o gen. Surowikinie trudno wyrokować, bo gdzieś zniknął. Ważne, że jeszcze przed puczem Prigożyn zniszczył całą kremlowską propagandę, mówiąc, że Ukraina nie zagraża Rosji, i uznając błędy kierownictwa, słabość

CYRKU

armii i dużą liczbę strat. Jednak bunt się skończył, a ludzie w całym kraju są ponownie sądzeni i karani za słowa, które Prigożyn „odkorkował”.

Rebelię nadal różnie postrzegają elity władzy. Jastrzębie, jak szef Rosgwardii Zolotow, uważają ją za międzynarodowy spisek i wzywają do ostrzejszej formy wojny, aż do użycia sił nuklearnych w celu całkowitego wymazania Europy z mapy. Z drugiej strony, szef MSZ Ławrow nazwał rebelię „bałaganem”, lekceważąc znaczenie inicydentu z Prigożynem. Putin ma wspaniałą okazję, by grać, sięgając raz po jeden, raz po drugi punkt widzenia.

Zagraniczni przywódcy byli zgodni, że bunt to wewnętrzna sprawa Rosji. Kiedy zbiorowy Zachód, w tym Biden, tak powiedział, była to zrozumiała forma odcięcia się od jakiegokolwiek zaangażowania w bunt. Sama rebelia przeraziła Zachód nie dlatego, że o niej nie wiedział (wywiad USA wiedział), ale dlatego, że gdyby się powiodła, broń nuklearna mogłaby trafić w nie wiadomo czyje ręce, a sama Rosja mogłaby zacząć się rozpadać.

Chiny również twierdziły, że rebelia jest wewnętrzną sprawą Rosji, ale prezydent Kazachstanu Tokajew zaskoczył wszystkich, odcinając się od wspierania Putina w rozmowie telefonicznej z nim, powołując się właśnie na to, że to rosyjska sprawa wewnętrzna. Nie sądzę, by Putin widział w nim wcześniej lojalnego przyjaciela, ale po tej rozmowie wiele rzeczy stało się jaśniejszych.

I wreszcie Łukaszenka. To on najbardziej skorzystał. To on podjął negocjacje z Prigoży-

nem i formalnie to on zaproponował mu, by zrezygnował z zajmowania Moskwy. Oczywiście można powiedzieć, że Łukaszenka odegrał rolę mediatora na zlecenie Moskwy. Niemniej jednak stworzył wizerunek niezależnego i silnego negocjatora, który uratował Rosję i swego przyjaciela Putina przynajmniej przed poważnym rozlewem krwi.

Piloci helikopterów i samolotów wojennych zestrzelonych przez wagnerowców nie mogą zostać przywróceni do życia, byli prawdziwymi ofiarami puczu, ale szalony atak na Moskwę (zainscenizowany lub prawdziwy) mógł się zakończyć masakrą.

Po udanych negocjacjach Łukaszenka był w stanie rozmawiać bardziej niezależnie z Putinem, przynajmniej przez jakiś czas, aby zapobiec całkowitemu polknięciu Białorusi przez Rosję. Białoruś odetchnęła jako (prawie) niezależny kraj, choć nikt nie zapomni Łukaszenki masakry opozycji i zaangażowania w wojnę. Sukces Łukaszenki będzie jednak krótkotrwały.

Rebelia wiele wyjaśniła, ale prawie nic nie zmieniła. Wszystko w dużej mierze pozostało takie samo.

Kiedy, jak pamiętam, radziecki cyrk skończył 60 lat, w Moskwie pojawiło się wiele odświętnych plakatów. A dysydenci się uśmiechali: sami siebie nazwali cyrkiem! Teraz czołg nie tylko wagnerowców, ale i samego Putina utknął na długi czas w bramie cyrku. ●

***Wiktor Jerofiejew** – ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego powieść „Różowa mysz” (wyd. Agora). Tytuł tekstu: „Wyborcza”.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wiktor Amelina**

Wtorek

*on wie, gdzie ona będzie za sto lat
mówi o długim życiu, jakby czytał książkę
w tamtym życiu cerkwie i powolne kroki
miasta, gdzie ona śmieje się w białej sukience
ona pyta go po prostu o wtorek:
a w ten wtorek spróbujesz zadzwonić?
I tam na drugim krańcu kraju on zamiera
wpatruje się w czarną ciszę w obcej zieleni
patrzy na możliwości, fart, lornetkę
i pisze: będę zawsze dzwonił do ciebie w niedziele
w niedzielę ona zatrzymuje się w śródmieściu
dzwonek rozlega się na ulicach, wibruje w kieszeniach sukienki
wibruje w jej brzuchu, w nogach, w głowie, w piersi
i kobieta nagle śmieje się z miłością i wściekłością:
to on dzwoni do niej w niedzielę
– jak powiedział*

PRZEL. ZBIGNIEW DMITROCA



****Wiktor Amelina** – 1986–2023, ukraińska poetka i pisarka, autorka m.in. wydanej w Polsce powieści „Dom dla Doma”. Laureatka Nagrody Literackiej im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego, przyznawanej ukraińskim pisarzom od 2007 r. przez Instytut Polski w Kijowie. Od początku rosyjskiej agresji na Ukrainę angażowała się w pomoc swoim rodakom i dokumentowała rosyjskie zbrodnie. Zmarła 1 lipca w wyniku ciężkich ran odniesionych podczas rosyjskiego ataku na Kramatorsk. Wiersz opublikowała na Facebooku 10 czerwca 2023 r.

Bunt Prigożyna to ściema?

Bracia prawie bliźniacy

Studiując zjawisko rosyjskiego buntu, Puszkina nazwał go bezsensownym i bezwzględny. Pasuje to do buntu Prigożyna.

Wśród rosyjskich opozycjonistów coraz więcej słychać głosów, że bunt Prigożyna, kucharza Putina i twórcy Grupy Wagnera, był w istocie fałszywy, bo został skoordynowany z Putinem.

Taka wersja wydarzeń sprawia, że należy wątpić we wszystko – sama Rosja Putina stała się czekistowską operacją specjalną i już zupełnie nie wiadomo, co jest prawdą, a co fałszem. To właśnie ta długoterminowa niepewność daje Putinowi możliwość manipulowania władzą, korumpowania elit, pokazywania mapy Rosji bez wytyczonych granic i prowadzenia wojny, której nie wolno nazywać wojną.

W politycznej mgłę Putin przez wiele lat pozostawał ponad rzeczywistością i fantazją, bo sam je wymyślił; przedłużał prezydenturę rok po roku, co przypomina władzę cesarza. Jednak wrogowie najczęściej nazywali go dyktatorem, ale z jakiegoś powodu nigdy cesarzem; może nie ma

w nim imperialnej wielkości, raczej przebiegłość i wodzenie za nos krajowych i światowych elit.

Tak się jednak składa, że z tej putinowskiej mgły wyłonił się nagle polityczny sobowtór Putina, również mistrz cienia, artysta militarystycznych pieśni i tańców, a raczej kandydat na samozwańca. Prigożyn to obraz Rosji całkowicie nieskażonej, gdzie zona więzienna, którą przez wiele lat osobiście poznawał, dyktuje swoje prawa bezczelności i całkowitego braku odpowiedzialności.

Nauczony gorzkim doświadczeniem, skorzystał z niego w swoim ruchu w górę, aż na kremłowski Olimp. Jego lot nie był gorszy niż awans Putina z bezrobotnego petersburskiego taksówkarza na premiera, a następnie prezydenta.

Jednak różnica między tymi bliźniakami jest znacząca. Putina wychowało KGB, wszystko postrzega on jako przestępstwo i jest nieufny wobec wszystkiego. Jest swoim własnym ochrania-

rzem. Prigożyn jest odnoszącym sukcesy poszukiwaczem przygód o cynicznym spojrzeniu. Jego bunt jest zasadniczo buntem przeciwko głupiemu systemowi kłamstw.

Czym więc był ten bunt? W końcu nie bez powodu Prigożyn zajął ogromne miasto Rostów nad Donem, a stamtąd udał się do Moskwy, aby szukać sprawiedliwości, ruszył przeciwko mierzemu dowództwu armii, a mo-

Putina wychowało KGB, jest swoim własnym ochroniarzem, nieufnym wobec wszystkiego. Prigożyn to poszukiwacz przygód o cynicznym spojrzeniu

że nie tylko armii, ale także państwu?

Studiując zjawisko rosyjskiego buntu, Puszkina nazwał go bezsensownym i bezwzględny. Ta definicja w dużej mierze odnosi się do Prigożyna.

Wyruszając, by narzucić Moskwie sprawiedliwość, w rzeczywistości nie był w żaden sposób uzbrojony politycznie – żadnego doświadczenia państwowego, żadnych sojuszników państwowych. Putin przejął inicjatywę, choć udawał, że odpłynął gdzieś w cień. Atak Prigożyna na Moskwę pokazał jego polityczną nieodporność i zagrał na korzyść imperatora jako wybaczy, ratującego ojczyznę przed inwazją przestępców. Prigożyn po prostu nie miał czasu na bycie bezwzględnym zgodnie z formułą rosyjskiego buntu.

Rozkazał zestrzelić wojskowe helikoptery i dwa samoloty, które wojsko skierowało przeciw niemu, ale nie miał czasu na przelanie morza krwi – przelał hojnie krew najemników podczas szturm na Bachmut. Z pewnością dokonałby egzekucji Szojgu i Gierasimowa, gdyby wpadli w jego rę-

ce, ale na pewno nie było nic mądrego w jego wulgarniej bezpośredniości.

Zwykli ludzie i urzędnicy odsuwali się od niego, wojsko nie spieszyło się do walki z nim – maszerował przez południową Rosję zupełnie sam, aż zorientował się, że to nie on będzie karać, tylko jego ukara.

Wtedy na ratunek Putinowi przyszedł jego drogi białoruski brat Łukaszenka, który w imieniu rosyjskiego prezydenta wyjaśnił zbuntowanemu kucharzowi, że lepiej zadowol się remisem. Prigożyn, specjalista od dużych transakcji finansowych i mistrz wszelkiego rodzaju trollingu, posłuchał białoruskiego bat’ki, który po negocjacjach stał się prawdziwym bohaterem putinowskiej Rosji.

Patrząc na to, co się stało, chciałbym zmodyfikować myśl Puszkina. Nie tylko rosyjski bunt, ale sama Rosja w czasach Putina stała się bezsensowna i bezwzględna. ●

Wiktor Jerofiejew, przeł. arp

• **Skuteczna komunikacja jest współpracą. Mamy tzw. reguły Grice'a: mów na temat; mów tyle, ile trzeba; mów zrozumiale; mów prawdę (nie tylko w znaczeniu „nie kłam”, ale też „nie cwaniakuj”)**

FOT. SHUTTERSTOCK

Z **DARIUSZEM UŻYCKIM*** ROZMAWIA
ALICJA GARDULSKA

Uczy pan przywództwa na przykładach z serialu „Breaking Bad”. Odważnie.

– Parę lat temu była moda na uczenie przywództwa na Szekspirze. Wiele firm szkoleniowych rzuciło się na „Henryka V”, „Makbeta” czy „Hamleta”, bo to takie odświeżające miało być. Czemu nie? W końcu wszystko się sprowadza do jednego – do opowieści o ludziach. To z nich, czyli w sumie z siebie, czerpiemy. Nieważne, skąd są przykłady. Ważne, co ze sobą niosą.

Pan z cytatów z Waltera White'a, bohatera serialu, zrobił tytuły swoich książek („Czy jesteś tym, który puka” i „Wiesz, kim jestem!”). Przypomnijmy: to nauczyciel chemii, który zmuszony różnymi życiowymi okolicznościami, zostaje producentem metamfetaminy.

– Walter White zdecydowanie nie jest wzorem do naśladowania, co podkreślam we wstępach do książek. Jest za to wyrazicielem pewnej postawy, z którą warto się zmierzyć. Mówi, że to on jest tym, który puka do drzwi. Nie czeka, aż zapukają do niego. To nośne zdanie. A przekładając je na zawodowe realia – wyraża myśl, że nie warto siedzieć i liczyć na to, że coś samo do nas przyjdzie. Lepiej zdefiniować te swoje drzwi i do nich zapukać.

Tylko żeby było jasne – za takimi zdaniami muszą iść konkrety. Jestem z wykształcenia inżynierem z ośmioletnim doświadczeniem naukowo-badawczym, zawsze rozmawiam z menedżerami o konkretnych zachowaniach czy rzeczach, które mogą przelożyć na swoją rzeczywistość.

Nie jest pan też fanem amerykańskich poradników. Często pan się z nich natrząsa w sieci.

– Tych popularnych rzeczywiście nie. Muszę mieć dane, fakty, coś, co można udowodnić, zmierzyć, a nie to, co się komuś wydaje. Jeśli ktoś ma dwadzieścia lat doświadczenia w danej dziedzinie, którą bada, to jest szansa, że ma coś do powiedzenia. Niestety dużo jest dziś autorów, którzy zarobili miliony na płaskich i płytkich poradnikach, gdzie myśl jest na poziomie tego, co można usłyszeć w nowym serialu o Arnoldzie Schwarzeneggerze, że „trzeba mieć wizję i realizować tę wizję”. No fajnie. Nic z tego nie wynika.

Ta moda przyszła już do Polski?

– Przyszła i niestety mam wrażenie, że się zadomowiła na dobre. Na LinkedInie, gdzie jestem dość aktywny, mamy wysyp porad typu „wyjdź ze swojej sfery komfortu”. Ale skoro widać podaż, to znaczy, że jest popyt na takich guru.

Pan mówi o sobie, że jest intelektualnym sparingpartnerem dla menedżerów.

– Takie określenia jak „coach” bardzo się zdevaluowały. Mamy dziesiątki tysięcy coachów od wszystkiego, od ciała, od duszy, od kariery. Chciałem ująć to, czym się zajmuję, we właściwy sposób.

I polscy menedżerowie chcą być tak bokсовani? Pisze pan, że podaje w wątpliwość to, co mówią, dopytuje: „A skąd wiesz?”. Aż by się chciało powiedzieć, że wyciąga ich pan ze strefy komfortu.

– Zdecydowanie w ostatnich latach rośnie w menedżerach potrzeba porozmawiania z kimś z zewnątrz, kto chłodno i bez emocji spojrzy na ich otoczenie i zachowania, zobaczy procesy, a nie tylko pojedyncze kropki. I kto może merytorycznie ich wesprzeć. Choć w końcu, że ma także własne doświadczenia tego typu. Zawodowe i osobiste.



PRACOWNIK JEST JAK PRALKA

Działa, to działa. Nie piszemy listu z podziękowaniem do producenta.
Dopiero kiedy się zepsuje, reagujemy

Czternaście lat temu w „Dużym Formacie” ukazał się reportaż pt. „Szefer polski”, w którym menedżerowie opowiadali o swoich metodach zarządzania. To kilka: „besztam i milczę”, „wszędzie wkładam palec”, „za bardzo nie chwale”. Pan jest na tym rynku ponad dwadzieścia lat. Widzi pan zmianę?

– Nie jestem badaczem, ale setki spotkań, które odbywam każdego roku, pozwalają mi obserwować pewne procesy. Mam też międzynarodowy kontekst, bo regularnie oceniam menedżerów z innych krajów. Sporo pracuję też ze Skandynawami.

Jeśli porównamy Polskę – czy szerzej: Europę Środkową, bo podobnie jest w Czechach, Słowacji i Rumuni – ze Skandynawią, to całe moje doświadczenie pokazuje, że jesteśmy bardziej autorytarni niż oni. I pewnie tak będzie jeszcze długo albo i zawsze, bo to wynika z historii, wartości, które wyznajemy, wychowania itd.

U nas jest rzeczywiście wciąż więcej gadania czy besztania niż słuchania. Kiedy pytam polskich menedżerów o feedback, mówią: „Jak ktoś coś źle zrobi, to mu o tym powiem. Jeśli zrobi dobrze, to nie ma o czym gadać”. To jasne, że trzeba pracować dobrze.

A Szwed już wie, że nie wystarczy tylko ganić, trzeba też chwalić.

A my mamy do pracownika trochę takie podejście jak do pralki. Działa, to działa. Nie piszemy listu z podziękowaniem do producenta. Dopiero kiedy się zepsuje, reagujemy.

Tu jedno ważne zastrzeżenie. Trzeba uważać na pewną myślową pułapkę, w którą wpada wiele osób, szczególnie tych aktywnych w piśmiennictwie na portalach. Przestrzegam przed myśleniem my – oni. W sensie: oni – szefowie. Przecież oni – szefowie wzięli się z nas. To nie jest jakaś oddzielna grupa ludzi, którzy się urodzili jako przełożeni. Ich zachowania mają korzenie w zachowaniach pracowniczych w ogóle. A ogromna część pracowników wcale nie chce odpowiedzialności czy decyzyjności, wychodzi z założenia: „jesteś szefem, decyduj”.

Czyli nic się nie zmienia?

– Trochę się jednak zmienia, bo już bardzo wielu menedżerów – i tych najemnych, i właścicieli firm – zauważa, że ten model zarządzania przestaje być wystarczająco skuteczny. Nie możemy mówić o lawinie, ale o wyraźniejszej tendencji – już tak.

Biznes jest tak dynamicznie zmienny, coraz mocniej międzynarodowy i skomplikowany

technologicznie, że nie da się go objąć jedną głową. W związku z tym, czy to się komuś podoba, czy nie, trzeba schodzić z władzą w dół i się nią dzielić. Nie dlatego, że tak mówią HR czy że tak napisali w mądrych książkach, tylko dlatego, że jest to po prostu skuteczniejsze. Bo ostatecznym miernikiem sukcesu jest skuteczność. Czy coś działa dobrze, czy nie. Wystarczy popatrzeć, ile jest światowych, fantastycznie rozwiniętych firm skandynawskich, a ile polskich, rumuńskich, czeskich czy węgierskich.

A poza tym szefowie widzą, że zmieniło się otoczenie. Model autorytarny mógł być skuteczny tych piętnaście-dwadzieścia lat temu, bo pracownicy nie mieli wielu alternatyw. Jeśli pracownik może rzucić z dnia na dzień papierami, bo np. sobie trochę zaoszczędził albo ma rodziców, którzy są w stanie go wesprzeć, albo ma mniejsze potrzeby, albo wie, że może szybko znaleźć sobie równie interesującą pracę – to i zachowania menedżerów muszą się zmienić, żeby tych pracowników zatrzymać.

A jakby miał pan wymienić jedną rzecz, która stoi na drodze do zmiany. Coś, co mogłoby pomóc naszym menedżerom



ściwie nie działa, bo skuteczna komunikacja jest współpracą. Opisano to w latach 70. ubiegłego stulecia – dość późno, swoją drogą – i mamy w literaturze tzw. reguły Grice'a:

- mów na temat;
- mów tyle, ile trzeba;
- mów zrozumiale;
- mów prawdę.

Nie tylko w znaczeniu „nie kłam”, ale też

Nie czuje się pan ani boomerem, ani iksem?

– Kiedy patrzę na niektóre swoje cechy, to chyba najbardziej czuję się zetką (*śmiech*). Ale poważnie, to dzielenie na pokolenia pokazuje, jak bardzo lubimy uproszczenia. Świat należy upraszczać, bo pewnie byśmy oszaleli, próbując wszystko rozkładać na atomy. Ale czasem te uproszczenia idą za daleko. Bo kiedy mówi-

Dyskusowanie o pokoleniu X, Y, Z, ą i Ę itd. nie ma sensu. Bo czy to niebo się otworzyło i ludzie są inni? Czy to świat się zmienił tak mocno, że inne rzeczy są możliwe?

„nie cwaniakuj”, jeśli nie wiesz czegoś na pewno, nie upieraj się, że wiesz. Jeśli mówię: „jest tak i tak, kropka”, często zamykam dyskusję i automatycznie wchodzę w konflikt z osobą, która ma inne zdanie. Widać to doskonale w dyskusjach w sieci, w komentarzach, w debatach publicznych i w domach. A wystarczy zacząć od np.: „w mojej opinii/według moich danych jest tak i tak” – i mamy otwarte pole do współpracy, a nie pojedynku. Kiedy nie wkładamy w rozmowę wysiłku, nie zależy nam na jakimś wspólnym rezultacie, mamy konflikt w kilku krokach.

Pan pisze też, że to proaktywne słuchanie i mówienie trzeba po prostu ćwiczyć.

– Jasne. Można się tego nauczyć. Elementem tej praktycznej nauki jest choćby moja książka „Wiesz, kim jestem!”. W ogóle kiedy rozmawiam o przywództwie, stykam się często ze stwierdzeniem, że „z tym się trzeba urodzić”. Ale z czym, pytam. Bo kiedy dobre przywództwo rozłożymy na czynniki pierwsze, to przecież sprowadza się ono do konkretnych zachowań. A zachowań można się nauczyć. Wiadomo, jednym przyjdzie to łatwiej, innym trudniej, ale na poziomie wystarczająco dobrym każdy może przyswoić zasady komunikacji, przywództwa, a nawet to, co sprawia, że jest się odbieranym jako charyzmatyczny. Proszę spojrzeć na amerykańskich polityków, jak oni mają to wszystko fantastycznie wyuczone. Mogą być w środku małymi, zahukanymi misiami, a wypadają na charyzmatycznych liderów.

A jak ważne dla polskich szefów jest to, że na rynek pracy wchodzi kolejne, coraz młodsze pokolenie pracowników? Pan ich na to jakoś przygotowuje? To w ogóle jest temat?

– Jeśli pyta pani, czy tematem do dyskusji czy szkoleń są te wszystkie pokolenia X, Y, Z, ą i Ę itd., to moim zdaniem – nie. To fałszywie postawiony problem, który prowadzi na manowce i powoduje intelektualne lenistwo.

Żaden z moich rozmówców nie pracuje z całą generacją Z czy Y, ale z konkretnymi ludźmi. Jeśli z góry założymy, że 23-latek, którego ma przed sobą, jest zetką, więc jest taki czy siaki, to całą komunikację z nim zbudujemy na statystyce i ulotnej hipotezie. A jeśli zrobi krok wstecz i sięgnie po uniwersalne zasady komunikacji, to sam się dowie, z kim rozmawia, i doberze odpowiednie narzędzia.

Pan chyba jest w tej grupie osób, które uważają podziały na pokolenia za chwyt marketingowy.

– Zdecydowanie można nazwać zabiegiem sprzedażowym twierdzenie, że ktoś jest w stanie przeskoczyć kogoś z komunikowania się z całym pokoleniem. To tak, jakbym zaproponował pani, że ją przeskoczę np. z komunikowania się ze wszystkimi Amerykanami. Sam mam problem, bo urodziłem się 1964 roku, a mówią, że w 1964 kończą się baby boomers i zaczynają iksy. No i ja już nie wiem, czy ja piękny, czy mądry jestem. Bo się nie rozdziew-

my, że ktoś jest taki i taki, bo ma tyle i tyle lat, to za mocno sobie ułatwiamy sprawę, zwalniamy się z myślenia.

Ma pan na myśli takie wartościujące uproszczenia, jak np. określenie „pokolenie płatków śniegu”?

– Tak, bo w ten sposób pokazujemy, że to słabeusze nieradzący sobie ze światem. Co nie jest prawdą, a już na pewno nie da się tego uogólnić na całe pokolenie.

Ale użyła pani słowa „badać”. I to jest dla mnie kluczowe. Bo za tym słowem kryją się pewien rygor i procedury. Wiemy, kogo badamy, jakimi metodami, mamy wiarygodne wyniki zweryfikowane statystycznie i powtórzone w różnych ośrodkach. A dziś to słowo jest regularnie nadużywane, bo często firmy konsultingowe, rekrutacyjne czy nawet prywatne osoby wrzucą do internetu ankietę, ktoś im ją wypełni sto pięćdziesiąt razy (w lepszym scenariuszu, bo często to i trzydzieści) i za chwilę mamy tekst, że „z mojego badania wynika...”. To jedna rzecz, a druga to taka, że najczęściej nie sprawdzamy, jakie są autentyczne zachowania w konkretnych sytuacjach, ale raczej zbieramy deklaracje ludzi, co by zrobili, gdyby. Jest takie klasyczne, internetowe pytanie: „Czy rozważyłbyś zmianę pracy?”. I ktoś pisze: „Zatrważające, z mojego badania wynika, że 80 procent ankietowanych rozważa zmianę pracy!”. A ja bym zapytał raczej, co jest nie tak z tymi 20 procentami, które nie rozważają? Bo cóż złego w rozważaniu, gdyby np. pojawiła się dobra oferta? Od rozważania do podjęcia decyzji daleka droga.

No i trzeci element, opisany przez naukowców, że właściwie nie mamy wystarczająco wielu badań, które dałyby się uogólnić na całą ludzkość. Badaliśmy za to dużo tzw. WASP-ów (WASP – White Anglo-Saxon Protestants), czyli głównie białych anglosaskich protestantów. Badaliśmy też bardzo dużo studentów, którym profesorowie dają do wypełnienia ankiety, mając ich pod ręką itd. Takie analizy często mogą też co najwyżej dotyczyć np. zamożnych z dużych miast, ale Polaków ze średnich miast albo ze wsi już nie bardzo. Powoływanie się na amerykańskie badania jest obciążone tą pułapką. Wychodzi z tego klasyczne „amerykańscy naukowcy odkryli...”.

Ale są jednak pewne różnice między młodszymi a starszymi pracownikami, które da się opisać.

– Oczywiście, ale te różnice są statystyczne. Nie dotyczą wszystkich tak samo. Tu mi się przydadają osiem lat, które spędziłem jako pracownik naukowo-badawczy. I to odwieczne pytanie: czy ty wiesz, kogo badasz, i czy na pewno badasz tego, kogo ci się wydaje. Bo czy to na pewno zmieniło się pokolenie? Niebo się otworzyło i ludzie są inni? Czy to po prostu świat się zmienił tak mocno, że ludzie dziś wchodzący na rynek działają w zupełnie innym otoczeniu niż np. moje pokolenie? Inne

rzeczy są możliwe, inne preferowane. Takie, których wtedy nie było.

Weźmy chociażby decyzję o pierwszym dziecku. Za czasów mojej młodości – wiem, wiem, zabrzmiałem jak starszy pan, ale każdy miał „swoje czasy” – powszechnym modelem było posiadanie pierwszego dziecka w wieku dwudziestu paru lat, kilka lat później drugiego. Założenie rodziny znacząco wpływa na decyzje zawodowe i relacje człowieka z pracą. Dziś decyzja o rodzicielstwie przesuwana się o pięć-dziesięć lat, podejmuje się ją około trzydziestki i później. A kiedy się nie ma dzieci i otoczenie biznesowe oferuje szereg możliwości, to nic dziwnego, że pracownik z tego korzysta. I nie trzeba mu urywać nogi, jak trzydzieści-czterdzieści lat temu, by zmienił pracę, bo po prostu miał bardzo małe wtedy po temu możliwości. Dziś wystarczy, że szef się kilka razy skrzywi albo pracownik uzna, że praca przynosi mu za dużo stresu lub za często trzeba zostawać po godzinach, i – jeśli ma inne opcje (a ma!) – nie zastanawia się długo.

Ale pozwoli pan, że jednak odwołam się do badań, tych rzetelnych, robionych cyklicznie przez naszych zachodnich sąsiadów. Z badania „Młodzi w Niemczech” wyszło, że dwudziestoletni pracownicy bardzo potrzebują informacji zwrotnej. Ale też chcą czuć, że ich praca ma sens.

– Sens, jak rozumiem, inny niż zarabianie pieniędzy?

Tak. Oczywiście deklarują także, że ważne są dla nich zarobki. Ale na pierwszym miejscu jest to poczucie, że to, czym się zajmują, jest do czegoś potrzebne.

– A kto by tego nie chciał? Ale oczywiście rozumiem różnicę i znowu bierze się ona z innych warunków. Bo kiedy się nie ma możliwości czy wyboru, zaciska się zęby i robi swoje. Dziś już nie ma takiej potrzeby, i dobrze. Pojdźcie do pracy, które mieliśmy kilkadziesiąt czy kilkanaście lat temu, jest już nieskuteczne. Młodzi mają możliwości, by głośno powiedzieć, czego potrzebują, i dobrze, że to robią. Tego samego potrzebowali wszyscy pracownicy przez tysiąclecia. Ale dziś możemy głośno powiedzieć, że „jak nam nie dasz, szefie, tego czy tego, to znajdę innego szefa”.

A samo udzielanie informacji zwrotnej i wytłumaczenie pracownikowi sensu jego pracy jest po prostu skuteczne biznesowo. Widzę to w firmach. Kiedy pracownik wie, że jego praca jest elementem większej całości i że to, co robi, wpływa na pracę innych, to nawet jeśli wykonuje zadania „od do”, jest gotowy do wzięcia większej odpowiedzialności i samodzielności, bo rozumie cały proces.

Nasi szefowie potrzebują szkoleń nie o pokoleniach, ale raczej tych z przywództwa czy komunikacji, bo dostają pewien pakiet uniwersalnych odpowiedzi, który sprawia, że nie ma znaczenia, czy naprzeciwno mnie siada czterdziestolatek, czy dwudziestolatek. Ważniejsze jest to, że ludzie są różni, niezależnie od wieku. Jednemu wystarczy dwa zdania, drugi potrzebuje dłuższej rozmowy, by czuć się zmotywowanym czy poinformowanym. I to wymaga pracy i zaangażowania. Jeśli się uważa, że jeden klucz będzie pasował do wszystkich sруб (np. wyprodukowanych w tym samym roku), to daleko się nie zajdzie. ●



***Dariusz Użycki** – rekruter, konsultant rozwoju przywództwa i komunikacji biznesowej. Doktor nauk technicznych. Wykładowca studiów Executive MBA. Od ponad 20 lat doradca menedżerem w Polsce i za granicą. Autor książek „Czy jesteś tym, który puka” i „Wiesz, kim jestem!”.

zasypać przepaść, która dzieli ich od tych zachodnich?

– Musiałbym bardzo uprościć, bo takich rzeczy jest pewnie kilkanaście. Ale jeśli muszę, to sprowadziłbym do fundamentalnej zasady: „mniej mów, więcej słuchaj”. Gdybym robił jakieś swoje top trzy najważniejszych zasad dla liderów, to byłoby na pierwszym miejscu. Tylko słuchając, można się czegoś dowiedzieć. Tacy statystycy Werner, Francois czy Karen wiedzą to doskonale. Menedżerowie z Europy Zachodniej czy ze Skandynawii słuchają świadomie i ze zrozumieniem. Oni są uczeni w domach, w szkołach, że trzeba włożyć wysiłek w to, by usłyszeć, co jest intencją osoby, która do nich mówi. Ta postawa robi różnicę. Rozmówca czuje, że ktoś go naprawdę wysłuchał, zadał odpowiednie pytania, zrozumiał.

A polscy szefowie nie potrafią słuchać?

– Ani słuchać, ani rozmawiać nie umiemy. Nikt nas tego nie uczy. Sam kończyłem szkołę w ubiegłym stuleciu, ale niewiele się w tej sprawie zmienia. Ciągłe funkcjonujemy w modelu, który zakłada, że osoba wykształcona potrafi czytać i pisać – i już, wystarczy.

Pewnie dlatego spotkania w firmach tak się dłużej w nieskończoność.

– Tu czasem pomogłoby zastosowanie kilku prostych reguł, które nawet w dużych korporacjach jakoś nie mogą się przebić. Np. to, że przed spotkaniem powinna być przygotowana jego agenda, określone dwa, trzy tematy i czas, w jakim trzeba sprawę zamknąć. U nas to działa raczej na zasadzie: „spotkamy się i zobaczymy, jak się rozwinię”. W spotkaniu biorą udział tylko te osoby, które wnoszą konkretną wartość do sprawy; nie zapraszamy „na wszelki wypadek” pięciu czy sześciu innych osób. I każde spotkanie powinno się kończyć podsumowaniem ustaleń.

Ale co właściwie z tym słuchaniem i mówieniem? Czemu sprawia nam to trudność?

– Większość ludzi utożsamia komunikację z ekspresją, czyli tym, co sami mówią. Jeden mówi swoje, drugi swoje i tak to działa. A wła-



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

PEŁNĄ GĘBĄ

KTO ZJADŁ JABŁKO
W SZŁAFROKU

Sady to restauracja stanowiąca pokoleniowy pomost między obecnym właścicielem lokalu a jego pradziadkiem Józefem

Maciej Nowak

Drugi już tydzień szwendam się po krakowskich zaklętych rewirach z rekomendacjami Kati Placheckiej. Tym razem idziemy do Sądów, restauracji działającej od 27 maja na Grzegórkach, w rejonie nieczęsto odwiedzanym przez przyjezdnych. A może inaczej: owszem, bywam czasami przy sąsiedniej Hali Targowej, ale nie zawsze świadomie. Odbywa się to zazwyczaj późną weekendową nocą, gdy kusi legendarna nyska z kielbaskami z grilla. Kto w ten sposób nie wzmacniał sił nadwątłych krakowskimi nocnymi posiadami, niech pierwszy rzuci musztardą! Dziś, gdy PESEL niczym życiowy taksometr przypomina, że jadę już na drugiej taryfie, kursy te zdarzają się coraz rzadziej, a adresem dużo bardziej właściwym powinny się stać mieszczące się tuż obok Sady. To restauracja stanowiąca pokoleniowy pomost między obecnym właścicielem lokalu a jego pradziadkiem Józefem. Ponad 100 lat temu zakupił w Lanckoronie pod Krakowem gospodarstwo z sadem, stawem i warzywniakiem, których plony dostarczał na Kleparz. Pamiątką tamtych czasów jest stojąca w lokalu stara waga szalkowa, która pomagała handlować produktami z rodzinnego gospodarstwa. Na ich bazie gotowała babcia Alojza. Jej smaki znajdziecie dziś w Sdach.

Sad to życie, biblijny ogród, gdzie wszystko się zaczyna. Śpiewał Jonasz Kofta: „Pamiętajcie o ogrodach/ Przecież stamtąd przyszliście/ W żar epoki użyżycie wam chłodu”. Cóż za profetyczne słowa sprzed pół wieku! Tylko prawdziwy wieszcz mógł już wtedy zauważyć nadciągającą katastrofę klimatyczną.

Z pieśnią na ustach wchodzimy do środka. Na jednej ze ścian widać zapętloną projekcję filmu z Józefowego, 70-akrowego sadu, przy wejściu stoją drewniane skrzynki wypełnione intensywnie pachnącymi jabłkami, w głębi



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kładką, która powiodła nas z wegebrzegu ku Krainie Ośmiu Aminokwasów, stały się dwa wizualnie identyczne panierowane sznycle

zaś za barem znajduje się otwarta kuchnia, w której w poniedziałkowe popołudnie w zastępstwie szefa kuchni rządzi Patrycja Solnica.

Między 7.30 a 12.30 dobrze rozpocząć tu dzień śniadaniem ogrodnika (35 zł). Składa się z domowych wędlin, grubo mielonego, soczystego pasztetu z kaczki, pasty jajecznej, serów zagrodowych, oszalałającego dżemu jabłkowego własnej produkcji. Z tym zestawem konkuruje słodkie śniadanie sadownika (35 zł) z drożdżowymi racuchami z jabłkiem, kogłem-mogłem, mussem jabłkowym i ricottą, czyli domowym twarożkiem. Oba talerze to istny ogród nieplewiony, obsypany zieleniną i kolorowym kwieciem niczym tybetki, chusty noszone przez kobiety w Małopolsce i na Podhalu.

Śniadanie płynnie przechodzi w obiad, który zacząłem stawiając na nogi zupę chrzanówką (26 zł) na maślanie, zakwasie żytnim i białym korzeniu o legendarnej witalnej mocy. Na talerzu mamy też całą grillowaną kielbaskę, ziemniaki purée

z piszczonym czosnkiem i połówką jaja. Dla najdziwniejszych na spodeczku obok podaje się dodatkową porcję świeżo startego białego chwata. Moc jest z nami!

Jako drobne intermezzo objawiło się lanckorońskie jajko sadzone na bogato (28 zł) z pianą z koziego mleka, duszonymi grzybami i kromką przypieczonego wiejskiego chleba. Śladem tego wytwornego drobiazgu doszłusowały z kolei kopytka z palonym masłem (42 zł). Zdobne były wcale bogactwo sezonowych jarzynek: fenkuł, marchewki, ogórki, zielony kalafior i szparagi. I pąsową różę. W tej samej kategorii gastrozielnika sytuowały się aromatyczne pierogi z kaszą gryczaną (42 zł) i liśćmi pokrzywy, szpinaku i czosnkiem niedźwiedzim pod kruszonką beszamelową z piklami. Co nam italskie ziola, skoro i u nas zielska wszelakiego dostatek. I aromatycznego i pięknie kolorowego. Mniej przypadł mi do gustu mus kalafiorowy podany w dwóch połówkach pieczonego ziemniaka (35 zł), serwowany w wianku z warzyw i ka-

walków marynowanego arbuza. Opis brzmi dobrze, ale na talerzu kompozycji tej zabrakło wdzięku i lekkości. Dużo bardziej podobala mi się grillowana salata rzymska z sosem z gorgonzoli (35 zł), chrupiącymi orzechami i lipcowymi owocami. Ciekawostką dla znawców jest w menu Sądów pozycja zwana budyniem kukurydzianym (39 zł), a w rzeczywistości będąca mamalygą, czyli kaszką kukurydzianą. To potrawa typowo galicyjska, czy szerzej – z kręgu c.k., słabo znana w innych regionach Rzeczypospolitej. Przygotowano ją z grillowaną kapustą i bocznikami, wzbudziła nostalgię za słonecznymi pejzażami zakarpackich nizin, które lubię przemierzać wakacyjną porą.

Kładką, która powiodła nas z wegebrzegu ku Krainie Ośmiu Aminokwasów, stały się dwa wizualnie identyczne panierowane sznycle. Oba były po wiedeńsku rozległe, chrupiące, złociste. Tyle że ten z preparatu sojowego (39 zł) na patelni się wysuszył, zaś klasyczny, przygotowany według tradycyjnej babcinej receptury (49 zł) z cielęciny zachował soczystość i aromat. Nie jestem prozelitą, nikogo do niczego nie namawiam, wybór należy do każdego z nas z osobna wedle sumienia i wrażliwości organoleptycznej.

J a tymczasem podążyłem własnym szlakiem ku smażonemu pstrągowi z przesławnych ojcowskich stawów (59 zł), podanemu z przysmażoną i mocno pierną kaszą gryczaną z gruszką i szpinakiem. W barokowych kwiatowych ornamentach zaprezentował się z kolei pieczony kurczak baby (62 zł) z mussem jabłkowym, racuchami i osmolonymi ziemniakami, jak z ogniska. Wszystko jednak przebił plaster wolno duszonej w cydrze rolady z boczku wieprzowego (49 zł). Proszę Szanownych Pań i Panów, to było wydarzenie! Sensacja! Atrakcja! Z glazurowanymi warzywkami, frytkami z pietruszki i musztardą jabłkową. To się samo jadło, bo przecież chyba nikt nie uwierzy, że osobiście mogłem pochłonąć takie ilości żarcia.

A przecież był jeszcze deser, czyli pieczone jabłko w szlafroku, czyli kruchym cieście (29 zł). To już z całą pewnością zjadł kolega fotograf! Ja nie miałem z tym nic wspólnego, powszechnie znany jestem z konsumpcyjnej powściągliwości. ●

Sady, Kraków, ul. Grzegórzecka 11, czynne w poniedziałki od 7.30 do 21, od wtorku do czwartku od 7.30 do 22, w piątki i soboty od 7.30 do 23.30, w niedziele od 7.30 do 22, można płać kartą, ogródek, brak toalety dla niepełnosprawnych.

JAGIELŁO WYGRYWA POD TANNENBERGIEM

A może by tak skoczyć na żagle nie do Mrągowa, lecz do Żądźborku

Janusz A. Majcherek

Skoro oficjalnie pozbyliśmy się Kaliningradu, może warto potraktować to jako okazję do krytycznego przyjrzenia się podobnie utworzonym nazwom na obecnym terytorium naszego państwa?

Zamiana niemieckiego Königsberg (i polskiego odpowiednika Królewiec) na Kaliningrad była typową operacją nazewniczą, jakich wiele przeprowadzono na obszarze Europy Wschodniej po wojennych przesunięciach granic. Sowietci zmienili prawie wszystkie nazwy na obszarze byłych Prus. Stąd Majakowskoje, Bagrationowsk, Uljanowo, Komsomolsk czy Sowieck, bez związku z historią regionu, a dziś brzmiące kuriozalnie. Ale Polska też przejęła część Prus i jej władze polonizowały niekiedy bezmyślnie, a przynajmniej pochopnie.

Gizewiusz, Mrongowiusz i Wojciech Kętrzyński byli działaczami nie komunistycznymi, lecz – jak to wówczas ujmowano – narodowymi, podtrzymującymi polskość w Prusach Wschodnich. Giżycko, Mrągowo, Kętrzyn i inne podobnie spolszczone miasta miały jednak tradycyjne nazwy, także polskie. Giżycko to niemieckie Lötzen, po polsku nazywane Loczany, co było nie tylko bliskie niemieckiemu odpowiednikowi, lecz także nazwie staropruskiej (w języku Prusów, przedkrzyżackich mieszkańców): Lēcai, od której pochodziły pierwotne niemieckie Letzen i Letzenburg, ale też polskie Lec i Liec. Czy trzeba było to starodawne nazewnictwo usunąć, aby uczcić regionalnego działacza i folklorystę? Czy nie można było uhonorować go inaczej? Skądinąd miejscowi, także powojenni osadnicy długo się dopraszali, aby zachować Loczany lub chociaż Łuczany (tę drugą wersję lansował Wojciech Kętrzyński w XIX w.).

Mrągowo to niemiecki Sensburg, na starych polskich mapach figurujący jako Żądźbork lub Żądźbork. Także tu obie nazwy nawiązywały do staropruskiego: Sēinits. Trzeba bowiem przyznać, że Krzyżacy na ogół respektowali toponimastykę ziem, które podbili, germanizując je tylko fonetycznie. Także stołeczny dla obecnego regionu Allenstein, czyli Olsztyn, jest nawiązaniem do pruskiego Alne, w wersji niemieckiej Alle, czyli rzeki Łyna. Polska nazwa została więc urobiona fonetycznie



• Królewska Huta, Königshütte (Chorzów), Niemcy, 1903

FOT. MUZEUM ŚLĄSKIE W KATOWICACH/EAST NEWS

od niemieckiej, jak w wielu podobnych przypadkach: Frombork od Frauenburg, Malbork od Marienburg, Nibork od Neidenburg itp.

Tak kształtowały się te i podobne nazwy przez wieki, zresztą w różnych, choć podobnych wariantach (Fromborg, Malborg, Nyborg). Znajdziemy je na starych mapach. Podobnie jak Węgobork, czyli Węgorzewo, translacyjnie utworzone od niemieckiego Angerburg. Ale z Niborka zrobiono Nidzicę, myloną odtąd z pienińską Niedzicą, obie zresztą chwalą się okazałymi zamkami – pokrzyżackim i powęgierskim.

Kętrzyn to dawny Rastenburg, w polskiej wersji Rastembork. Przez pewien czas po wojnie używano też nazwy Rasztanów, ostatecznie postanowiono jednak uhonorować Kętrzyńskiego.

Ale często po II wojnie, gdy Królewiec stał się Kaliningradem, dawne i tradycyjne nazwy były zastępowane na tzw. Ziemiach Odzyskanych przez mniej lub bardziej zgrabnie wymyślone polskie zastępniki. W ten sposób Frankenstein stał się Żąbkowicami, Reichenau – Bogatynią, a Ziegenhals – Glucholazami. Zabawne, że niektóre dawne nazwy były znaczące, więc można było po prostu przetłumaczyć: Ziegenhals to „Kozia Szyja” (od zakola rzeki) i pod takim mianem występuje w połowie XIX w. u Józefa Lompy (jako „Koziaszczyja”), ale taka nazwa wydała się pewnie śmieszna członkom komisji nazewniczej. Niektóre zmiany miały rzeczywiste humorystyczny charakter. Dolnośląskie Gross-Dupin i Klein-Dupin spolszczono na Dupina Wielka i Dupina Mała, potem jednak przemianowano na Nadolice Wielkie i Nadolice Małe. Słusznie? Biorąc po uwagę, że mamy w Polsce Gnaty-Wieśniany, Zgnilobloty, Stary Bubeł, Oszczywik czy Samokłęski Małe. Stare, tradycyjne, swojskie.

Dlaczego Olsztynek nie został Jagiełłowem

Za PRL wprowadzono też nazwy odosobowe, czego najbardziej spektakularnym i żalonym przykładem było przemianowanie polskich Katowic na Stalinoogród. To się nie utrzymało długo, podobnie jak Kopernikowo dla Frauenburga, Nowowiejsk dla

Wartenburga (miejsce urodzenia kompozytora Feliksa Nowowiejskiego – stało się Barczewem), Jagiełłowo (od pogromcy Krzyżaków!) dla Olsztynka, Jurandowo dla wsi Trunz pod Elblągiem (zostało Milejowem) czy Matejków (wieś, w której znaleziono jakiś obraz malarza, obecnie Przesieka), lecz Korfantów (niem. Friedland) funkcjonuje do dziś.

Niejakich lamańców dokonano z postacią niezwykle zasłużonego dla Śląska i Zagłębia animatora przemysłu Friedricha Wilhelma Redena. Odkąd w 1852 r. postawiono mu pomnik w Królewskiej Hucie, był on kilkakrotnie burzony i stawiany, po raz ostatni w obecnym Chorzowie w 2002 r. W Dąbrowie Górniczej śródmiejska dzielnica nazywa się Reden.

Królewska Huta to miasto o nazwie podobnej do Królewca: założona przez niemieckich osadników jako Königshütte. Po włączeniu jej do Polski odzyskującej niepodległość nowe władze uznały, że nie można się zgodzić na hono-

rowanie króla, którym był pruski Fryderyk Wilhelm III, więc zmieniono nazwę na Chorzów, od wsi włączonej w granice miasta. To tak, jakby Warszawę przemianowano na Białolekę czy Kraków na Czarną Wieś.

Mandat dla kierowcy za Wilno

W Ukrainie, na Białorusi i Litwie po przejściu dawnych ziem Rzeczypospolitej dokonywano ukraiinizacji, rutenizacji i lituanizacji. Wielu Polaków o kresowej genealogii do dzisiaj zgrzyta zębami na Iwano-Frankowsk, który pamiętają lub przechowują w rodzinnej tradycji jako Stanisławów. Iwan Franko był wprawdzie nie komunistą, lecz pisarzem i działaczem narodowym, ale taka ukraiinizacja polskiego miasta była formą jego symbolicznego zawłaszczenia.

Domaganie się od Ukraińców rewizji nazewnictwa na ziemiach należących niegdyś do Rzeczypospolitej byłoby dziś co najmniej niestosowne. Podobno jednak mieszkańcy miasta Czerwonogród domagają się przywrócenia dawnej nazwy Krystynopol, którą nosiło na cześć Krystyny Potoc-

Przemianowanie Königshütte na Chorzów to tak, jakby Warszawę przemianowano na Białolekę czy Kraków na Czarną Wieś

kiej, żony założyciela. A w Iwano-Frankowsku można się natknąć na odwołania do tradycji miasta z czasów, gdy nazywało się Stanisławowem (stare fotografie, gądzety z czasów CK lub II RP itp.).

Litwini walczyli nie tylko z polskimi nazwami, ale i literami polskiego alfabetu. Jeszcze kilkanaście lat temu na granicy służby litewskie wylapywały autobusy linii Warszawa – Wilno i takie napisy mające za przednią szybą, a kierowcy otrzymywali mandaty za nieprawidłową nazwę litewskiej stolicy, która ma być zapisywana jako Vilnius. Inna rzecz, że polskie nazwy na Litwie to często przekształcone starolitewskie – te wszystkie Ejszyszki, Gulbiniszki, Onikszy, Szawle, Niewiaża.

Jakie Sudety, to przecież Krkonošsko-jesenická subprovincie

Czesi też zmieniali nazwy na terenach poniemieckich, które jednak należały do ich państwa (ści-

Napoleon zawarł pokój w Sowiecku

Przerabianie starych nazw historycznych prowadzi do komplikacji, jeśli trwale zapisały się w dziejach, jak miejsca bitew, zawieranych układów pokojowych itp. Bitwa pod Königgrätz czy Austerlitz albo pokój w Tylży związane są z miejscowościami, których próżno szukać na mapie (Tylża to ów dzisiejszy Sowieck). Znany i czysto w Polsce z racji słynnej bitwy Grunwald (nazwa też przecież niemiecka) występuje w niemieckiej historiografii jako Tannenbergris. A czy ktoś polapałby się, że Pressburg i Pozsony to obecna Bratysława (Słowacy dawniej używali nazwy Prešporok), a Raguza to Dubrownik? Nie tylko u nas zmieniano nazwy, czasami nie do poznania. Konstantynopol stał się Stambułem dopiero w latach 30. minionego stulecia, po tysiącu siedmiuset latach używania dawnej nazwy i czteryście od podbicia przez Turków.

Idealem byłoby zachowywanie tradycyjnych lub pierwotnych nazw po zmianie granic, jak uczynili to Amerykanie po podbiciu lub odkupieniu dawnych kolonii francuskich i hiszpańskich. Do dziś mamy więc Luizjanę (od francuskiego króla Louisa), Des Moines, Nowy Orlean, Vincennes, Las Vegas, Los Angeles, San Diego czy Las Cruces. I ktoś niezorientowany mógłby pomyśleć, że to nazwy z przewodników po Francji i Hiszpanii. Ale są też w USA nazwy takie jak Massachusetts, Manhattan, Potomac czy Huron, nawiązujące do pierwotnych mieszkańców (Indian). Amerykanie mogą sobie na to pozwolić, bo nie muszą udowadniać, że byli pierwsi, wstawać z kolan, przerabiać swojej historii ani obawiać się, że Hiszpanie, Francuzi lub Indianie upomną się o dawne terytoria. W Europie Wschodniej jest inaczej.

Czy Żąbkowice staną się Frankensteinem

Raczej więc nie dojdzie do rewizji nazewnictwa pod wpływem przywrócenia Królewca. Ostatnia okazja była w 1989 r., gdy usuwano nazwy ulic, placów i obiektów publicznych oraz pomniki ustawione w czasach PRL. Wprawdzie IPN nadal domaga się zmian, ale dekomunizacja raczej nie sprawi, że Żąbkowice staną się Frankensteinem, a Wrzesina – Szombarkiem (niemieckie Schönberg – piękna nazwa, nieprawdaż?).

A wszystkie powyższe uwagi spisałem we wsi Barwałd (Bärwald), obok Lanckorony (Landskrone). ●

Skorzystałem z opracowań Małgorzaty Gałęziowskiej „Nazwy nasze i nie nasze. Refleksja nad zmianą w 1945 r.” oraz Tomasza Borówki, autora portalu Ślążag (Śląsk+Zagłębie)

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Autorem wielu haseł jest **Agata Piasecka**

Jest pięknie!

W 1851 roku Brytyjczycy, zachęteni sukcesem wielkiej Francuskiej Wystawy Przemysłowej z 1844 roku (jedna z II aż narodowych wystaw francuskich, z których pierwsza odbyła się jeszcze w 1798 r.) i kilku kolejnych jeszcze, m.in. w Madrycie i Brukseli, zorganizowali podobną w Londynie. Idea chwyciła, czego dowodem obecne EXPO, za pierwsze uważa się właśnie imprezę londyńską z 1851 r.

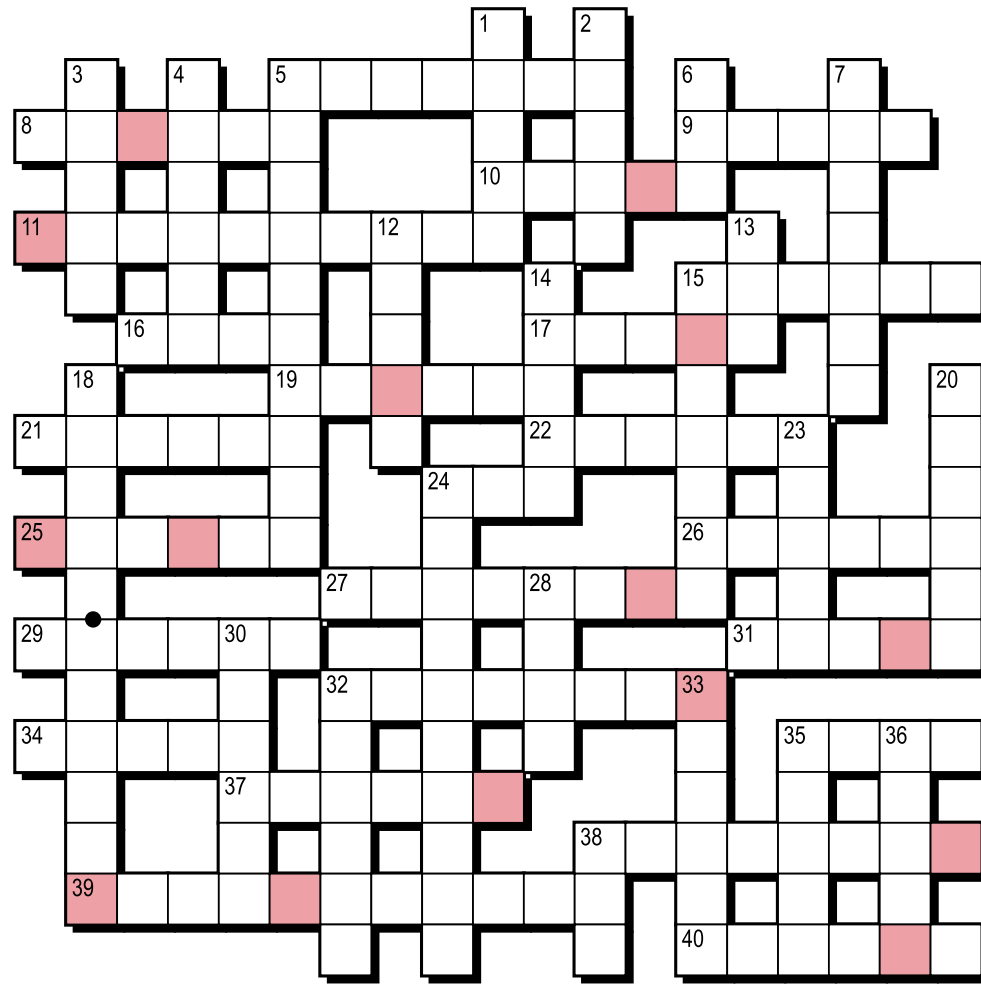
Stulecie Wielkiej Wystawy oraz niedawne zakończenie II wojny światowej Brytyjczycy postanowili uczcić kolejnym tego typu wydarzeniem. Tak narodziła się koncepcja Festival of Great Britain, a od niej już tylko krok do tematu przewodniego dzisiejszej „Weekendówki”.

Otóż bardzo blisko terenów wystawowych nad brzegami Tamizy mieścił się Lyceum Theatre, należący do kompanii Mecca Dancing (później właściciela m.in. sieci restauracji Hard Rock Cafe). Organizatorzy wystawy zwrócili się do firmy, czy nie chciałaby włączyć się w uroczystości, a wówczas Eric Morley, dyrektor ds. reklamy przedsiębiorstwa, wpadł na pomysł, by zorganizować tam konkurs piękności. Jako że panowała moda na kostiumy bikini (zaprezentowano je po raz pierwszy 5 lipca 1946, rzecz jasna w Paryżu – znów ta Francja!), Morley wykoncypował, że pokaz uczestniczek w bikini będzie idealną promocją wystawy. Nazwał go nawet „Girl Bikini Contest of the Festival of Great Britain”, ale że konkurs miał charakter międzynarodowy – wystartowało 27 uczestniczek z 7 krajów, Morley przemianował imprezę na Miss World.

29 lipca 1951 roku pierwszą najpiękniejszą kobietą świata została Szwedka Kiki Håkanson, a pierwszą i drugą wicemiss zostały Brytyjki: Laura Ellison-Davies i Doreen Gaffney-Dawne (reprezentantek gospodarzy było w sumie aż 21).

Od tego czasu konkursy Miss World odbywają się corocznie, z jednym wyjątkiem – w 2020 roku odwołano go z powodu pandemii COVID-19. Ostatecznie pierwsze postpandemiczne zawody zorganizowano 16 marca 2022 roku w Puerto Rico. Triumfowała wówczas Karolina Bielawska z Łodzi, która oficjalnie nosi tytuł Miss World 2021. Powtórzyła sukces Anety Kręglińskiej, która najpiękniejszą kobietą świata została w 1989 roku.

Dlatego zapraszamy dziś do pięknej „Weekendówki” z okazji 72. nieokragłej rocznicy pierwszego konkursu. A o pomoc w układaniu pytań poprosiliśmy Agatę Piasecką, redaktorkę „Wyborczej TV” i dziennikarkę lifestyle’ową. ●

Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 62 z 22.07:**Poziomo:**

5) Poznań 7) Manufaktura
9) Malbork 11) familoki
12) koncerty 13) Gdynia
16) Odra 18) kopiec
19) Kórnik 20) katedra
22) Szwedzi 24) scena
25) bramy 31) Narodowy
32) Morskie Oko
34) park 36) Licheń
37) Opera Nova 38)
ratusze 39) teatry

Pionowo:

1) Hala 2) Sukiennice
3) zaporą 4) zamek
5) Polin 6) Żłote Tarasy
8) twierdza 10) Katowice
14) dworzec 15) Wawel
17) Skąta 20) Kielce
21) Tatry 23) Domek
26) renesans 27) Marriott
28) Wola 29) Wrocław
30) hotel 32) molo
33) Opole 34) pałac
35) Krzyż .

HASŁO:
POMNIK CHOPINA**PIĘKNA**

Hasła Agaty Piaseckiej oznaczono inicjałami (A.P.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

5) płeć piękna
8) każda z uczestniczek konkursu piękności (potocznie)
9) „Piękny..., wspaniałe pustkowia”, słowa Buzza Aldrina podczas zejścia na powierzchnię Księżyca 21 lipca 1969 r.
10) w czerwcu jej ogród najpiękniej zakwita (w poemacie Andrzeja Bursy)
11) ...piękna (dział w księgarni, bibliotece)
15) Cezary, zagrał m.in. w filmie Filipa Bajona „Lepiej być piękną i bogatą”

16) zespół wykonujący piosenkę „Jeszcze będzie przepięknie”

17) Piękny..., gitarzysta zespołów Czarno-Czarni, Big Cyc

19) „Piękna i...”, piosenka Anity Lipnickiej

21) Parys miał je wręczyć najpiękniejszej kobiecie świata (A.P.)

22) grecki bóg piękna, przewodnik muz

24) „Dzisiaj miałem piękny..., naprawdę piękny...” – śpiewał Rysiek Riedel

25) to z powodu jej porwania wybuchła wojna trojańska (A.P.)

26) pisał: „Bo piękno na to jest, by zachwycać” oraz że „kształtem miłości piękno jest”

27) grecka bogini miłości i piękna, zrodzona z piany morskiej

29) „...jest piękna, lecz jeszcze piękniejsze jest wspomnienie o niej” –

Horst Wolfram Geissler (A.P.)

31) jedna z kandydatek do tytułu miss świata antycznego

32) piękna..., czyli wspaniały krajobraz w tle filmu, zjawiskowe dekoracje w sztuce

34) sędzia w pierwszych wyborach miss świata antycznego

35) najpiękniejsza część pawia

37) Grzegorz, wykonawca piosenki „Wszystko, co piękne”

38) ...Connolly, zagrała rolę Johna Nasha w filmie „Piękny umysł”

39) „Piękna...”, obraz Rafaela Santiaga („Madonna z Dzieciątkiem i św. Janem”)

40) „Królowa piękna z Jerozolimy” albo „Zostać miss”

Pionowo:

1) imię pięknej z „Pięknej i Bestii”

2) „...jest piękne”, komediogram, który przyniósł Robertowi Benigniemu Oscara

3) ...IV Piękny (zm. 1314), król Francji

4) koneserzy piękna

5) „Jaka piękna...” (cytat z „Greka Zorby”)

6) ...Wachowicz, Miss Polonia 1992

7) np. plastyczny, literacki albo piękności (A.P.)

12) Piękna – w Warszawie, z ambasadą Francji i siedzibą Komisji Nadzoru Finansowego

13) piękny..., bohater piosenki „Winda do nieba”

14) Izabella, Miss Polonia 2016 (skojarz z „Kotem fortuny”)

15) ...Krupińska, Miss Polonia 2012

18) kojarzony z autobiografią „Piękni dwudziestoletni”

20) ... Bullock, wystąpiła w komedii „Miss Agent”

23) „Piękne jak... pod pełnymi żaglami”, w refrenie „Baśki” Wilków

24) „...marzeń”, piosenka grupy Myslovitz („Jaki piękny jest ten świat...”)

28) zespół, który wie, że „w życiu piękne są tylko chwile”

30) w nim zapewnienia swojego piękna szukała macocha Królowy Śnieżki (A.P.)

32) piękności uwodzące żeglarczy swym śpiewem (mitologia grecka)

33) ukochany Afrodyty, słynący z urody

35) piękny, rasowy – to rumak

36) „Piękne dziewczę z Perth” Bizeta

38) fasola Piękny...
Leszek Rydz

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**
POBIERZ Z **Google Play**